MARZEC 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM IX

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04

TREŚĆ:

„NARÓD PANÓW"—„DAS HERRENVOLK"?

DEMAGOGJA IMPERJALISTYCZNA A NAUKA W NIEMCZECH.

Wobec niebezpiecznych dla światowego pokoju tendencji zaborczych dzisiejszych Niemiec, nieznanych w podobnym stopniu w dziejach żadnych innych, najbardziej nawet ekspansywnych państw czy narodów, a popieranych niestety także przez naukowy świat niemiecki, nadużywający zbyt często wszelakich gałęzi wiedzy dla celów skrajnego nacjonalizmu i imperjalizmu, podjęła Redakcja „Naszej Przyszłości" inicjatywę systematycznej akcji publicystycznej, celem ściśle objektywnego odparcia tych wszystkich twierdzeń, któremi nauka niemiecka, stojąca dziś w znacznej swej części na usługach szowinistycznej polityki, usiłuje uzasadniać i usprawiedliwiać wszelkie jej zaborcze zakusy.

W szczególności chodzi o odparcie propagowanej dzisiaj z niesłychaną czelnością zasadniczej tezy „nauki" niemieckiej, jakoby tylko Niemcy, a zwłaszcza Prusacy, byli w Europie przedstawicielami „czystej rasy", a wszystkie inne narody mieszańcami i „bastardami", pozbawionymi zdolności prawdziwie twórczych.

Nonsens „tez naukowych" tego rodzaju jest wprawdzie dla każdego oczywisty, niemniej jednak powinien spotkać się ze zdecydowaną odprawą, gdyż największe nawet głupstwo, systematycznie ludziom w mózgi wbijane, może z biegiem czasu zrobić swoje.

Dla zagajenia tej kampanji oddajemy głos p. Maksymiljanowi Goryńskiemu, wybitnemu publicyście i znawcy

stosunków niemieckich, którego działalność polityczno-dziennikarską zagranicą wspomina m. in. słynny dziennikarz angielski Wickham Steed w swych pamiętnikach w sposób wielce pochlebny.

REDAKCJA.

Na obliczu nauki niemieckiej coraz liczniej i coraz szpetniej występują krosty imperjalizmu pruskiego. Objaw to ani nowy, ani niespodziewany. Postępy bowiem tej zniekształcającej choroby śledzić można dokładnie od lat kilkudziesięciu, można też odnaleźć jej źródło, sięgając wstecz jakie półtora wieku. I z dokładnością, która powinnaby zadowolić nawet zawodowych epidemjologów, daje się ustalić jej okres inkubacyjny.

Nauka niemiecka długo jeszcze miała czekać na swój wiek złoty, który dał jej tak wspaniałe wyniki w teorji i praktyce, obudził wśród Niemców uczucia słusznej dumy, przyczynił się wydatnie do postępu nauk wśród wszystkich narodów, ściągnął do uczelni niemieckich tłumy młodzieży z całego świata; sama jeszcze uczyła się nowych dróg w szkole angielskich i francuskich myślicieli i badaczy — a już wszczepiono w jej duszę ten jad, który dziś tak widocznie pożera jej piękno i zdrowie i na szwank poważny narażać zaczyna szacunek, z jakim tak długo i tak, na ogół biorąc, słusznie uczony świat międzynarodowy do niej się odnosił.

W czasopiśmie „Die Zeit“ profesor Fr. W. Foerster powiada, że „wielki okres kłamstwa“ w nauce niemieckiej rozpoczął się z Fryderykiem Wielkim, który berlińskiej Akademji Umiejętności poddał temat: „Faut-il tromper le peuple?“ — i cynicznie oświadczał, że przy żadnym politycznym zamachu nie braknie mu profesora, który nie potrafiłby przeistaczać kłamstwem bezprawia w prawo. Tenże sam Fryderyk II mawiał, że dlatego opłaca profesorów uniwersytetu, aby służyli racji stanu jego państwa. Pra-

gmatyczny związek szpetnej bolączki w nauce niemieckiej z pruską racją stanu tem niewątpliwiej się ujawnia, że szkoda, wyrządzana tej nauce przez własne jej łgarstwa, zawsze i wszędzie popełniana jest na korzyść, jakiej z tych procederów spodziewają się Prusy dla siebie — czy to w opinji niemieckiego, czy innych ludów.

Nie odrazu jednak, jak już zaznaczyliśmy, mówiąc o okresie inkubacyjnym, podporządkowała się nauka niemiecka pruskim nakazom. Rzecz znamienna dla szczególnych właściwości zaszczepionego jej jadu: w tem odmawianiu posłuszeństwa przez naukę pruskiej racji stanu zaznaczyły się wyraźnie dwa okresy — jeden odrzucania a limine tej racji stanu, jako żądającej zbyt wielkiej ofiary intelektu i etyki, drugi już tylko warunkowego jej odrzucania, jako żądającej tych samych ofiar ...zbyt małych!

„Bez jakiejkolwiek winy, bez podrażnienia albo obrazy swych sąsiadów, Polska w chwili radosnego odrodzenia *) padła ofiarą wiarołomstwa i chciwości Prus i Rosji. Upadła w chwili, kiedy dwory te chełpiły się, że są stróżami ładu społecznego, poskromicielami swawoli i dzierżycielami prawdziwych zasad prawa i moralności“. Tak w trzecim tomiku swego „Historisches Taschenbuch“ za rok 1832, w rozprawce „Polens Untergang“ pisał historyk pruski Friedrich von Raumer, poprzednik Rankego w tworzeniu nowej szkoły historyków w Niemczech — ten sam, który w r. 1847 złożył swój urząd sekretarza i członkostwo berlińskiej Akademji Umiejętności, ponieważ wygłoszona przez niego mowa na cześć Fryderyka II, jako zbyt „wolnomyślna“, nie podobała się w „wyższych sferach“. Rozprawka Raumera, odsłaniająca spokojnie, lecz niemiłosiernie nikczemność przymierza pruskiego z Polską 1790 r., była zaznaczeniem stanowiska, jakie ówczesna nauka niemiecka zajęła wobec sympatji, okazywanych w Niemczech dla powstania listopadowego i wobec przyjęcia, jakie z jed-

*) Mowa oczywiście o epoce 3-go Maja.

nej strony ludność, a z drugiej rząd pruski zgotowały w 1831 r. podążającym na zachód niedobitkom wojsk polskich. Była to chwila bodaj ostatniej, zgodnej rewolty narodu niemieckiego i nauki niemieckiej przeciw nakazom pruskiej racji stanu, nie cofającej się przed rozbojem na wszystkich sąsiadach — niemieckich czy innych.

Ale prawie bezpośrednio potem, bo już w 1848 r., widzimy całkiem inną rewoltę, a na jej czele znowu niemieckich profesorów. Kiedy bowiem w dyskusji parlamentu frankfurckiego o dopuszczenie posłów z Poznania lewica (Blum, Ruge, Vogt i inni) piętnowała rozbiory Polski, poeta Wilhelm Jordan spowodował odrzucenie jej wniosków mową, w której oświadczył: „Pierwszy dzień niepodległego państwa polskiego byłby pierwszym dniem walki na śmierć i życie z nami, bo w naszych czasach żaden kraj nie może istnieć bez wybrzeży morskich“. A dalej: „Polityka, która nas nawołuje: Oddajcie Polsce wolność za wszelką cenę! — jest polityką krótkowzroczną, zapominającą o sobie samej, polityką słabości, polityką bojaźni, polityką tchórzostwa. Czas już wielki, abyśmy się obudzili z tego marzycielskiego zapominania o sobie samych, w którem zapalaliśmy się dla wszelkich możliwych narodowości, podczas gdy sami upadaliśmy w haniebnej niewoli, tratowani przez wszystkich. Czas, byśmy się obudzili do zdrowego egoizmu narodowego, który we wszystkich sprawach wysuwa na czoło pomyślność i honor ojczyzny“.

Wiadomo, że Karol Marx poświęcił tym polskim rozprawom w parlamencie frankfurckim kilka artykułów w „Neue Rheinische Zeitung“, dowodząc, że przeciwnie, pomyślność narodu niemieckiego wymaga jego odgrodzenia się od Rosji przez odbudowę Polski „conajmniej w granicach z przed 1772 r.“. Wiadomo też, że socjaldemokracja niemiecka, która dziś w Prusach u steru rządu się znajduje, innym, niż Marx, hołduje poglądom, chociaż najznamienit-

szy jej publicysta w ostatnich czasach, zmarły w 1919 r. Franz Mehring, do końca życia nie przestawał pisać o „rozbojach pruskich na Polsce“ (preussischer Raub an Polen). We własnem stronnictwie głos Mehringa pozostawał jednak odosobnionym. Nie można się więc dziwić, jeżeli „Historja niemieckiego liberalizmu“, wydana w r. 1911 pod patronatem Fryderyka Naumanna, niby przyjaciela Polski w czasie wojny światowej, nazywa „mistrzowską“ cytowaną powyżej mowę Jordana, która niewypuszczanie z rąk łupów pruskiego rozboju na Polsce określiła jako sprawę pomyślności i honoru ojczyzny niemieckiej już, a nietylko pruskiej.

Idąc za głosem Jordana, większość posłów w kościele św. Pawła we Frankfurcie przejmowała już na sumienie narodu niemieckiego winy pruskie w podziałach Polski. Był w tem pełny sukces rewolty całej falangi uczonych niemieckich przeciw zbyt ciasnemu, jak twierdzili, a przeważającemu w Berlinie rozumieniu „dziejowego posłannictwa Prus w narodzie niemieckim“.

Nie piszemy tu historji zjednoczenia narodu niemieckiego pod pruską pikelhaubą, ale mimochodem — jako wiążące się z naszym tematem — musimy jednak zanotować niektóre jej szczegóły. I tak, kiedy w kwietniu 1849 r. król pruski Fryderyk Wilhelm IV donosił zjednoczonym sejmom prowincjonalnym, że nie przyjmuje ofiarowanej mu przez frankfurckie zebranie narodowe cesarskiej korony niemieckiej, powstał pewien poseł, by winszować rządowi tego postanowienia. „Jako syn Marchji brandenburskiej — mówił — jestem z tej ziemi, na której zbudowaną została monarchja pruska, umocniona krwią naszych ojców“, a to wystarcza, aby nie chcieć „facjendować dostojnej korony swych królów za bawidełko, ukute przez profesorów frankfurckich“. I za jednym już zachodem zwrócił się mówca też przeciw innej myśli, wysuwanej przez tych samych profesorów i podjętej przez większość opinji niemieckiej, że Prusy powinny stanąć po stronie separatystów szlezwicko-

holsztyńskich i odebrać królowi duńskiemu ten kraj „odwiecznie i rdzennie niemiecki". Mówca oświadczył dalej, że byłoby to „wysoce niesprawiedliwem, frywolnem i zgubnem przedsięwzięciem w kierunku poparcia rewolucji, zupełnie nieuzasadnionej, przeciw prawowitemu suwerenowi tego kraju".

Mówcą tym był niejaki... p. Otto v. Bismarck-Schönhausen! Starczyło mu około 12 lat, by odkryć, że sny o zjednoczeniu narodowem, wpajane opinji niemieckiej przez Arndtów, Falków, Dahlmannów, Droysenów, Waitzów i wielu innych historyków, publicystów, poetów i powieściopisarzy, dadzą się użyć za najpotężniejsze narzędzie do urzeczywistnienia innych snów: o wielkomocarstwowej potędze Prus, snów, jakie conajmniej od Wielkiego Kurfirsta śnili wszyscy Hohenzollerni. A śnili, w gruncie rzeczy, przez lat dwieście... po próżnicy! Bo choć mieszali się, proszeni czy nie proszeni, we wszystkie wielkie sprawy europejskie, choć przerzucali się na wszystkie strony w jednej i tej samej sprawie po kilka razy, choć przetężali swe siły i siły swych poddanych, zawsze w końcu — jak to w swych pracach z historji pruskiej powtarza Franz Mehring — byli tylko „szakalem, polującym w ślad za tygrysem" i „dostawały się im same ochłapy" to z łaski Francji, to Anglji, to Rosji. Dopiero Bismarck wpadł na genjalny pomysł, że w imię zjednoczenia narodowego mogą Prusy połknąć w samych Niemczech wcale pokaźną liczbę „korytarzy", a do tego jeszcze różne postronne, boczne i poprzeczne oficyny — a wówczas nietylko wilk byłby do czasu syty („saturiert" było w późniejszych latach ulubione słowo Bismarcka), ale i koza naprawdę zadowolona, chociaż nie bardzo cała. Urzeczywistniając tę myśl, nie pytał już o „prawowitość" królów i książąt niemieckich, których kraje „jednoczył", a cóż dopiero o „prawowitość" króla duńskiego w Szlezwiku-Holsztynie! Plan Bismarcka był tak przeciwnym staropruskiej tradycji „polowania w ślad za tygrysami" i pożerania „ochłapów" we własnem

tylko królewsko-pruskiem imieniu, a nie w jakiejś tam masce, zapożyczonej od śpiącego w pieczarach Kyffhäuseru niemieckiego cesarza, że do ostatniej chwili musiał go ukrywać przed swoim królem; a jeszcze po ogłoszeniu nowego cesarstwa Hohenzollernów w Wersalu odezwał się Wilhelm I z przekąsem, że „zaawansował na tytularnego majora“ (Charaktermajor).

Podbój Niemiec przez Prusy pod maską narodowego zjednoczenia przygotowywany był przez pół wieku prawie w myśl najszerzej pojmowanych wskazań Fryderyka II dla profesorów, wedle maksymy tego króla powołanych do okłamywania ludu, aż do chwili wystąpienia Ueberjunkra Bismarcka, który zrozumiał nieograniczone możliwości, ukryte w tak szerokiej wykładni ad majorem Borussiae gloriam, a przygotowywane wbrew tym wszystkim „starym“ Prusakom, którzy wprawdzie również żądni byli nowych terytorjalnych nabytków, lecz wzdragali się przed przyjmowaniem ich z rąk „liberalnych“ profesorów.

Juljan Klaczko, w swoich „Etudes de Diplomatie contemporaine“, drukowanych w „Revue de Deux Mondes“ bezpośrednio po wojnie duńskiej 1864 r., która dała początek pruskiemu rozwiązaniu zagadnienia niemieckiego „krwią i żelazem“, dał charakterystykę „tego zupełnie nowoczesnego pokolenia profesorów niemieckich, którego początki sięgają wojen pierwszego cesarstwa (francuskiego), lecz którego znaczenie wzrosło głównie od 1840 r., a które w dobie obecnej panuje wszechwładnie w szkołach, izbach i zebraniach ludowych po tamtej stronie Renu“ — „génération d'esprits violents et acerbes, poussant parfois au délire, toujours à l'injustice, un patriotisme haineux et farouche, mettant une érudition infatigable, spécieuse, fallacieuse même, au service de toutes les passions et de toutes les convoitises du génie national, ne rêvant et ne prêchant qu'annexions, revendications et conquêtes, et assujettissant en l'imagination l'univers entier à la majesté de l'idée germanique, professoria lingua regimen mundi expostulans. . .“.

A na innem miejscu tego studjum, które mogłoby nosić datę 1931 zamiast 1865, gdzie mowa o duchowem przygotowaniu Niemiec do gwałtu na Danji, czytamy: „Historiens, publicistes, poètes et romanciers de l'Allemagne ont fait pendant plus de trente ans au Danemark une guerre sans relâche, une guerre de pamphlets et de livres, de chansons et de romans, d'archéologie passionnée et de statistique haineuse; pendant trente ans ils ne se lassèrent pas de prêcher une doctrine qui finit par embraser les esprits teutons, par triompher même des scrupules de M. de Bismarck, et la remarque a déjà été souvent produite, que le récent démembrement de la monarchie de Christian IX présentait, entre tant d'autres singularités, l'étrange spectacle d'une propagande littéraire aboutissant à une invasion armée".

Ta „erudycja niestrudzona, wykrętna, nawet kłamliwa", w czasie, w którym Klaczko pisał słowa powyższe, w warstwie społecznej, decydującej o opinji narodowej Niemiec, zdołała już dokazać nielada sztuki: Hohenzollernów, począwszy od Wielkiego Kurfirsta, wyzłociła na bojowników zjednoczenia narodowego. Niemiecki Bildungsphilister, którego po wojnie francusko-pruskiej tak niemiłosiernie i tak proroczo zarazem schłostać miał Nietzsche, przyjął od tej erudycji utożsamienie historji pruskiej z historją niemiecką, jako prawdę, popartą całą powagą niemieckiej nauki. I niedość na tym jednym fałszu podstawowym. Bo zamiast rzeczywistej historji pruskiej, przyjął legendę hohenzollernską.

Odtąd więc „rozpalone umysły teutońskie" zaliczają w poczet wielkich budowniczych Niemiec zjednoczonych i Wielkiego Kurfirsta, który za popieranie Ludwika XIV przeciw Rzeszy i Habsburgom otrzymał wschodnie Pomorze nadodrzańskie, a do końca życia nie mógł przeboleć, że sam wprawdzie zgodził się na przejście Strassburga w posiadanie Francji — za zgodą zresztą samych Strassburczyków — ale nie dostał zato Szczecina; i Fryderyka II, który z pomocą francuską zdobył Śląsk na Habsburgach,

a utrzymał się przy nim tylko dzięki nagłej śmierci carycy Elżbiety, a przedtem dzięki subsydjum angielskim, za które bił się z Francuzami, odciągając ich od silniejszego wystąpienia przeciw Anglji w Ameryce; i Fryderyka Wilhelma II i III, którzy w czasie podziałów Polski zrobili z Prus państwo na poły polskie; i tegoż ostatniego, Fryderyka Wilhelma III, który z kongresu wiedeńskiego wyszedł wielce niezadowolony, bo zamiast zwrotu wszystkich polskich „zdobyczy“ rozbiorowych, dostał „tylko“ północną Saksonję, Nadrenję i Westfalję! Tych wszystkich — „szakali, polujących w ślad za tygrysami“ — sprusaczona nauka niemiecka kanonizowała na świadomych patronów narodowej myśli niemieckiej, a rozpalony przez pruskich profesorów umysł teutońskiego Bildungsphilistra dopóty żądał od pruskich rządów działania w myśl tej kanonizacji i przyodziewania się w majestat idei germańskiej, dopóki Prusy nie dokonały nowego podziału Niemiec i okaleczenia Francji.

Tak, pod fałszywym pozorem rozwiązywania zagadnienia niemieckiego, dom Hohenzollernów, po dwustu latach płonnych wysiłków, wszedł ze snów o potędze w rzeczywistość potęgi.

Jeżeli 18 stycznia 1871 r. Wilhelm I krzywił się w Wersalu na swój „awans“, to dzień tej proklamacji cesarstwa prusko-niemieckiego okazał się dla „liberalizmu“ niemieckiego i jego profesorów — jak wiadomo — dniem wystrychnięcia ich na dudków, a w następstwie początkiem ich końca. „Liberalnych“ bowiem — w dawnem, dość mętnem znaczeniu tego słowa — polityków w dzisiejszych Niemczech republikańskich prawie że niema, a „liberalnych“ profesorów można na palcach policzyć. Gdy zaś chodzi o „majestat idei germańskiej“, to trudno też dopatrzeć się różnicy w tych wszystkich objawach namiętności i pożądliwości ducha narodowego, jakie ujawniają się w różnych dzisiejszych obozach politycznych. A co najważniejsza: poza tymi objawami stoi jak mur cała dzisiejsza nauka niemiecka. Czy to będzie profe-

sor socjalista Kantorowicz, czy profesor (gimnazjalny matematyki) centrowiec, b. kanclerz Wirth, czy wreszcie świeżo przez narodowych socjalistów upieczony profesor Günther, wszyscy oni jednym mówią językiem — professoria linqua rigimen mundi expostulantes. Ciągle tylko aneksje, rewindykacje, podboje! Ich erudycja równie jest niestrudzona, jak u poprzedników, o których pisał Klaczko — a tem się tylko różnią od założycieli tej szkoły, że w łgarstwie i wykrętach wyzbyli się prawie wszyscy już nawet pozorów naukowości, o ile chodzi o domowy użytek, a odwołują się bezustannie do znanego zdawna całemu światu autorytetu nauki niemieckiej, o ile przemawiają do obcych.

Pokolenie profesorów niemieckich z połowy ubiegłego wieku nazwać można, mimo wszystko, w porównaniu z ich epigonami z ery Wilhelma II i dzisiejszych Niemiec republikańskich, jeszcze stosunkowo skrupulatnie dbałem o zachowanie dobrej sławy nauki. Głównem ich narzędziem do urabiania opinji narodowej była bowiem tylko swoista wykładnia faktów, wnoszenie w przeszłość własnych poglądów i koncepcji. Rzadko natomiast przyłapać ich można na zniekształcaniu lub zupełnem przemilczaniu faktów, niemiłych dla ich tezy, nad którymi umieją prześlizgiwać się z honorem. To też z uważnego czytania ich dzieł wielotomowych, z porównania opowieści różnych autorów, z podawanych materjałów źródłowych, czytelnik, nie ulegający sugestji ich tez, zwykle prawdę wyłuska, albo jej się domyśli. I jeszcze jedno: ówcześni uczeni, pracujący w naukach pomocniczo-historycznych, a cóż dopiero na innych polach naukowych, propagandę polityczną pozostawiali historykom i przedstawicielom nauk politycznych, którym zawsze i wszędzie wolno pracować dla celów narodowych, oczywiście w granicach godziwości. Nie ośmieszał się np. prahistoryk wywodem „historycznego“ prawa dzisiejszych Niemców do Pomorza nadwiślańskiego od Gotów, którzy już w epoce bronzu tam siedzieli. Obawiał się bo-

wiem, że mu czytelnik przypomni, iż ten lud wschodnio-germański opuścił te siedziby już w t. zw. pierwszej wędrówce Germanów i ostatecznie rozpłynął się w ludności Italji, południowej Galji i Hiszpanji, lecz ani kropla krwi nie weszła z niego w te zachodnio-germańskie ludy, które stały się głównymi, choć nie jedynymi protoplastami dzisiejszego ludu niemieckiego, występującego na widowni historycznej — jak wszystkie nowoczesne ludy zachodnie — dopiero w IX wieku naszej ery. Więc jeśli kto, to chyba Włosi, Hiszpanie, lub Gaskończycy mogliby rewindykować tę pomorską „prastarą ziemię swych przodków", ale przenigdy germańsko-celtyccy mieszańcy dzisiejszych Niemiec zachodnich i południowych, ani germańsko-słowiańscy mieszańcy we wschodnich Niemczech. Ówczesny geograf niemiecki nie pisał, odwracając stosunek przestrzeniowy, że niziny polskie są „częścią niziny północno-niemieckiej", geolog nie domagał się aneksji polskich zagłębi górniczych, jako „dalszego ciągu zagłębia górnośląskiego".

A takie właśnie i tym podobne dziwolągi pływają w nieprzebranem morzu dzisiejszej „naukowej" propagandy niemieckiej!

Nie znaczy to, że obniżył się tak haniebnie przeciętny poziom nauki niemieckiej wogóle. Otworzyła się tylko nowa szkoła niemieckich uczonych, którym się zdaje, że dla celów narodowych nietylko wolno, ale wręcz należy lud okłamywać, z odwoływaniem się na dwa słowa magiczne: „deutsche Wissenschaft", z których pierwsze wymawia się wobec prostaczka z naciskiem, wykluczającym wszelką apelację, chociażby apelację do tej samej, ale już nie propagandowej, nie „popularnej" nauki niemieckiej. I to jest chyba najbrzydszą plamą na wspaniałej przeszłości i na teraźniejszości tej nauki, że nikt nie obejdzie się już dzisiaj bez przykładania do niej dwuch różnych mierników, kto chce ocenić jej wartość. W „popularnej" bowiem broszu-

rze lub książce oświadcza dziś historyk niemiecki, że województwo pomorskie „przed pokojem toruńskim nigdy nie wchodziło w skład państwa polskiego“. Bez zająknienia powtórzy to samo na publicznym odczycie, albo przed uczniami w szkole. A wie, że tylko sięgnąć mu trzeba do tylu a tylu prac niemieckich, większych czy mniejszych, ale pisanych nie wyłącznie na usługach pruskiej racji stanu, a jego twierdzenie okaże się tem, czem jest w rzeczywistości: okłamywaniem ludu w imieniu „nauki“, w imieniu tej „deutsche Wissenschaft“, stawianej dziś ponad wszystkie inne, jak wszystko, co niemieckie.

Są więc dziś w Niemczech jakby dwie nauki, jedna dla wtajemniczonych, druga dla profanum vulgus. Pierwsza, choć ani o włos nie odstępuje od niemieckiej pretensji do hegemonji nad Europą, nad światem całym, uzasadnia te roszczenia, tę „misję“, twierdzeniem: „Am deutschen Wesen wird die Welt genesen!“ — a więc wyższością niemieckiej kultury i suwerennem prawem niemieckiego egoizmu narodowego, przeciw którym żaden fakt, żadne prawo innego egoizmu nic nie waży; nic zatem nie szkodzi podawanie do wiadomości „wyższych“ umysłów takich rzeczy, które mogłyby poruszyć maluczkich. Druga nauka, nazywająca się „popularną“, cenzuruje wyniki, osiągane przez pierwszą, bo ich znajomość wśród profanów mogłaby przeszkodzić użyciu mas ludowych przy budowie prusko-niemieckiego regimen mundi. A ta demagogja naukowa wtyka ludowi niemieckiemu w ręce „bawidełka“, o wiele niebezpieczniejsze dla spokojnego życia jego sąsiadów, niż była w 1848 r. korona cesarska, „ukuta przez profesorów frankfurckich“.

Książka do użytku szkolnego i gazeta — oto główne siewniki, z których bezustannym, szerokim, obfitym rzutem pada w umysły ludu niemieckiego zatrute ziarno propagandy „naukowej“, z której zejść musi — a wedle zamiaru samych siewców: zejść powinien — najazd zbrojny i to nie jeden tylko, lecz tyle, ile wymagać będą namiętności

i pożądliwości narodowe. Jak obok „naukowej“ nauki w Niemczech naucza „popularna“, tak obok urzędowej polityki i wbrew niej działa polityka „ludowa“ — volkstümliche Politik. Nie uznaje ona żadnych traktatów, nie zna żadnych kompromisów, nawet chwilowych. Rewiduje granice nietylko na wschodzie, ale we wszystkich stronach świata, a wszędzie in plus przedwojennego stanu posiadania. Nancy jest dla niej „Nanzig“, Verdun — „Werden“, nawet Psków — „Pleskau“, a Nowogród Wielki — „Neugard“. Województwo poznańskie tworzy nieodłączną część „korytarza“, a tak zwana przez geografów niemieckich „Zwischeneuropa“ — międzymorze bałtycko-pontyckie — zgodnie z tem, co przez tyle lat przed wojną wykładał na uniwersytecie lipskim profesor Ernst Hasse, jest „słusznie“ należącym się Niemcom terenem ekspansji gospodarczej, osiedleńczej i politycznej *). Sam „Anschluss“ Austrji nie wystarcza, trzeba go uzupełnić dotarciem do Tryestu, by mieć „nieodzownie potrzebny“ dostęp do Adrji. Penetracja na Bałkany i do Lewantu, na daleki Wschód i na Pacyfik, a rozumie się samo przez się, że i kolonje afrykańskie — są nieulegającem przedawnieniu prawem narodu niemieckiego, tak samo, jak przyłączenie do Rzeszy kraju, chociażby największego, gdzie żyje mniejszość niemiecka, chociażby najbardziej znikoma.

Wszystko to dzień w dzień już nietylko Bildungsphilister, ale wogóle czytelnik, któremu na imię miljon, znajduje w swych gazetach, socjalistycznych, czy nacjonalistycznych, wszystko to setkom tysięcy dziatwy powtarza w szkole powszechnej Herr Schulmeister, w szkołach średnich i zawodowych Herr Oberlehrer albo Herr Studienrat. A powtarza z ciągłem zapewnieniem: „Die deutsche Wissenschaft hat nachgewiesen, die deutsche Wissenschaft hat festgestellt. . .“.

---

*) A więc cała Polska przedrozbiorowa, po Dniepr i Morze Czarne, ma być „słusznie“ przynależnym Niemcom terenem kolonizacyjnym! (Przyp. Red.).

Dla celów tej propagandy ujęli Niemcy w swe ręce i rozbudowali nową, jak twierdzą, naukę — geopolitykę. Nazywało się to dawniej geografją polityczną, w szerszem znaczeniu. Początki znajdują się już u pisarzy starożytnych, naturalnie bez takiej nazwy. Pełno rozważań z tej dziedziny znajdujemy u statystów XVI i XVII wieku. Woltera „Essay sur les moeurs et l'esprit des nations" jest przesiąknięty temi pojęciami, których ciągłość nieprzerwaną stwierdzić można u wszystkich pisarzy, historyków i polityków na całym świecie. Lecz dziś każdy Bildungsphilister, każdy żak w szkole niemieckiej i każdy czytelnik niemieckich dzienników i specjalnych czasopism geopolitycznych pozostaje pod wrażeniem, że to szczególna, nowa zdobycz nauki niemieckiej, dla której szwedzki profesor Rudolf Kjellén znalazł szczęśliwą nową nazwę. Szczególna — bo szczególną jest ta „nowa" nauka niemiecka, ze wszystkich nauk, teorji, hipotez, ze wszystkich rzeczywistych lub urojonych doświadczeń historycznych, wojennych, politycznych, gospodarczych, społecznych, jeden wyciągająca wniosek: „Das Vaterland muss grösser sein!".

Na wołowej skórze nie spisze tych fałszów commissionis et omissionis, od jakich roją się pisma i mapy geopolityczne niemieckie. Dość powiedzieć, że w takim „geopolitycznym atlasie historycznym" kierunek wszystkich wojen europejskich, aż do ostatniej — światowej, uwidoczniony jest strzałkami, zwróconemi przeciw Niemcom; albo że w jednym z ostatnio wydanych, obszernych podręczników geopolitycznych, przy wyliczaniu schematów, wedle których daje się ująć geograficzna struktura państw, wszędzie i konsekwentnie opuszczona jest Polska — i to nietylko dzisiejsza, lecz i historyczna — chociaż autor zaczyna od Babilonji i Assyrji i nie pomija nawet państwa Inkasów!

Geopolityka ta, jak już wspomniano, wciska się i do szkół niemieckich. Ostatnio do znanego szkolnego atlasu historycznego Putzgera dodano sporą książkę objaśnień, opartych prawie wyłącznie na zasadach geopolitycznych

i nie powściągających się wcale a wcale od narzucania uczącej się młodzieży jak najdalej posuniętych uroszczeń pruskich i pangermańskich. Ta demagogja naukowa, uprawiana w szkolnictwie niemieckiem zapomocą podręczników, doszła już do takiego stopnia rozwydrzenia, że nawet Niemcom szwajcarskim zaczyna jej być zawiele. Niedawno pismo tak spokojne i poważne, jak „Neue Zürcher Zeitung“, podało w całej serji artykułów, z obszernymi cytatami, rozbiór takiego podręcznika, dochodząc do wniosku, że „demokracja niemiecka nie została ugruntowaną na punkcie najbardziej istotnym, gdzie, według brzmienia konstytucji, działać miała w duchu pojednania narodów i że szkoła średnia w Niemczech równa się przedwstępnemu nauczaniu narodowego socjalizmu“. Tak oględnie wyrażona krytyka czołowego pisma Szwajcarji niemieckiej znajduje swe uzasadnienie w otwartem i druzgocącymi wywodami popartem twierdzeniu jednego z pacyfistów niemieckich, że ta „nowa“ nauka niemiecka powinna nazywać się nie geopolityką, lecz geostrategją.

Na szczególną uwagę zasługuje stosunek dzisiejszej niemieckiej demagogji naukowej, czy raczej nauki demagogicznej, do starszej szkoły naukowej w Niemczech, która, jak już wykazaliśmy, nie grzeszyła przecież skromnością apetytów pruskich, oraz do teraźniejszej, która, choć również przejęta duchem pruskiego imperjalizmu, nie wyrzeka się jednak pewnej etyki naukowej i chociaż bałamuci swych uczniów wykładem, nie zniża się jednak aż do namacalnych fałszów i namacalnych przemilczeń. Demagogiczna, pozornie naukowa propaganda idei wszechniemieckiej przejmuje natomiast wszystkie, przez poważnych uczonych w samych Niemczech dawno już zarzucone pomyłki, o ile są jej dogodne, a zarzuca, zbija, albo przemilcza wszystkie wyniki nowszych badań, o ile nie są jej na rękę.

I tak antropologja „popularna“ wróciła do romantycznego stanu, w jakim znajdowała się bodaj jeszcze przed Virchowem. Kwiatem ludzkości jest dla niej ów mł-

tyczny „Germanin“, jasnowłosy, jasnooki, podłużnogłowy, o twarzy wydłużonej. Nawet Houston Stewart Chamberlain, który Germanów, Celtów i Słowian łączył w jedno pojęcie „Germanina“, a tylko dodawał, że „Słowianie później się jakoś popsuli“, który Polsce naszego wieku złotego przyznawał zasługi wytrwałej, świadomej walki przeciw wpływom „niegermańskim“ — w swoistem, chamberlainowskiem ujęciu — nawet on jest tym „rasistom“ zdrajcą idei germańskiej. A cóż dopiero ci uczeni niemieccy, którzy samego Marcina Lutra ważyli się nazwać „typem niemiecko-słowiańskim“! Niech sobie Bildungsphilister wierzy w to, co wyczyta np. w dziele „Das deutsche Volkstum“ (zbiorowa praca przedwojenna kilku niemieckich uczonych, pod redakcją prof. Hansa Meyera), że „p o c h o d z e n i e b o d a j ż a d n e j c z ę ś c i w i e l k i e j n i e m i e c k i e j m a s y l u d o w e j n i e d a j e s i ę z u p e ł n i e c z y s t o w y p r o w a d z i ć o d d a w n y c h G e r m a n ó w“; niech wierzy, że „w marchjach wschodnich germańscy zwycięzcy nie wygnali słowiańskich mieszkańców, lecz wchłonęli ich dzięki germańskiej sile asymilacyjnej, przyswoili sobie organicznie pierwiastek słowiański i z nim razem utworzyli nowe plemiona niemieckie“; niech wierzy, że podobne zlanie się dawnych Germanów z Celtami w Niemczech zachodnich i południowych, a w krajach austrjackich z Celtami i Słowianami, wydało inne „nowe plemiona niemieckie“. Niech wierzy — mniejsza o to! Bo dzisiejsza „popularna“ nauka niemiecka, powołana na katedrę uniwersytecką w osobie d-ra Günthera, stawia dogmat: Niemiecki człowiek, to człowiek nordycki, niema jemu równego na całym świecie, on winien być i będzie panem świata, takie jego prawo!

Miljonowe rzesze ludu niemieckiego, dla których od Sadowy i Sedanu wyrocznią naukową stał się der preussische Schulmeister, które poważnych publikacji naukowych, nawet popularyzujących, nie czytają, a codzienną strawę duchową czerpią z gazet partyjnych, licytujących się w zo-

ologicznym patrjotyźmie, wbijają się w przekonanie, że tylko one jedne mają przodków czystej krwi nordyckiej. Wszystkie zaś inne narody europejskie, to mieszańcy, metysy, bastardy; jedni Niemcy nie są mieszańcami. Prawda, że p. Georg Cleinow, dobrze pamiętny w Polsce z czasów okupacji niemieckiej, napisał w miesięczniku „Europäische Gespräche“, że naród niemiecki nie może zrezygnować z tego stałego dopływu krwi polskiej, jaki czerpał przez tyle wieków swego pochodu na wschód; że po jednej stronie granicy mieszka lud niemiecko-polskiego pochodzenia, a po drugiej polsko-niemieckiego. Ale czyż to nie obosieczny argument? Czyż nie może tak samo polsko-niemiecki człowiek powiedzieć: „Ten kraj po Łabę jest mój“, skoro tamten, niemiecko-polski, nie przestaje wołać: „Ten kraj po Wisłę i po Wołgę jest mój“? Więc już lepiej będzie, jak to przykazał Fryderyk II, jeśli lud uwierzy w nasze (pruskie) kłamstwa. Prawda naukowa jest tylko dla ludzi, mocnych w pruskiej racji stanu, lud zaś miewa dziwaczne skłonności do etyki; lepiej więc nie uczyć go prawdy!!

Profesor K. Hampe w małej książeczce „Der Zug nach dem Osten“, naukowej, chociaż w narodowym duchu niemieckim pisanej, notuje, że jeszcze w r. 1845 dla Kaszubów i Slawinców nad Jeziorem Leba (wschodnie Pomorze pruskie) odprawiano w kilku powiatach nabożeństwa „słowiańskie“; prostujemy: „polskie“, bo językiem kościelnym Kaszubów, nawet za czasów krzyżackich, był zawsze język polski i dopiero nowoczesne „liberalne“ Prusy daremnie próbowały to zmienić. Do XVI stulecia istniały w Meklenburgji wschodniej liczne wyspy ludności słowiańskiej z języka i obyczaju. W r. 1293 w Anhalcie, w 1327 w Lipsku, w 1424 w Miśni rozbrzmiewał język słowiański nawet jeszcze w rozprawach sądowych. W Hannowerze, na lewym brzegu Łaby, jest okolica, zwana Wendland, na północ od miasta Salzwedel, gdzie jeszcze w XVIII wieku wygłaszano kazania po połabsku. Do pierwszej ćwierci zeszłego stulecia okolice Wrocławia były prawie tak pol-

skie, jak dziś okolice Opola. Kto przechodzi ulicami Gdańska, Berlina, Frankfurtu nad Odrą i wielu innych miast niemieckich w „Transelbji“, z samych już nazwisk na szyldach sklepowych może przekonać się o silnie mieszanem pochodzeniu ludności, dla której dziś tworzy się w Niemczech legendę „nordycką“, jak przedtem tworzyło się hohenzollernską.

Niemniej wymownem jest świadectwo typów fizycznych ludu na całej tej prawobrzeżnej połabskiej połaci dzisiejszych Niemiec, gdzie domieszka krwi słowiańskiej występuje miejscami tak wybitnie, że raczej należałoby mówić o domieszce krwi niemieckiej. Demagogja naukowa niemiecka wysunęła się tu na teren bardzo a bardzo grząski, gdzie wcale nietrudno zepchnąć ją z pozycji zaczepnej na obronną, wskązując na to, że nawet wśród ludu wiejskiego Polski zachodniej, poza osadami niemieckiemi, nie znajdzie prawie nigdzie takich, jak tam, niezaprzeczalnych śladów faktu, iż krew germańska stanowi tylko domieszkę do krwi słowiańskiej. Germańska „siła asymilacyjna“ pracować musiała przez całe wieki, by w tych „nowych plemionach niemieckich“ w dzisiejszej Transelbji zasymilować wkońcu pierwiastek słowiański tak powierzchownie, że nietylko w germaniźmie nie utonął, ale znaleźć go można wszędzie, w nazwach rzek, strumieni, pagórków, łęgów, wsi i miast, na twarzach ludzkich, w klechdach i baśniach, miejscami nawet w budowie domostw, a bodaj czy nie i w obyczaju.

Z 65 miljonów ludności, które w r. 1910 liczyła Rzesza niemiecka, 26 miljonów przypadało na ziemie na wschód od Łaby, a z tego prawie 5 miljonów na Słowian (Polaków i Łużyczan). Jeśli zaś zważymy, że postęp uprzemysłowienia niemieckiego zachodu już od połowy zeszłego wieku ściąga tam stały i wzrastający odpływ ludności ze wschodu, to nie trudno doliczyć się, że zgórą jedna trzecia dzisiejszego ludu w Rzeszy składa się z różnych germańsko-słowiańskich mieszańców, pozostałe zaś dwie

trzecie, to mieszańcy niemiecko-celtyccy i niemiecko-słowiańscy. Niema tu więc miejsca na „niemieckiego człowieka“ czystej krwi nordyckiej, którym operuje demagogja, by utrwalić wśród Niemców przekonanie, że czego im brak na sile liczebnej — a ostatnio także rozrodczej — to zastąpią rzekomą wyższością swej rasy nad sąsiadami, których podbić pod swą władzę i utworzyć z nimi nowe plemiona ludu niemieckiego jest ich „prawem historycznem“.

Przed wojną światową poważni historycy niemieccy, nawet wysokiej klasy i tak popularni, jak H. S. Chamberlain (coprawda Anglik, ale piszący wiele po niemiecku i w duchu niemieckim zorjentowany), pogodzeni już byli z faktem, że dzisiejszy naród niemiecki jest takim samym stopem różnych etnicznych pierwiastków, jak inne nowoczesne ludy europejskie. Nie mogli zresztą nie pogodzić się z tem, przekonawszy się na podstawie badań archiwalnych, antropologicznych, językowych i ludoznawczych, że mylne były dawniejsze poglądy o rzekomo zupełnem wytępieniu Słowian zachodnich na przeważnej części obszaru Transelbji. Wyciągając z tego swoiste konsekwencje, niejeden z tych pisarzy — a najbardziej ci właśnie, którzy najszumniej podnosili pruskie zasługi około niemczyzny — dopatrzył się szczególnie łaskawego zrządzenia opatrzności dziejowej w tym fakcie mieszanego pochodzenia ludu „transelbjańskiego“. Indywidualizm, niesforność plemion zachodnio- i południowo-niemieckich, egoizm dynastyczny ich monarchów, sprowadziły na Rzeszę — tak wywodzono — prawie sześć wieków nieszczęsnego narodowego i politycznego rozproszkowania. I dopiero szczęściem w tem nieszczęściu było, że tymczasem, od chwili objęcia w posiadanie Brandenburgji przez Hohenzollernów, w tej Germania Nova na prawym brzegu Łaby, pod przewodem energicznych, kierowniczych ludzi — Führerpersönlichkeiten — rósł nowy ośrodek państwowego i narodowego skupienia, kraj, którego ludność, dzięki łagodności i plastyczności ducha słowiańskiego, lepiej, aniżeli

którekolwiek plemię niemieckie, nadawała się na tworzywo karnej i sprężystej organizacji. „Prusy były dworem, administracją i wojskiem, zanim stały się narodem“ — tak wspomniani pisarze streszczali historję brandenbursko-pruską aż do Fryderyka II, narodem o dowolnie i tendencyjnie obranej granicy, skoro się zważy jak anarodową, a w gruncie rzeczy nawet antynarodową, z niemieckiego punktu widzenia, była właśnie polityka tego króla oraz jego następców w czasie podziałów Polski.

I jeszcze jeden wzgląd psychologiczny, a drugi polityczny, przyczyniały się do tego, że już tylko niewielu manjaków karakolowało sobie dalej na „czysto germańskiej krwi“ koniku. Düppel, Sadowa, Sedan wbiły Niemców, a szczególnie Prusaków, w butę i dufność bezgraniczną. Czuli się naprawdę „über alles“, uważali, że jako zwycięscy mogą „pozwolić sobie“ nawet na półsłowiańskie drzewo genealogiczne. Nietajenie takiego rodowodu, wskazywanie na tylu a tylu „dobrych Prusaków“ w pierwszym, a „dobrych Niemców“ w drugim rzędzie, piszących swe nazwiska przez... sky, choć jeszcze dziad, albo i ojciec pisał się przez... ski, było jednym z argumentów, przemawiających za celowością dalszej transfuzji krwi słowiańskiej — bodaj pod przymusem. Skoro bowiem wyniki tej „bastardyzacji“ wyszły na dobre i Prusom i Niemcom, to germanizacja kresów wschodnich wszelkimi sposobami musi być dozwolona, jako zgodna z racją stanu pruską i niemiecką. Ufni w dalsze zwycięstwa à la Sadowa i Sedan, uważali politycy pruscy, że stać ich — do pewnych granic — na prawdę historyczną i etnograficzną. I dlatego, aż do samego wybuchu wielkiej wojny spotykamy w Niemczech, obok naukowych teorji o dodatnich właściwościach niektórych stopów etnicznych, energiczne nawoływania do niemczenia ziemi mazurskiej, Warmji, Prus Zachodnich, Poznańskiego i Górnego Śląska — nawoływania, popierane urzędową statystyką, wykazującą na tych ziemiach polską większość ludności.

Klęska niemiecka w wojnie światowej spowodowała nagłe i gwałtowne przestawienie kierunku nakazów, wynikających z prusko-niemieckiej racji stanu fryderykowskiego autoramentu. Do zwycięstwa nowej racji stanu potrzebna jest dziś wiara ludu niemieckiego, że „zrabowano mu i zagarnięto" (geraubt und geklaut) na wschodzie ziemie „odwiecznie i rdzennie niemieckie". Precz więc z przedwojenną statystyką tych ziem! Umysły teutońskie trzeba rozpalać do należytego zrozumienia „majestatu idei germańskiej".

Podczas wojny prof. Dietrich Schäfer, nacjonalista, pisał, że od Fryderyka Rudobrodego nie było wojny niemiecko-polskiej. Była to użyteczna prawda, kiedyśmy stawiali w Warszawie tron dla Hohenzollerna. Teraz precz z nią! Niech lud niemiecki dziś wierzy, że Polak, to gorszy Erbfeind, niż nawet Francuz. Krew słowiańska zmieszała się z niemiecką w żyłach nowego niemieckiego plemienia Prusaków? To wolno, niezbyt głośno, mówić tylko „wyższym" warstwom społeczeństwa, ludowi zaś trzeba wybić z głowy wszystko, co tylko mogłoby rzucić bodaj cień wątpliwości na jego przekonanie, że pruski rozbój na Polsce był tylko chlubnie dokonaną naprawą dawnych krzywd narodu niemieckiego. Niechaj tam sobie Bawarczyk, albo Nadreńczyk wymyśla przy sposobności na Prusaków, ale nie na to przyzwyczajaliśmy go przez pół wieku zgórą do pruskiego bakałarza, aby się teraz wyłamywał z pod jego autorytetu!

Wystarczy wziąć do ręki którąkolwiek z niezliczonych książek o „zagrabionym niemieckim wschodzie", o „utraconej ojczyźnie nad Wartą i Wisłą", którąkolwiek z broszur, wydawanych przez t. zw. Heimatdienst za rządowe pieniądze, wystarczy przejrzeć tytuły docentów, profesorów, archivratów, studienratów i t. p. przy nazwiskach autorów tych pism i artykułów, obiegających całą, tak silnie rozgałęzioną prasę prowincjonalną niemiecką wszystkich odcieni politycznych, aby przekonać się, że takie, a nie

inne jest naprawdę podłoże tej „nauki“, którą dziś popularyzuje się u naszego zachodniego sąsiada.

Nauką tą jest zarażona, przesiąkła, do cna przeżarta cała produkcja niemieckich podręczników szkolnych — od pierwszej czytanki, aż do objaśnień, towarzyszących atlasom historycznym, które dostają uczniowie wyższego gimnazjum w wyższych klasach szkół średnich. Książki te były już przed wojną jaskrawem nadużywaniem nauczycielskiego autorytetu i odpowiedzialności, czem wyjaśnia się fakt, że tylu Niemców, osobiście uczciwych, nie ma pojęcia o podstawowych prawdach aktualnych zagadnień politycznych i gospodarczych, że tylu, zresztą zdala od demagogji trzymających się polityków zachodnio- i południowo-niemieckich po dziś dzień powtarza lekcje, wyuczone w sprusaczonej szkole przed dwudziestu i czterdziestu laty. Jeśli zaś tak rzeczy się mają w obecnem pokoleniu obywateli i przywódców niemieckich, to co będzie, gdy ich miejsce zajmą ci, którzy uczą się z powojennych podręczników szkolnych?

Odpowiedź na to dają już młodzi wśród 107 narodowych socjalistów w Reichstagu. Z każdego ich słowa tryska skoncentrowany jad pruski, którym ociekają strony każdej powojennej książki szkolnej niemieckiej, za wyjątkiem — na razie — jednej arytmetyki; nie jest jednak pewnem, czy jutro Schulmeister pruski nie wetknie do tornistra swych uczniaków „geometrji“, co będzie już wstępem do. . . geopolityki!

W obszernym artykule półmiesięcznika „Die Zeit“ prof. Fr. W. Foerster pochwala mowę kolońską kanclerza Brüninga, wskazującą na konieczność zorjentowania narodu niemieckiego w rzeczywistościach położenia i prawdziwych przyczynach tego położenia. Prof. Foerster przytacza, że kanclerz mówił w Kolonji o 16 latach okłamywania ludu niemieckiego. Wspomina w tym artykule najjaskrawsze przykłady tego okłamywania: problem wschodni, problem reparacyjny, winy za wybuch wojny, metod

wojowania oraz problemy mniejszościowy i rozbrojeniowy. A potem czytamy: „Rozprawienie się z zagadnieniem rewizyjnem wymaga gruntownego sprostowania nacjonalistycznej literatury propagandowej, która tu, jak wszędzie, sfałszowała, albo do góry nogami odwróciła wszystkie fakta historyczne i polityczne. Krótko mówiąc, po 10, 16, 60 latach puszczania w obieg fałszywej monety, powiedzenie prawdy o Prusach, Polsce, Francji, Belgji, winie wojennej, prowadzeniu wojny, reparacji, inflacji, rozbrojeniu, dozbrojeniu, Wersalu — jest to zaiste oczyszczenie najogromniejszej stajni Augjasza i wymaga 100 Herkulesów. A jednak: żyje jeszcze powaga prawdy w Niemczech i kto wie, jakie niespodziewane stare i nowe siły rozbudzić się mogą w naszym narodzie na zdecydowane wezwanie".

Odważnemu szermierzowi prawdy, jednemu z nielicznych niestety w Niemczech, którzy woleli raczej pójść na dobrowolne wygnanie, aniżeli zamilknąć, należy pokłonić się za to, że mimo wszystko nie zwątpił o skierowaniu swego narodu na drogę prawdy. Lecz pytać wolno, kiedy w nauce niemieckiej podniosą sztandar prawdy ci wszyscy, którym wielka przeszłość i chlubna teraźniejszość tej nauki nakłada — zdawałoby się — obowiązek, by wypędzili demagogów ze swej świątyni? By powiedzieli tym wszystkim doktorom, docentom i profesorom, którzy poszli na służbę imperjalizmu pruskiego, że nie są godni stopni akademickich, że zszargali we własnym kraju i zagranicą dobrą sławę nauki niemieckiej. Że dość nieszczęść sprowadził na Niemcy i ludzkość nauczyciel pruski, zwycięsca z pod Sadowy i Sedanu. Że głosy takie, jakie już kilkakrotnie odezwały się w „Neue Zürcher Zeitung" o podręcznikach i atlasach niemieckich, albo w „Litterary Supplement of the Times" o teorjach prof. Günthera, są dostateczną przestrogą, iż demagogja pseudonaukowa popłaca może przy wyborach w Rzeszy, ale **nauka międzynarodowa przed tą ofenzywą prusko-niemiecką zewrze się prędzej czy**

później w koalicję, której potęga duchowa będzie jeszcze większa, aniżeli potęga orężna sojuszu, który rozbił pozycje Zygfryda.

Jeszcze kilka lat takiego, jak obecne, nieposkromionego kłamstwa w szacie naukowej, a prawdziwa, wielka nauka niemiecka zbankrutuje na rynku międzynarodowym wskutek inflacji i fałszywej monety, puszczanej w obieg przez pruskich hegemonów. Bo świat nie zechce ścierpieć raz jeszcze, by „propaganda literacka zakończyła się zbrojnym najazdem".

Maksymiljan Goryński.

CHLEB CZY PIENIĄDZ?

Radzą, radzą i radzą...
Ustawy, dekrety i rozporządzenia...

Morze projektów oficjalnych i prywatnych i uchwał związków zawodowych i fachowej literatury socjalno-ekonomicznej przelewa się z szumem przez młyńskie koło — a raczej błędne koło — naszej walki z kryzysem i bezrobociem. A kryzys i bezrobocie, jak rosły dotąd, tak rosną i nadal z niewstrzymanym na razie rozpędem.

A z niemi razem rosną głód i nędza — najgorsi doradcy. Wydaje się, że nic sobie nie robią z tych wszystkich wysiłków skomplikowanej polityki i statystyki, które chciałyby paragrafem lub uczonym frazesem łagodzić najdoktliwsze, żywiołowe bolączki powojenne.

Tak dziwnie jakoś, wprost niesamowicie skomplikowały się i poplątały nasze dzisiejsze stosunki i... głowy! Co dawniej, przed wojną, prostem i jasnem było dla społeczeństwa i rządów, to dzisiaj stało się istnym węzłem gordyjskim. Wszak dziś z reguły nie „rozwiązuje się" zagadnień, lecz tylko „podchodzi się" do nich — o ile ich się wogóle nie „obchodzi" z panicznej obawy powzięcia jakiejś stanowczej decyzji, przyjęcia na siebie choćby najmniejszej odpowiedzialności.

I to właśnie utrudnia tak niesłychanie stosunki, utrudnia zwłaszcza wszelką akcję ich naprawy. Dyskusja — tak, aż do przesytu, ale decyzja — nie, pod żadnym warunkiem!

Niech mi wybaczą specjaliści i „znawcy stosunków", ale mam wrażenie, że im bardziej problemy komplikują się w państwie, im większem grożą niebezpieczeństwem, tem bardziej zdecydowanego wymagają cięcia. Każdą rzecz można przemędrkować, wiążąc sobie coraz bardziej

ręce i nogi, ale można ją także prostym, zdrowym, chłopskim rozstrzygnąć rozumem. Zwłaszcza, gdy chodzi o doraźne zaradzenie nędzy, o prymitywny obowiązek „demokratycznego“ humanitaryzmu: dostarczenia głodnym przynajmniej codziennego chleba, przynajmniej łyżki ciepłej strawy. Nie potrzeba chyba na to ani głębokiej ekonomji, ani głębokiej polityki. Wystarczy ów chłopski rozsądek — o ile oczywiście nie ma się umysłu, skłonnego do komplikacji lub uwięzionego w upartych doktrynach.

Przechodząc niedawno koło jakiejś piekarni byłam świadkiem niemej sceny, bardziej jednak rozdzierającej, niż wszelkie głośne tragedje. Obdarty inteligent, trzęsąc się z zimna w łachmanach, stał przed wystawionym koszem świeżego pieczywa, wpijając weń pożądliwe, gorejące głodem oczy. To wyciągał nieznacznie drżącą rękę, to cofał się i odwracał, jakby chcąc iść dalej, to znów zwracał się do kosza — walcząc widocznie z ciężką pokusą...

Widok ten pouczył mnie więcej, niż tomy rozpraw sejmowych i rozporządzeń urzędowych i referatów gospodarczych, którymi przepełnione są gazety.

I przyszedł mi na myśl ów nadmiar zboża i innych produktów których podobno zbyć nie możemy, które — jak zewsząd słyszę — są podobno nie błogosławieństwem naszem, ale bankructwem. I przyszły mi też na myśl ciężary „dobrodziejstw społecznych“, któremi demokratyczne państwo nas obarcza i owe krociowe rzesze bezrobotnych, a nadewszystko owe ustawowe zasiłki pieniężne — nietykalna zdobycz nowoczesnego postępu — nie dozwalające ani żyć, ani umierać, ale zato dozwalające na postępową demoralizację bezrobotnych.

Chociaż daleko stoję od tych problemów, to jednak pod wpływem owej niemej sceny przed sklepem i tego wszystkiego, co w gazetach czytam i od znajomych słyszę, zaczęłam nad tem rozmyślać...

Otóż Polska — bo mniej mnie obchodzi, co inne państwa robią — ustaliła sobie zasadę wspomagania bezrobot-

nych zasiłkami pieniężnymi. Pierwszym, rzucającym się w oczy rezultatem tego systemu jest niewystarczalność tych zasiłków, bo ubogie państwo oczywiście wiele płacić nie może. Drugim jest fakt, że dzięki różnym restrykcjom i skomplikowanej, biurokratycznej formalistyce, znaczna ilość bezrobotnych — i to nieraz najbardziej potrzebujących wsparcia — zasiłków wogóle nie otrzymuje. Trzecim wreszcie, że zasiłki te najwyraźniej, bezspornie, demoralizują lud.

I ten ostatni rezultat wybija się na pierwsze miejsce. Bezrobotni, otrzymując datki pieniężne, albo marnują je lekkomyślnie, albo przepijają z rozpaczy. Niejeden woli „zalać robaka", pozostawiając rodzinę w najgorszej nędzy i popychając ją i siebie na dno moralnego upadku, a często i występku. Co gorsza zaś jeszcze — z ogólno-państwowego punktu widzenia — coraz większe rzesze przyzwyczajają się do stanu płatnego bezrobocia, pasorzytując na państwie i pracującej reszcie społeczeństwa.

Widziałam takie rzesze bezrobotnych, koczujące po różnych zaułkach, a zwłaszcza pod filarami wiaduktu Poniatowskiego. Nieźle im się tam działo, napewno lepiej, niż w gehennie baraków miejskich. Pozowali na nędzarzy. Ale niech no kto spróbował zaangażować ich do roboty, nawet nieźle płatnej roboty, to z kategoryczną spotykał się odmową!

Ciekawe przytem robiono odkrycia. Bo ten i ów, jak się okazało, sprzedał mieszkanie w barakach i wyprowadzał się w cieplejszych miesiącach na „willeżiaturę" pod mostem, jako zasobny kapitalista, pobierając nadto pensję od państwa i czekając na zapowiedziane na zimę otwarcie nowych baraków, zbudowanych podobno przez banki państwowe. Po co w takich warunkach pracować? Czy się opłaci fatyga, kiedy na niczem nie zbywa, nawet na gotówce, no i na wódce?!

Po wszystkich dotychczasowych doświadczeniach nie ulega więc chyba wątpliwości, że gotówkowe wspomaganie

bezrobotnych, nakazane ustawą, nietylko nie łagodzi bezrobocia, ale je nawet podsyca i rozwydrza. Tworzy się w państwie nowoczesna warstwa „płatnego“ proletarjatu, zdemoralizowana do gruntu, cyniczna i najlepsze stanowiąca podłoże dla komunizmu. Bo w tem chyba zgodzą się ze mną wszyscy „znawcy stosunków“, że gdyby bolszewizm miał kiedykolwiek ujawnić się u nas na większą skalę, to w pierwszych szeregach za przywódcami iść będą pod sztandarem sierpa i młota właśnie owe rzesze płatnego przez państwo, pasorzytniczego proletarjatu.

Rozumiem oczywiście, że chwilowo i lokalnie wyrzuca obecny kryzys na bruk pewne zastępy bezrobotnych, które przez jakiś czas istotnie nie są w stanie znaleźć pracy, choć tego najbardziej pragną. Ale czy nie większe są zastępy tych, których możnaby zatrudnić, gdyby państwo realniej o tem pomyślało i gdyby oni sami — naprawdę chcieli pracy?

A tymczasem całe gospodarstwo krajowe ugina się pod ciężarem rujnującego kryzysu, spowodowanego, między innymi, relatywnym nadmiarem niemal bezwartościowych finansowo produktów rolnych, zwłaszcza zboża i ziemniaków. Gnije więc zboże w spichlerzach, a ziemniaki w polu, grozi państwu poważny kryzys podatkowy — a jednak państwo pozwala sobie na luksus płacenia pensji bezrobotnym w gotówce, na luksus, który z jednej strony przeciąża wyczerpane do cna gospodarstwo krajowe świadczeniami socjalnemi, a z drugiej demoralizuje setki tysięcy bezrobotnych — i to niezawsze najbardziej potrzebujących, a często natomiast najsprytniejszych.

Czyż taki stan rzeczy, pomijając już wszelkie inne momenty, zgadza się z jakąkolwiek logiką, z jakąkolwiek racjonalną myślą gospodarczą czy polityczną? Chyba nie i dlatego sądzę, że z tym oczywistym absurdem, wytworem czystej demagogji, trzeba raz skończyć.

Zamiast płacić bezrobotnym gotówką, dać im chleba! Można nawet dać

i więcej — inne produkty, a w miarę możności i wyżej wspomnianą łyżkę ciepłej strawy. Dzieje się to już tu i ówdzie zagranicą, dzięki różnym stowarzyszeniom dobroczynnym. A u nas, czy nie możnaby użyć do tego np. kuchni i piekarni polowych? Czy państwo, zamiast wyczerpywać się w prawdziwie syzyfowych a kosztownych premjach eksportowych i innych sztucznych, a — jak dotąd — beznadziejnych wysiłkach forsowania ceny produktów rolnych, nie mogłoby zakupywać ich za te same pieniądze, które wydaje obecnie na istną hodowlę płatnego lenistwa i występku?

O co wołają głodni? — „Dajcie nam chleba!" Dobrze, niechże im państwo da chleba! Będą mniejwięcej syci, a wiadoma rzecz, że syty żołądek łagodzi skłonności wywrotowe. Zachęca nawet poniekąd do pracy, zwłaszcza, gdy brak przytem gotówki na inne potrzeby.

A nadto, prosty ten sposób, działając bez żadnej wątpliwości — przynajmniej w pewnym stopniu — na podniesienie moralne bezrobotnych, które uniemożliwia system gotówkowy, wyda inne jeszcze, niemniej korzystne owoce. Oto skup przez państwo resp. samorządy produktów rolnych za kwoty, zbierane drogą świadczeń socjalnych, przyczyni się oczywiście do pewnego podniesienia ceny tych produktów. Zamiast więc dalszej deprecjacji gospodarstwa rolnego i w następstwie wzmagania się bezrobocia, wpłynie taki celowy, a bezpośrednio użyteczny zakup pewnych ilości zboża, ziemniaków i t. d. podwójnie dobroczynnie na stosunki: dźwigając sprawiedliwie rentowność roli i sanując — w granicach możliwości — stan bezrobocia.

A przytem zrealizuje się także najhumanitarniejszy w danych warunkach postulat polityki demokratycznej. To też wszystkie stronnictwa w Polsce powinnyby — w myśl swych zasad i ideologji — poprzeć tę sprawę, a im które z nich bardziej „postępowy" program wyznaje, tem silniej powinno ją poprzeć. Wszak chodzi tu wyraźnie o bezpośrednie dobro proletarjatu, fizyczne i moralne. Wszak

pierwsi socjaliści obnoszą w swych manifestacjach tablice: „Precz z alkoholem, chcemy chleba“! Otóż zrealizujmy im oba te słuszne i bezsporne postulaty!

Ale... czy swoista nasza mentalność formalistyczno-biurokratyczna zdobędzie się na to? Czy zwłaszcza nasze partje demokratyczne poparłyby szczerze taki projekt i taką ewentualną politykę rządu? Mam tu pewne i to poważne wątpliwości. Zdaje mi się — obym się myliła! — że partjom tym nie bardzo w smak pójdzie takie rozwiązanie sprawy. Bo u nich to kwestja nietyle głodu, nietyle bezrobocia, ile przedewszystkiem — konkurencji wyborczej. Czyż istotnie należy zaspokoić w sposób praktyczny głód bezrobotnych? Wiadomo przecież, że syty, że moralnie podniesiony, nie jest podatnym materjałem dla radykalnej agitacji. Czyż nie lepiej głosić tylko hasła wzniosłe i miłosierne, ale nie realizować ich na serjo, a przeciwnie, utrzymywać masy w stanie niezadowolenia i fermentu? Wszak najprymitywniejsze abecadło wyborcze tego wymaga!

A więc, pomyślą przywódcy partyjni, najlepiej zgodzić się w teorji na program „chleb zamiast gotówki“, ale w praktyce stanowczo oponować. A przedewszystkiem zasłonić się ustawą. Tak, ustawą — jedną z tych demagogicznych ustaw pisanych, któremi partje sejmowładcze pospieszyły się byt swój zabezpieczyć i utrwalić. Świetna ustawa, nakazująca przeciążać warsztaty pracy, a płacić gotówką za bezrobocie — przymusowe czy nawet mniej przymusowe.

I jakże miałaby demagogja wyzbywać się tak cennego atutu, prolongującego znakomicie stan bezrobotnej anarchji, a na to miejsce karmić na serjo głodnych i w dodatku jeszcze ułatwiać obszarnikom nieco korzystniejszy zbyt produktów!

Nigdy! I dlatego nie ulega wątpliwości, że demagogja zdezawuuje tu własne hasła i zasłoni się ustawą, w imię tajnego swego programu: Precz z chlebem, a dawać pie-

niądze na wódkę! W tych warunkach wszelka rozumna akcja wydawać się może beznadziejną. Bo przecież poto właśnie budowano tak spiesznie, z takim rozmachem, gmach demagogicznego ustawodawstwa w pierwszych latach niepodległości, aby zamurować w nim wszelką możliwość racjonalnej naprawy błędów sejmowładztwa.

Ale — mamy przecież obecnie niemal dyktatorskie rządy, stworzone pod hasłem uzdrowienia stosunków! Mamy ogromną większość parlamentarną, która te rządy popiera. Czyż istotnie byłoby im trudno zmienić — formalnie i legalnie — ustawę, wyraźnie szkodliwą? Czyż dla realizacji oczywistych a piekących postulatów zdrowego rozsądku trzeba długotrwałych narad i perypetji i komplikacji i — jak to mówią — cięcia włosa na czworo?

Mam wrażenie, że nie. A szybka, zdecydowana akcja w tym kierunku byłaby nadto najlepszą i najrealniejszą bronią przeciw wszelakim bolszewizującym zakusom. I w takiej właśnie akcji — humanitarnej, szczerej i uczciwej — dla dobra ludu okazałoby się też, kto naprawdę tego dobra pragnie, a kto, mimo wzniosłych haseł i frazesów, jest faktycznie jego nieprzyjacielem!

Marja z Paygertów Bobrzyńska.

TA TRZECIA...!

II.

Georges Duhamel w swych „Scènes de la Vie Future“ podaje tylko oddzielne obrazki, dobre szkice z amerykańskiego życia, ale wystarcza to zupełnie, by sobie wyrobić zdanie, czem grozi Europie rozszerzanie się tej umysłowości z za Oceanu. Zaznajomiwszy się pobieżnie z terenem w poprzedniej części tej rozprawki, przejdziemy więc teraz do paru szczegółów życia.

Utartem jest zdanie, tak utartem, jak większość poglądów naszych na nieco dalsze strony, ludzi lub pojęcia, że robotnik amerykański jest specjalnie uprzywilejowaną istotą, że żyjąc w dobrobycie, jeżdżąc własnem autem, nie będąc wyzyskiwanym przez socjalistyczne partje lub urządzenia społeczne, wiedzie żywot beztroski i dochodzi „bez pudła“ do kategorji miljonerów, a przynajmniej rentjerów. Pod względem życia umysłowego robotnik ten też, jak nam się wydaje, znacznie wyżej stoi od naszych europejskich proletarjuszy: uczęszcza do klubów, zabawia się sportami, zajmuje sztuką, literaturą, może nawet filozofją, a w polityce — to już bezwątpienia odgrywa, jeżeli nie decydującą, to przynajmniej bardzo czynną i pożyteczną rolę. Przytem robotnik ten bardzo mało pracuje, a praca jego jest wielce wydatną, bo jest on kierownikiem maszyny, coś w rodzaju bezpatentowego inżyniera, którego praca jest więcej umysłową, niż fizyczną, wymaga rozwagi, potęguje zdolności umysłowe.

To utarte zdanie jest niestety baśnią! Robotnik amerykański jest przedewszystkiem przedstawicielem niezwykle procentowo licznej warstwy społecznej, bo stanowi przeszło 45% całej ludności kraju i to bez brania pod uwagę robotników rolnych! Już sama ta mnogość jednostek, zmuszonych życiem do ciężkiej codziennej, zarobkowej pracy,

wykazuje, że jednak nie tak łatwo i szybko mogą one dojść do złudnych miljonów, czy choćby tylko zwykłego dobrobytu.

Ponieważ Ameryka jest krajem maszyny i mechanizacji życia, więc też ta wielka rzesza robotnicza bynajmniej nie kieruje maszyną, lecz obsługuje ją; robotnik amerykański jest niewolnikiem bezdusznej a potężnej machiny. Niema i nigdy nie było straszniejszego niewolnictwa, jak właśnie to poddanie człowieka maszynie, poddanie duszy — zorganizowanej materji!

Praca robotnika amerykańskiego jest niebywale wydajną, ścisłą, wymagającą skupienia i wytrwałości, beznadziejnie monotonną i jednostronną. Nie widać tam, jak u nas, ludzi, gwarzących mile i palących papierosy na rusztowaniach lub przy warsztacie, nie widać wałęsających się przy budowlach lub na fabrykach robociarzy, bo to im tam czegoś potrzeba lub też coś ich zaciekawiło z zewnątrz; w Ameryce niema ani jednej straconej chwili, wszystko jest uregulowane, niemal automatyczne są ruchy, bo wszystkiem rządzi i nad wszystkiem góruje nieznająca wytchnienia maszyna. Aby trochę nad tem zjawiskiem pomyśleć, warto zobaczyć (mało zresztą wartościowy) film, noszący nazwę „Metropolis"; tam amerykański reżyser skopjował amerykańską „pracę"...

Ale praca tych robotników wzbudza podziw nawet w zachodnim europejczyku, a cóż dopiero u nas! Polak, zwiedzający warsztaty amerykańskie, jest tak oszołomiony wydajnością pracy, jej ciągłością, tym rytmem roboty, że... będąc z upodobania i wychowania materjalistą, zupełnie zapomina o duchowej stronie człowieka, o odwrotnej stronie medalu. Stronę tę widzą ludzie, przyzwyczajeni do głębszego badania spraw, widzą ją socjologowie i filozofowie, ale odczuwają przedewszystkiem artyści. To też, aby wejść w istotę zagadnienia, pozwalamy sobie podać urywek z wrażeń, jakie odniósł Duhamel w słynnych „fabrykach mięsnych" w Chicago.

„Spieszmy, spieszmy! Tutaj zużytkowują się nawet odpadki czasu, poboczne produkty waszych trupów, o chwilę istnienia!

„Auto, ulica, łoskot. Deszcz, ten poboczny produkt znękanego dymami nieba. Nagła woń unosi się, wzmaga, jak wycie syreny. Bezład budynków, sal, korytarzy, windy i nagle z poza olbrzymich, na czerwono pomalowanych żelaznych drzwi, krzyk! Krzyk zwierząt!

„Wchodzimy. Tutaj krzyk ten czyni w swojem napięciu nagły skok, wypełnia, myśleć można, wszechświat po brzegi. Czyż to możliwe, że nie słyszymy go tam, z drugiej strony Oceanu? Gorący opar lepką mgłą osiada na moich okularach, oślepia mnie. Dziwny, mdły zapach chwyta za gardło. Wycieram szkła, patrzę...

„Znajdujemy się na jakimś pomoście, przed nami rozwija się olbrzymia arena. Ogromna, chaotyczna sala. W jednym z jej narożników wyjście galerji krytej, którą płynie rzeka świń. Zwierzęta, całe pokryte brudem, chwytane są pętlą za tylną nogę i zaczepiane wzdłuż ciągnącego się u góry, ruchomego łańcucha. Wiszą w powietrzu, głowami nadół i ryczą swój okropny śpiew śmierci. Łańcuch posuwa się bez przerwy, wioząc je tak zawieszone do robotnika, który je zabija.

„Robotnik ten, atletycznie zbudowany, odziany w opięte, nieprzemakalne ubranie, zalane aż do ramion krwią. Trzyma w prawej dłoni szeroki, potężny nóż. Stoi samotnie, na rodzaju wąskiej trybuny, jak aktor. Łańcuch przesuwa się przed nim, podając mu niejako, na odpowiednio przewidzianej wysokości zawieszone i bezwładne w tej pozycji zwierzęta. Wtedy, ruchem pewnym, spokojnym, pogrąża ten nóż w gardle. Ani chwili wahania, żadnej gwałtowności ruchów. Stal pogrąża się powoli, tryska strumień krwi, by złączyć się z innymi strumieniami, płynącymi rowkami posadzki ku niższym piętrom, gdzie się coś z tej dymiącej krwi robi, nie wiem co: odżywki, lekarstwa, klejnoty, czy może środki wybuchowe.

„Krew spływa, zwierzę rzuca swój ostatni, charczący krzyk. I już nowy krzyk, nowe zwierzę zastąpiło poprzednie“.

I tak dalej, bez przerwy, godzina po godzinie, robotnik pracuje jednym precyzyjnym ruchem ręki... Inny, dalej, osmala płomieniem benzynowej maszynki j e d e n d e c y m e t r k w a d r a t o w y skóry, następny inny, decymetr jemu odpowiedni i t. d. i t. d. Jeden robotnik tylko rozpruwa brzuchy, inny wyjmuje wnętrzności, dalszy odcina głowę. W ciągu 16-tu minut od chwili, gdy żywe zwierzę zawisło na pętli, ostatni kawałek mięsa, już oczyszczony, wyżyłowany, wysegregowany, odpada od ruchomego łańcucha. Każdy robotnik ma tylko jedną jedyną funkcję do spełnienia, częstokroć jeden ruch, ale musi go spełniać na czas, maszyna bowiem nie czeka, musi robić dokładnie, bo inaczej wnet zastąpi go inny robotnik, bo straci zarobek. Praca jest niezmiernie wydatna, dokładna, ale... ale pomyślmy sobie, jakimże to jest stan psychiki, umysłowości, wewnętrzny stan duszy takiego pracownika? Co ten człowiek myśli, co on wogóle może myśleć? Co czuje? Do czego jest zdolnym po 8-miu albo 10-ciu godzinach takiej „stayloryzowanej“ pracy?

Mogą nam zarzucić, iż wybrany przykład jest wyjątkowym i że praca w innych fabrykach jest mniej drastyczną. Możemy sądzić, że Duhamel umyślnie wybrał ten przykład, aby głębiej i pewniej dotknąć wrażliwość europejskiego czytelnika; niemniej jednak mechanizacja pracy i specjalizacja robotników również i w innych gałęziach pracy odejmuje im wszelką inicjatywę, zamienia na „żywe tryby“ wielkiej maszyny, pozbawia myśli i tak już z natury materjalistycznie usposobionego człowieka całkowicie pozbawia życia duszy. Przecież w słynnych fabrykach Forda robotnicy przez cały dzień pracy jeden tylko ruch powtarzają: jeden wkłada nity, drugi naciska pedał, inny porusza tam i z powrotem korbą i t. d. Wzdłuż olbrzymich warsztatów żyje tam dziwaczny potwór, złożony

z maszyn i ludzi, pochłaniając surowe materjały, a wydzielając gotowe auta.

Po całodziennej pracy tego rodzaju, jakież mogą być aspiracje tej cząstki maszyny, zwanej robotnikiem?

Prawdą jest, iż posiada on swoje kluby i bary, restauracje i kina, ale natomiast nie ma ogniska domowego, własnego gospodarstwa nie prowadzi, bo wszystko jest mu dostarczone o danej godzinie, o danej porze, wszystko w serji, koszarowo, mechanicznie i bez ducha. A jaką musi być specjalizacja pracownika, tego przykład widzimy choćby w tramwaju amerykańskim: jest tam tylko motorniczy, prowadzący wóz wśród ścisku amerykańskiej ulicy, konduktorów biletowych zaś niema i każdy pasażer wrzuca swoją należność za przejazd do skrzynki, umieszczonej poza plecami motorniczego. (Można sobie wystawić, jakie rezultaty dałby taki system, obliczony na sumienność publiczną u nas!!). Otóż, ponieważ zachodzi czasem potrzeba wydania reszty, więc skrzynka ta jest tak zbudowaną, iż wpadająca moneta uderza o dźwięczącą blaszkę i motorniczy po dźwięku poznaje, jakiej jest ona wartości i wydaje resztę bez odwrócenia głowy!

Każda niedokładność w robocie, niewykonanie jej na czas, pomyłka, karane są natychmiastowem wydaleniem, bo tak skomplikowana rzecz, jak maszyna, nie może „uczyć“ i nie ma na to czasu. Straciwszy zaś miejsce, robotnik taki musi szukać innego, ale całkowicie analogicznego zajęcia, bo przez sam fakt specjalizacji nie może „czasowo“ zmieniać fachu.

Robotnik amerykański jest doskonale płatny. Tak, ale w stosunku dolara do walut zubożałej Europy, nie zaś w stosunku do drożyzny życia i swoich potrzeb, o wiele wyższych, niż potrzeby proletarjatu europejskiego i niezwykle rzadkimi są wypadki, aby ten robotnik, a nawet i wyższy majster, mógł cząstkę swych poborów odkładać i kapitalizować. Wydaje on całość zarobku tak na życie,

jak i na zaspokojenie tem właśnie amerykańskiem życiem stworzonych potrzeb: posiłki spożywa w barach lub restauracjach, mieszka w jakimś wielopiętrowym gmachu, urządzonym z nieznanym w Europie komfortem, ale o typie koszarowo-hotelowym i musi, czy chce, czy nie chce, opłacać ten narzucony komfort. Opłaca rozmaite polisy asekuracyjne (i słusznie, bo nikt mu inaczej nie da pomocy), a to znów dużą część tych zarobków pochłania, wreszcie musi mieć rozrywki (sport, kino, wycieczki), bo przy systemie zmechanizowanej pracy obyć się bez nich nie może.

Fakt pozostaje faktem, iż mimo wysokich zarobków, robotnicze rzesze pracować muszą do chwili wyczerpania sił i chociaż częstokroć są akcjonarjuszami zakładów, w których pracują, pozostają całe życie w swej robotniczej sferze.

Z punktu widzenia, który nas tu zajmuje, który zresztą zajmować winien każdego człowieka, z punktu widzenia intelektu robotniczego, jego życia umysłowego, jego stanu ducha, jego „człowieczeństwa“, czemże się różni ogromny procent robotników amerykańskich od rzesz pracujących... w bolszewji?

Tu panuje nad człowiekiem krwawa szajka komuny, tam bezduszny dolar i jego maszyny, tu siłą, głodem, terrorem zmusza się rzesze robotnicze do beznadziejnej pracy, tam nacisk jest mniej drastyczny i pokryty mirażowym słówkiem „wolność“, lecz w skutkach swych równie bezwzględny. Tu siłą zabija się w nim duszę i gwałtem spycha do kategorji pociągowego zwierzęcia, tam dzieje się to „samo przez się“, pod pokrywką purytańskiej moralności i pozytywizmu. Rozumiemy doskonale, że takie porównanie jest drastycznem, powiedzmy nieprzyzwoitem, „shocking“, a na pierwszy rzut oka paradoksalnem, ale w rezultatach, w głębi dusz, system amerykański i bolszewicki podobne na masach wyciskają piętno.

N i e w o l a   o l b r z y m i c h   r z e s z   l u d z-

kich, odziana w barwny sztandar demokracji!

O stopień wyżej w hierarchji życia spotykamy nad tą masą robotniczą drugą masę, również bardzo wielką, inteligencji amerykańskiej. Przedewszystkiem więc, jak w każdej szanującej się demokracji, widzimy tam rzesze urzędników biurokracji państwowej czyli federalnej, stanowej, komunalnej, bo biurokratyzm z za Oceanu tylko pod względem wydajności pracy (co zresztą jest bardzo wiele) różni się od europejskiego. Ale, może to zbyt bezwzględny sąd; urzędnik amerykański pracuje bez porównania więcej, lepiej, dokładniej od europejskiego, a że system papierków, dykasterji, raportów i „kawałków" i tam się rozpowszechnił, to już nie jego jest winą. Pozatem urzędnik ten musi umieć zastosować się do różnych zajęć lub też wyjątkowo szybko zrobić karjerę, bo w Ameryce wraz ze zmianą stronnictwa rządzącego (na szczęście jest ich tam dotąd tylko dwa) zmienia się też całkowicie i momentalnie skład administracji; każde stronnictwo lokuje tylko swoich urzędników przy państwowym, czy stanowym żłobku. Są to więc wszystko dzielne businessmany, umieją robić interesy, i z prawdziwem zrozumieniem rzeczy odnoszą się do wszechpotężnego dolara.

Taki np. komisarz okręgowy (urząd dość znaczny) dla przestrzegania prawa prohibicji, obejmuje przy zmianie rządu stanowisko dyrektora tow. szmuglującego wódki, t. z. „bootleggersów", a zrobiwszy tu niezłe interesy, po dwu latach (okres zmiany rządów) z protekcją „pracodawców" zostaje znowu komisarzem prohibicji w innym, większym okręgu i życie sunie dalej, jak po maśle! Albo podczas procesu Williama V. Dwyera — ci urzędnicy świadkowie: Weishaar, Paul Grim, Bendtzan, którzy z rozbrajającą prostotą opowiadają, jak to jednocześnie wypełniali obowiązki państwowe i... pomagali szmuglerom.

To też kategorje urzędników państwowych lub stanowych, zwłaszcza w niektórych „ruchliwszych" działach ad-

ministracji, są bardzo lukratywne i prowadzą ludzi do majątku, ale i tu praca jest bardzo pochłaniającą i wyczerpującą, czas nie liczy się na godziny, lecz na ilość wykonanej pracy i umysłowość tych ludzi jest całkowicie pochłonięta jedynym swym celem — zdobyciem majątku.

Znacznie już mniej dochodowemi są stanowiska pracowników umysłowych prywatnych: biuralistów, inżynierów, techników. Osiem do dziesięciu i więcej godzin wytężonej pracy, zawsze specjalizowanej, zawsze niebywale wydajnej, pracy, o której nietylko u nas, ale i na Zachodzie, mało kto ma pojęcie.

Ten, kto zwiedzał amerykańskie sale buchalteryjne, sale stenotypistów, korespondentów, rysunków technicznych etc., kto widział je w pełnym ruchu i działalności, może sobie dopiero zdać sprawę, do jakiej to wydajności pracy może dojść człowiek-maszyna. Tylko zupełnie wyjątkowe jednostki wybijają się tu od czasu do czasu, zdobywając — dosłownie w pocie czoła — wyższe stanowiska, a tem samem uposażenia i tantjemy; tylko wyjątki dochodzą do majątku. Reszta, tłum, pracuje całe życie tak, jak pracuje robotnik fabryczny, aby tylko móc przeżyć! Wygodnie, ze swoistym komfortem, ale bez możności zapewnienia dzieciom lepszej doli.

Zawody wolne, prawnicy, lekarze, specjaliści technicy, mają może nieco szersze pole działania, niźli w starej Europie, bo jest ich tu procentowo znacznie mniej, konkurencja nie jest tak nużącą. Częściej też wśród nich da się nam spotkać ludzi światłych, o szerszym horyzoncie, o powszechniejszych wiadomościach; wśród nich też znajdujemy przeważną ilość polityków, kierowników społecznych, a nawet bardzo wybitnych uczonych.

Niemniej jednak cała ta masa inteligencji zamknięta jest w pewnego rodzaju ramach, które wiążą ją, ograniczają, utrudniają do niemożliwości dążenia do wybicia się ponad równię umysłowości demokracji, czyli raczej (boć demokracja jest pustym dźwiękiem) tłumu. Reglamenta-

cja życia, to upiór, wycieńczający dusze amerykańskie, a jest ona tak wszechpotężną, tak rozpowszechnioną, iż ujść jej może tylko ten, kto zdobył już miljony.

Wkrótce już tylko miljoner będzie mógł w Ameryce mieszkać w mieście we własnym domu, względnie mieszkaniu, cała reszta ludności mieścić się będzie (i dziś to odnosi się już do większości ludzi) jedynie w słynnych „buildingach“, drapaczach chmur, co w praktyce równa się niemal bardzo eleganckiemu i wygodnemu, ale — więzieniu. Taki drapacz nieba — imponująco (bo brzydkim jest zawsze) wygląda dla turysty, ciekawie dla badacza lub technika, ale w rzeczywistości jest znów tylko jedną z komórek tej potwornej istoty amerykanizmu, bez duszy i serca, bez indywidualnej myśli, bez tego czegoś, co w umyśle ludzkim budzi widok zwykłych domów mieszkalnych.

Pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto pięter wznosi się stromo ku górze, podstawą zajmuje europejski kwartał miasta, fundamentami, wykutymi w skale, sięga na dziesięć i więcej pięter pod ziemię. Dziesiątki wind w bezustannym ruchu, istnych pociągów pionowych, z przesiadaniami i korespondencją lateralną, własne elektrownie, wodociągi, sztuczne stawy, ogrody gdzieś pod chmurami, place sportowe, korty tennisowe na sto i więcej metrów nad ziemią, kluby, bary, kina, dancingi, kabarety, stacje telefoniczne oraz jednotypowe — jak komórki plastra miodu — mieszkania; setki jest ich tutaj i tysiące.

Wszystkie sobie podobne, o jednolitym, zazwyczaj szaroperłowym kolorze ścian, o jednakowych, higjenicznych, komfortowych, a horendalnie brzydkich meblach, o identycznym rozkładzie wewnętrznym. Wszędzie telefony (telefon w Ameryce działa bez zarzutu), krany z mrożoną wodą do picia, nie mówiąc naturalnie o łazienkach, co zresztą w krajach, jako tako cywilizowanych, nikogo dziwić nie powinno; żadnych firanek, draperji, pluszów; czysto i jasno. Ale lokator nie ma prawa nic w mieszkaniu zmienić, nie ma prawa powiesić obrazu na ścianie lub wnieść

swoich mebli, bo to byłoby naruszeniem równości demokratycznej. Lokator używa mieszkania tak, jak używa swego pokoju pacjent w domu zdrowia lub swej celi więzień, wolno mu to robić, co jest przewidziane w regulaminie domu i nic więcej. Jada w restauracji lub barze, czyta w czytelni, pali w palarni — mieszkanie zaś jest tylko noclegiem lub biurem; o cieple ogniska domowego próżno tu marzyć!

Charakterystycznym jest też fakt, iż w Ameryce, poza drobnymi wyjątkami w dziedzinie państwowej lub prywatnych miljonerów, wszelkie budowle są przeważnie bardzo licho robione. Najpotężniejsze gmachy stawia się tak, by przetrwały lat 20—30, a zabudowania mniejsze lub fabryczne są niemal typu czasowych hangarów, z desek, blachy, żelaza skleconych szop... Bo tam nic się nie robi dla „przyszłości", wszystko dla chwili obecnej — dla życia i użycia tego pokolenia. Poco budować solidnie, kiedy i tak za lat kilkanaście miejsca domów 10-cio piętrowych zajmą 100-piętrowe, miejsca takich to gmachów inne; życie bieży naprzód, musi mieć wolne miejsce.

Tandeta budowlana nie jest zresztą jedyną w tym kraju, gdzie standaryzacja wyrobu wymaga serji, ilości, taniości i... szybkiej zmiany na nowe.

Gdy widzimy fotografje jakiegoś miasta amerykańskiego, zniszczonego przez powódź, huragan czy trzęsienie ziemi — to uderza nas brak ruin, murów, złomów — widzi się tylko bezładne kupy desek, blach i sztab. Takie miasta walą się, jak domki z kart i równie szybko powstają z powrotem. Wielopiętrowy building — to tylko olbrzymie rusztowanie z żelaza, „oklejone" specjalnemi ściankami. Dość powiedzieć, że w ciągu jednego dnia stawiają tam do trzech pięter takiego gmachu. Szybko, dużo, szablonowo — oto zasadnicze podstawy produkcji amerykańskiej.

Zresztą, że się tak wyrazimy, standaryzacja życia i potrzeb codziennych w Ameryce doprowadzoną jest do do-

skonałości. Jako przykład wystarczy powiedzieć, że hurtowo produkują tam tylko jeden gatunek jabłek i dwa rodzaje gruszek; są to gatunki, które okazały się najpraktyczniejsze, wszystkie inne są już przedmiotem zbytku.

Co jest ciekawem, to, że sama natura jakby skłaniała się do gustu i umysłowości krajowej. Tak więc prowincją, która produkuje najwspanialsze owoce, znane zresztą w całym świecie, jest Kalifornia. Widzimy tam, że przepyszne brzoskwinie kalifornijskie, zachwycające oko swą barwą, pięknem, wielkością, nie posiadają ani smaku, ani zapachu i dlatego są sprzedawane tylko jako konserwy, które sztucznie perfumują i cukrzą. Przeważna ilość innych owoców pozbawioną jest też smaku, a cudowne na oko kwiaty — zapachu! Bo i poco? Nikt o takie drobnostki nie dba, nikt się na nich nie zna; dla handlu potrzeba wyglądu i ilości, resztę, dla dogodzenia obcokrajowym nabywcom, perfumuje się, słodzi, dodaje się do konserw sztuczne smaki, wszystko „en masse“ i według jedynego, najpraktyczniejszego finansowo wzoru.

Standaryzacja produkcji, reglamentacja życia, tayloryzacja pracy — jak olbrzymie heble — ścinają, równają, wygładzają wszelkie nierówności i tłum amerykański przekształca się w tę wyśnioną, bezduszną, pozbawioną ideału, potężną jednak i pracowitą równię płytkości demokratycznej. Ale ponad tę płaszczyznę wznoszą się w odpowiednich odstępach kolosy! Jak nad skleconem z desek i blach miasteczkiem amerykańskiem strzela ku zadymionemu niebu pyszny ze swej brzydoty, wielopiętrowy building, tak ponad ujętym w ramy tłumem amerykańskim wznosi się miljarder, ponad pracą miljonów istot — anonimowy trust!

Każdy naród dumny jest ze swych ideałów, otacza czcią swoich bohaterów, wznosi na piedestał chwały bądź olbrzymów myśli czy nauki, bądź genjusze sztuki, bądź wodzów narodu, zdobywców lub prawodawców; ideałem amerykanów jest dolar, a ich bohaterami ci, co ten dolar zdobyli, ci, którzy stali się panami złota. Najwięksi wo-

dzowie narodu, od Washingtona począwszy, nie cieszą się tam ani dziesiątą częścią tego uwielbienia i powszechnego uznania, jakie posiadają miljarderzy. Amerykanin z uprzejmością słuchać będzie historji Napoleona lub Karola Wielkiego, będzie się silił nad zrozumieniem, kim to właściwie był Dante lub Sokrates, ale twarz mu się natychmiast rozjaśnia i dumą bije serce, gdy mu się mówi o Morganach, Fordach lub Rockefellerach! Jeżeli zaś w dodatku ten miljony zarabiający człowiek jest jednocześnie bokserem albo gwiazdorem filmowym, to już nie zachwyt, a uwielbienie, coś, co może być porównanem do bałwochwalstwa, widzimy w oczach słuchacza!

W tej demokracji, tak dziwnie spragnionej tradycji, tak żądnej odznak i dekoracji — ludzie, którzy osiągnęli wielomiljonowe fortuny, stanowią typową arystokrację; może nastąpić jakiś krach giełdowy i przypuśćmy, iż mister Morgan czy Mellon straci cały majątek, to sława jego nie minie i dzieci dalej cieszyć się będą ogólnym szacunkiem i opieką. Miljarderom wszystko wolno, wszelka ekstrawagancja jest im darowaną, a nawet gorzej, bo naśladowaną. Luksus ich willi czy pałaców przekracza wyobraźnię europejczyka i równa się tylko brzydocie i brakowi gustu. Całe zastępy służby domowej, której pozatem w Ameryce brak jest zupełny, uważają sobie za zaszczyt, iż służą miljarderom, to samo uczucie mają ich urzędnicy, podwładni; nawet robotnicy fabryczni dumni są, iż miljarderom swą pracę oddają.

Tu jednak przyznać należy, że znaczna część tych uprzywilejowanych kapłanów złotego cielca różni się zupełnie od demokratycznej amerykańskiej masy, nie pochodzeniem lub aspiracjami, lecz ogładą zewnętrzną i ogólnem wykształceniem; stanowią oni przeważną liczbą turystów po wszystkich częściach świata, gdzie właśnie tę ogładę zdobywają.

Również stwierdzić należy, że większość tych miljonerów, jak to poprzednio mówiliśmy, składa się z żydów

lub jest żydowskiego pochodzenia, wobec czego ludzie ci posiadają bezporównania szerszy pogląd na świat, niż amerykanin aryjskiego pochodzenia, a również i rozleglejsze, jeśli nie wyższe cele, niż samo zdobycie złota dla złota!

Wiemy, że administracyjnie i poniekąd politycznie Ameryka podzieloną jest na stany, uważaną jest jako federacja wolnych stanów, ale faktycznie i praktycznie jest podzieloną na trusty. Może się to określenie wydawać nierealnym podziałem, bo „granice“ różnorodnych trustów zachodzą wzajemnie na siebie, pokrywają się i przecinają jedne drugiemi; podział taki leży właściwie w jakiejś geometrji czwartego wymiaru, ale mimo to jest realnym i odczuwa się bardzo jasno. Wszystkie główne produkty kraju, wszystkie zasadnicze gałęzie przemysłu i handlu są w anonimowych rękach trustów, a że niemal wszyscy mieszkańcy Stanów Zjednoczonych pracują w handlu i przemyśle (rolnym włącznie), więc też i cała ludność znajduje się pod władzą tych absolutystycznych, a bezimiennych istot.

Wszystkie te dziedziny zarobku, które już objęły trusty, są temsamem absolutnie zamknięte dla inicjatywy jednostek i to jest powodem, dlaczego dziś w Ameryce coraz to trudniej zdobyć sobie źródło zarobku, coraz ciężej uniezależnić się życiowo. Możliwem to jest jeszcze gdzieś na głębokiej „prowincji“, na skraju resztek puszcz lub prerji, w Górach Skalistych, czy na pograniczu Meksyku, ale i tam sięgać już zaczynają macki tych potworów ekonomiki XX-go wieku.

Walka nawet bardzo bogatej jednostki z trustem jest rzeczą niemożliwą. Odczuł to na sobie jeden z największych miljarderów amerykańskich, jakim jest H. Ford; najpraktyczniej jest złożyć broń przy pierwszem spotkaniu, przyjąć pierwszą zrobioną propozycję, w przeciwnym wypadku trust zrujnuje w najkrótszym czasie każdego pojedyńczego przeciwnika.

Drobny więc handel, przemysł i rzemiosła muszą się

ograniczyć do tych gałęzi wytwórczości, których jeszcze trusty nie objęły, a temsamem do objektów małej rentowności lub też całkowicie zależnych nie od maszyny, ale od inteligencji ludzkiej; dotychczas bowiem niema jeszcze i miejmy nadzieję, że nigdy nie będzie trustu intelektu!

Mówiąc o Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, nie możemy pominąć pewnego czynnika wielkiej doniosłości ekonomicznej i społecznej, będącego zarazem i rodzajem wskaźnika dla umysłowości i etyki amerykańskiej: jest nim asekuracja, system ubezpieczeniowy całokształtu życia.

Asekuracja w Ameryce jest tak powszechną, tak obejmującą wszelkie dziedziny życia, wszelkie drobnostki, a nawet śmiesznostki personalne, że nie da się porównywać z niczem analogicznem w Europie. Amerykanin jest naturalnie ubezpieczony od ognia, kradzieży, włamania, wypadku, choroby, śmierci, strat w handlu lub na giełdzie, niezdolności do pracy, kalectwa, starości, utraty posady, ale pozatem ma jeszcze setki możliwości rozmaitych innych ubezpieczeń; więc np. śpiewak ubezpiecza swój głos, pianista — palce, sportsmen — nogi lub mięśnie, bokser — zęby, panie ubezpieczają sobie paznogcie, cerę, szczupłość... Są ludzie, którzy na wszelki wypadek ubezpieczają się od... kryminału!! Ubezpiecza się wycieczki lub garden-party od deszczu, mgły, niepogody, włosy od wypadania — jednem słowem wszyscy wszystko mogą ubezpieczyć i... ubezpieczają.

Cóż w tem złego? Absolutnie nic! Można nawet amerykanom zazdrościć tego systemu, czasem można się dziwić lub uważać ową powszechność asekuracyjną za rodzaj oryginalności, ale złego w samym tym fakcie nic niema. A jednak właśnie ta łatwość ubezpieczenia i powszechność napotyka po drodze wyznawców etyki dolara i tworzy się coś, co wychodzi poza granice interesu. Pozwólmy sobie raz jeszcze zacytować króciutki djalog między Duhamel'em, a jego amerykańskim cicerone:

„Jakto, drogi przyjacielu, nasz pociąg, nasz wielki

ekspres jedzie sobie spokojnie wzdłuż tego bulwaru (Duhamel nie zna na szczęście Warszawy, jej porządków i dojazdowych kolejek...), przecina ulice, spaceruje po tem wielkiem mieście, jak u siebie w domu?".

„Jak u siebie! To bardzo proste, nieprawdaż? W Ameryce wszystko jest bardzo proste".

„— ...i niema nigdy wypadków?".

„— Przeciwnie, zdarza się bardzo dużo wypadków!".

„Opadam, zwyciężony na fotel Pullmana. Jestto wóz dla dalekich podróży, jeżdżący salon, w którym podróżni spędzają cały dzień. Wieczorem ustawia się tu łóżka. Zasobny komunizm.

„Wspólna tualeta dla pięciu panów, bez drzwi rozdzielających, zupełnie tak, jak widziałem w „Domu Uczonych" w Moskwie. Amerykanin nie wie jeszcze, że najwyższym luksusem jest samotność. Teraz pociąg wypadł już z miasta, moje zdumienie odżywa".

„— Jakto, panie Stone, ta linja kolejowa przecina inne linje na tymże poziomie, a jeśli tego zachodzi potrzeba, pod prostym kątem?

„— Pan nie lubi kątów prostych?"

„...i drogi, szosy, również tak przecina?"

„— Drogi również".

„— I to powoduje wiele wypadków?"

„— Bardzo wiele".

„— A więc towarzystwa kolejowe..."

„— Towarzystwa kolejowe przeprowadziły ściśle swoje rachunki. Ubezpieczenie od wypadków, spowodowanych przez takie urządzenia, jest mniej kosztownem, niżli przeprowadzenie robót w celu zmiany przejazdów, budowy mostów, przekopów. Rozumie więc pan, że nie może tu być żadnego wahania".

Rozmowa toczy się dalej i amerykanin nie jest w stanie zrozumieć, że „zapłacenie" za życie ludzkie lub kalectwo nie może nigdy „wyrównać" pewnych impondera-

biljów takiego „praetium doloris“, jak strata ojca, męża, żony, siostry, dziecka, że te „imponderabilja“ są zasadniczo niewspółmiernie wielkie w porównaniu do wszelkiej sumy dolarów i że etyka nie podlega „ścisłemu rachunkowi“ nawet najuczciwszej i najsolidniejszej amerykańskiej firmy.

W r. 1929 było w Ameryce przeszło 250.000 wypadków, pociągających za sobą rany, kalectwo lub śmierć, a spowodowanych przeważnie szaloną jazdą automobilów. W r. 1930 ilość wypadków przekroczyła już 300 tysięcy, a szalona jazda trwa dalej, amatorki sportu ćwiczą się „rekordowo“ i... tylko stawki ubezpieczeniowe towarzystw asekuracyjnych podniosły się o ułamek procentu.

Z tych przykładów już widać, że spotkanie ubezpieczenia z etyką wypadło w Ameryce na niekorzyść tej ostatniej i że coraz to powszechniej, coraz bezwiedniej, amerykanin wyrównywuje w swojem sumieniu krzywdę — dolarem; jakie taki system może z czasem wydać owoce, to każdy prawy człowiek łatwo może sobie wystawić!

Zresztą nietylko pod tymi względami widzimy dziwne braki w amerykańskiej umysłowości, jest ona bowiem tak różną od wszelkiej innej, którą na świecie spotykamy, że musi być wynikiem życia amerykańskiego i systemów, rządzących krajem.

U najdzikszych ludów, u najprymitywniejszych plemion, zawsze spotykamy pewne naturalne poczucie piękna, jeśli nie w sztuce, to przynajmniej w obcowaniu z naturą; tymczasem ludność Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., chociaż składa się zasadniczo z emigrantów europejskich, poczucia tego bądź niema, bądź też jest ono całkowicie zwyrodniałem. Przez samo uprzywilejowanie natury Ameryka jest bardzo pięknym krajem, ale cóż tam z tem naturalnem pięknem robią mieszkańcy? Jadąc koleją lub automobilem ma się najładniejsze widoki zeszpecone reklamą: tu na tle gór widnieją olbrzymie, nieprawdopodobne tablice, zachwalające jakąś pastę do zębów, tam widok na jezioro zakrywają całe superstruktury ohydnych wycinanek, pole-

cających proszek na robactwo lub sprężynowe materace; niektóre drogi, zwłaszcza przy wyjeździe z większych miast, są tak obstawione temi reklamami, że robią wrażenie nieprzerwanej dekoracji teatralnej, a raczej kabaretowej. Jedyny w swoim rodzaju cud świata, wodospad Niagary, oświetlili amerykanie różnobarwnemi światłami, „poprawiając“ w ten kabaretowy sposób naturę i gości swoich wożą tam umyślnie w nocy, aby się swą „sztuką“ pochwalić. Barbarzyństwo w dziedzinie piękna sięga równie daleko, jak wszelkie amerykańskie imprezy i tak np. pałace miljarderów ozdobione są czasem wiernemi kopjami arcydzieł greckiej rzeźby, ale... oświeconemi od wewnątrz!!

Jak we wszystkich innych dziedzinach, tak też i w poczuciu piękna amerykanin zwraca się przedewszystkiem ku czci dolara, a sztukę traktuje z pewnością siebie, zarozumiałością i „rozmachem“ parweniusza. Architektura amerykańska nie zna środka: albo rudery, sklecone z desek, z blach budowane szałasy, hangary i bezplanowe skupiska prowizorycznych baraków — albo stupiętrowe brzydactwa zwane buildingami, bądź kapiące od ozdób różnostylowych i bezcelowych nadbudówek, bądź rozdęte w bezsensownym blokiźmie, ciężkie, jak kredyt Wall-Streetu.

Sztukę amerykańską maluje nam bardzo dokładnie amerykańskie kino, bo film w Ameryce zastępuje i teatr i koncert, jest głównym dostawcą artykułu, wymaganego przez artystyczny zmysł ludności. Jeszcze raz zastrzegamy się tu, iż wciąż mówimy o „ogóle“ ludności, a nie o istniejącej i za Oceanem elicie kulturalnej, ale tak procentowo nikłej, że z nią liczyć się nie możemy.

Otóż kino amerykańskie (a jest ono dziś wszechświatowem) daje właśnie to, czego publiczność żąda, bo przemysł filmowy jest także trustem i nie bawi się w „kształcenie“ ludu, ale pracuje tak, aby wypłacać możliwie najwyższy procent od włożonych kapitałów: business is business!

Pomijamy tu typowo amerykańskie farsy, które, w za-

leżności od grających artystów, są niekiedy bardzo zabawne, częściej dziecinnie naiwne, a zawsze absolutnie pozbawione jakiejkolwiek głębszej myśli lub satyry; pomijamy również typowo amerykańskie, niestworzone awantury kryminalno-policyjne lub patrjotyczno-epiczne, posiadające równie wielką dozę ekstra-sportu, jak i brak wszelkiej szerszej myśli i żywszych podstaw. Przyjrzyjmy się natomiast filmom „dramatycznym“, w których przewija się czasem jakiś odblask wypadków historycznych lub urywki znanych powieści europejskich, a znajdujemy w ich składzie następującą receptę reżyserską, podaną przez L. Lehmana:

„Dla stworzenia wszelkich dramatów filmowych amerykańskich należy użyć: *25%* nagich łydek, piersi lub pleców, *20%* dwuznacznych póz lub nieprzyzwoitych tańców, *20%* bójek lub strzelaniny rewolwerowej, 10% sytuacji komicznych (t. zw. comedy relief) i — a to jest maksimum — *25%* tego, co niegdyś było historją, powieścią lub teatrem. Jeżeli trafia się taśma, nieodpowiadająca powyższej recepcie, możecie państwo być przekonani, że albo zaszła tu pomyłka, albo wypadek, albo jest to wynikiem ekscentryczności (!) jakiegoś niedoświadczonego i młodego reżysera“.

Powyższa analiza filmowa jednego z lepszych znawców życia amerykańskiego jest jednocześnie i wskaźnikiem umysłowości mas amerykańskich, wywołanej trybem życia i pracy oraz wychowaniem, umysłowości, nie szukającej uczty duchowej, lecz rozrywki, zapomnienia, oderwania się bez wysiłku i po linji najmniejszego oporu od maszyny codzienności, a zadawalającej się obrazami, godnymi własnej wyobraźni.

Zupełnie analogicznie przedstawia się nam muzyka amerykańska, która, poza nielicznymi, ale znakomitymi koncertami, znów tylko przez elitę cenionymi lub przez snobów uczęszczanymi, ogranicza się do horrendalnych „arrangements“ (Rossini nazywał takie utwory „derangements“!) lub potpouri z arcydzieł europejskich i do wszechwładnego jazz'u. Jazz, to arcydzieło muzykalności

amerykańskiej, wykwit poczucia melodji i rytmu u czcicieli i niewolników Mammona, to wierny wizerunek demokratyzmu w sztuce, a sztuki, dostosowanej do poziomu i gustu tłumu, to ekstaza, jak mówią Moskale: „cielęcy zachwyt", dusz zamerykanizowanych! Jeżeli kiedyś demokracja, jako taka, sprawi sobie sztandar, to będzie on wykrojony z ubrania arlekina i na tem tle grubemi, ciężkiemi, złotemi głoskami jaśnieć będzie jeden wyraz: „Jazz"!

Zresztą jest to zupełnie naturalne zjawsiko: cała kultura amerykańska, o ile się specyficznie rozwija, idzie bezwzględnie po linji przewodniej tego kraju, pod batutą utylitaryzmu, zaś sztuka i utylitaryzm o tyle tylko mogą iść w parze, o ile odwrotnie, niż w Ameryce, ten ostatni będzie poddanym sztuce. Utylitaryzm bowiem jest dziedziną ciała, sztuka dziedziną ducha i tam też jej wielkość spoczywa.

Z kolei przejdziemy do najwyższej dziedziny umysłowości ludzkiej, jaką jest bezwzględnie religja. Wiadomem jest powszechnie, iż w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej żyje około dwudziestu kilku miljonów katolików, że reszta ludności należy przeważnie do kilku większych odłamów protestantyzmu, że mnożą się tam i zamierają setki najdziwaczniejszych sekt, że wreszcie kraj ten posiada bardzo znaczny odsetek bezwyznaniowców i ateuszy, ale mniej znanym jest fakt, iż religijność w ścisłem znaczeniu tego słowa obcą jest niemal amerykanom. Religję amerykanin umieszcza w dziale dodatkowych, ściśle prywatnych swoich upodobań; wierzy częstokroć silnie i ślepo w zasady swej religji, ma nadzieję w ziszczenie obietnic swej wiary, ale zupełnie nie rozumie zdania św. Pawła, iż wiara bez miłości jest pustym dźwiękiem! Miłość Boga, a co zatem idzie, miłosierdzie względem bliźniego, spoczywają w dziale abstrakcji dla amerykańskiego umysłu. Nawet katolicyzm amerykański wydał na tem podłożu zanikającą już dziś sektę „amerykanizmu" i każdy, należycie swą wiarę pojmujący katolik, przy zetknięciu z najlepszym katolikiem amerykańskim odczuwa ten chłód utylitaryzmu,

oraz rutynowość, sztywność i indywidualizm — cechy, przejęte od protestantyzmu.

Protestantyzm amerykański jest znowu przesiąknięty purytanizmem i razi niemile nawet Anglików.

Religja taka, jak ją praktykują w Ameryce, nie jest w stanie zaspokoić pragnień ludzkiej duszy, a stąd właśnie wynika ciągłe drobienie się grup protestanckich na coraz to dziwaczniejsze sekty, stąd te tłumy bezwyznaniowe, stąd też coraz to silniejszy rozwój Kościoła katolickiego, bo jest on, mimo amerykańskich usterek, jedynym wśród wszystkich innych, który daje duszom pokarm wieczności, niewzruszone dogmaty i pokój wewnętrzny.

Mówiliśmy, że amerykanin nie rozumie miłosierdzia, tak zresztą, jak obcą mu jest prawdziwa mistyka i ascetyka, są to bowiem pojęcia zupełnie obce dla umysłów zmaterjalizowanych; ale paradoksalnym wydaje się tu fakt, że w Ameryce, przy tym braku miłości bliźniego, istnieje ogromna ilość zakładów dla nieszczęśliwych i nędzarzy. Otóż ten fakt jest właśnie potwierdzeniem naszego zdania, bo amerykanin brzydzi się widokiem nędzy ludzkiej i środkami administracyjnymi czy prawnymi stara się ją usunąć z przed oczu. Duża część nędzarzy otrzymuje więc przytułek, czysty, można powiedzieć komfortowy, ale zimny i sztywny, bo nie z serca pochodzący; mimo to jednak nędza w Stanach Zjednoczonych jest straszną i beznadziejną, a dziś, w okresie przesilenia, sam prezydent Hoover przyznaje, iż umiera tam z głodu do tysiąca ludzi tygodniowo!!

Wreszcie Ameryka jest twierdzą, sztabem naczelnym i szkołą wszelkich odmian masonerji; jest to jedyny kraj na świecie, w którym masonerja rozprzestrzeniła się nawet w najniższych warstwach społecznych, a jednocześnie posiadła przeważający wpływ na politykę i wszechwładne trusty. Należą tam do najrozmaitszych lóż równie dobrze biskupi anglikańscy, jak np. zmarły 14 sierpnia 1930 r. James Henry Darlington, biskup Harrisburga w Pensylwanji

i osobisty przyjaciel Herberta Hoovera, a jednocześnie członek najwyższego, 33-go stopnia masonerji rytu szkockiego, jak i zwykły robotnik fabryczny, czy fermer, z tą różnicą, iż ci ostatni są w stopniu 4-tym, a najwyżej 16-tym.

Ale sprawa religji, sekt i masonerji w Ameryce wymagałaby bardzo obszernej i dokładnej pracy, trudno ją w dłuższym nawet artykule skonkretyzować i ująć należycie; za chwilę zresztą wspomnimy jeszcze o wpływach masońskich, mówiąc o polityce, teraz dotkniemy zlekka tylko działu moralności amerykańskiej, będącej wynikiem religijnego stanu kraju.

Zaczyna już być przysłowiową moralność amerykańskiej policji, urzędów, a nawet sądów; przekupstwo, jakie tam panuje, przekracza wszystko, co dotąd znanem było w historji, ale i pod względem obyczajowym moralność ta, przykryta płaszczem pruderji protestanckiej, stoi w Ameryce na niezwykle nizkim poziomie. Mówi się o rozpuście Paryża lub Berlina, lecz cóż to w porównaniu z rozpustą New-Yorku, Miami lub Holly-Wood'u? Mówi się o zepsuciu obyczajów, o rozwodach, trójkątach małżeńskich starej Europy, ale porównać tego nawet nie można z Ameryką! Mówi się i pisze o zwyrodnieniu, zbrodniczości, zezwierzęceniu wśród ludów starego kontynentu, lecz młoda demokracja amerykańska prześcignęła nas już dawno! Nawet zwykły bandytyzm w Ameryce, o ile jest prowadzonym jako szerokie przedsięwzięcie, przestaje liczyć się z sądami, państwo traci tam wszelką moc przeciwstawienia się rozpanoszonemu złu. Fakty te są tak powszechnie znane, są zresztą tak bezczelnie jawne i wciąż powtarzane, że niema potrzeby szerzej się o nich rozpisywać; ale w tym rzucie oka na poziom amerykańskiej moralności warto wspomnieć i o prohibicji.

Przedewszystkiem więc zasada, ów płaszczyk protestanckiej pedanterji, bo prawo prohibicji jest czysto protestanckim wymysłem. Zasada więc powiada: mieć trzeźwego obywatela, robotnika, nie tracącego zarobków na

wódkę, zdrowie przyszłych pokoleń etc. etc., stąd wniosek: skasować całkowicie wszelkie użycie alkoholu w całym kraju i bez wyjątków.

A teraz małe wyjaśnienie, dlaczego to aż tak drakoński środek musi być stosowany dla zwalczania alkoholizmu? Bo amerykanin nigdy nie pije dla przyjemności, smaku lub nawet poprawienia humoru, ale tylko i wyłącznie w celu upicia się na zamór, do utraty przytomności! Jest mu całkiem obojętne, co pije, czy to coś ma smak lub zapach, czy jest lekiem czy trucizną, byle tylko w działaniu jak najszybciej zwaliło go z nóg! Ten rodzaj psychologji pijackiej spotkaćby można tylko bądź w Rosji i to u najgorszych nałogowców, bądź wśród dzikich, a bardzo nisko stojących plemion Azji lub Afryki.

Dlatego to już dawno przed wojną wszelkie trunki ad usum U. S. A. były zawsze sztucznie alkoholizowane i wśród najcenniejszych nawet win powstał dział specjalny, zwany „gout américain". Takiej więc ludności nie można było częściowo odejmować alkoholu, zmniejszać jego procentu w trunkach, ale musiano się uciec do środka heroicznego i odjąć go całkowicie.

Ale wciąż jesteśmy tylko w teorji. Jakież przedstawia nam oblicze dzisiejsza „sucha" Ameryka, bez powierzchownego płaszczyka purytańskiej obłudy? *Ameryka dziś pije więcej, niż kiedykolwiek, tylko, że obecnie pije przeważnie trucizny.* Piją tam wszystko, co odurza: eter, alkohol drzewny, wodę kolońską, perfumy, w użyciu są wszelkie narkotyki i wszelakie odmiany trunków, piją też i bez miary wina i alkohole naturalne, bądź szmuglowane w nieprawdopodobnych ilościach i najryzykowniejszymi sposobami, *bądź wyrabiane w kraju przez dziesiątki tysięcy tajnych gorzelni.*

W samym tylko New-Yorku istnieje przeszło 15.000 „tajnych", ale bardzo dobrze znanych policji szynków, począwszy od nor zbrodniczych dla nędzarzy, a kończąc na

kapiących od złota „upijalniach“ miljonerów. Odpowiednio zapłaciwszy, można w każdej chwili mieć wszelki żądany napój, a „towarzystwa“ szmuglowe t. z. bootlegerów lub niby to tajne wytwórnie robią miljardowe obroty! Czyta się często o strzelaninach i formalnych bitwach policji prohibicyjnej ze szmuglerzami, ale mniej się wie o tem, że tam cała, niemal bez wyjątku, policja zarabia miljony na łapówkach i zazwyczaj żyje w idealnych stosunkach z szynkarzami. Owe bitwy prawdziwe, to zazwyczaj epilogi walk konkurencyjnych między bootlegerami, w których władze państwowe biorą w opiekę jedną ze stron. Mało się też wie i o tem, że to właśnie szmuglerzy przepłacają władze, z kongresem włącznie, by utrzymać prawa prohibicyjne i że na tym pijackim argumencie obraca się trzy czwarte wewnętrznej polityki kraju! O, bo polityka amerykańska jest również dziwnie specyficzną i daleką od europejskiej umysłowości!

W Stanach Zjednoczonych zasadniczo i bezapelacyjnie rządzą tylko dwa obozy, czy stronnictwa polityczne: demokraci i republikanie; wszystkie inne partje nie posiadają wogóle żadnego znaczenia, ani tembardziej posłów (np. socjaliści mają jednego!). Obecnie tworzy się jakieś trzecie stronnictwo, ale wygląda to raczej na bluff, bądź szantaż polityczny obu poprzednich i w najlepszym razie jest to sprawa przyszłości. Konia z rzędem dać można temu, ktoby jasno określił, o ile to w Ameryce demokraci nie są republikanami, a zaś republikanie nie są demokratami! Tajemnica ta spoczywa cicho w głębinach ideologji demokratyczno-republikańskiej i nikogo nie trapi, fakt jednak pozostaje faktem: są to dwa zasadniczo sobie wrogie obozy, które naprzemian „dorywają się“ do władzy. Na tem zresztą polega główna różnica ich zapatrywań i główny cel walki i żaden parlamentarzysta na całej kuli ziemskiej dziwić się temu nie ma prawa.

Nowoprzybywający zwycięsca w wyborach usuwa bezapelacyjnie wszystkich urzędników, mianowanych przez

poprzedników, a zawsze intratne posady obsadza swoimi ludźmi; jest to zresztą obyczaj bardzo parlamentarno-demokratyczny i nietylko w Ameryce znany. Istnieje tam jednak pewna oryginalność konstytucyjna, pociągająca za sobą nieprzewidziane przez twórców konstytucji skutki: oto nowowybrani posłowie i senatorowie „oczekują“ na objęcie swych foteli czy ławek pełnych trzynaście miesięcy, podczas których „rządzi“ dalej stara izba i nieodświeżony senat. Obliczalny skutek tego oryginalnego zwyczaju jest ten, że o ile wybory przyniosły zmianę rządzącego stronnictwa, to tamto, będące jeszcze u władzy, posiada 13 miesięcy czasu, by swoim urzędnikom i sprzymierzeńcom... zapewnić przyszłość! Komentarze są tu zbyteczne, zaś ściśle utylitarna moralność amerykańska — zadowolona!

Pozatem cała wewnętrzna polityka Stanów jest ściśle uzależniona od interesów trustów lub „przedsiębiorstw“ w rodzaju prohibicji, wszelkie zaś inne sprawy zajmują tam drugie, jeżeli nie ostatnie miejsce; tem ciekawiej dla nas rozwijać się tam będzie wielkie zagadnienie bezrobocia wielomiljonowych rzesz i sposobów, jakie zostaną użyte dla zwalczenia go, bo jedynie bardzo silny wstrząs wewnętrzny może wpłynąć na pewne zmiany w psychologji tego nieeuropejskiego kraju.

Bardziej interesującą i dla reszty świata niezmiernie doniosłą jest natomiast zagraniczna polityka Ameryki; egoizm i dolar są tej polityki podstawowemi zasadami, a wybitnie masońsko-żydowskie kierownictwo nadaje jej zupełnie specjalne zabarwienie. Nietyle uzasadnioną i sprawiedliwą, ile dźwięcznie brzmiącą jest znana doktryna Monroego: Ameryka dla amerykanów! Doktryna ta, czy hasło, jest podstawą polityki zagranicznej, służąc jednocześnie za tarczę i broń wypadową Stanów Zjednoczonych. Zasadniczo hasło to jest zupełnie mylnie komentowane, nie jest to bowiem: Ameryka dla amerykanów, lecz: Ameryka i wszystkie inne części świata, o ile tego zachodzi potrzeba, dla wygody trustów amerykańskich. Żadna bo-

wiem sprawa ogólno-amerykańska o tyle nie obchodzi wyznawców doktryny Monroego, o ile nie jest związaną lub nie koliduje z interesami Wall-streetu i wszystkie inne państwa amerykańskie odczuwają tę opiekę na swojej skórze. Kanał panamski pozbawił niezależności republiki środkowo-amerykańskie, naftowe pola meksykańskie przelały potoki krwi w wojnach domowych Meksyku, finansowanych, kierowanych, aż do interwencji zbrojnej włącznie, przez Washington, trzcina cukrowa i tytoń kubański „wyzwoliły“ Kubę, a interesy morskie Stanów Zjednoczonych wywołały aneksję wysp Hawajskich i Filipin. Wśród wielkich republik Ameryki Południowej 99% ciągłych rewolucji opłacają stale banki nowojorskie i niezależność tych krajów wisi na włosku. Takie to jest, w szkicowym zarysie, działanie doktryny Monroego w praktyce.

Wyraźne naruszenie interesów Stanów Zjednoczonych przez gruboskórne Niemcy (co raz jeszcze w swych pamiętnikach stwierdza Bülow) wywołało wmieszanie się ich do Wielkiej Wojny, zaś dwanaście miljonów dol. banku nowojorskiego „Kühn, Loeb et Comp.“ stanowiło główny atut zwycięstwa rewolucji bolszewickiej w Rosji. Są to te dwa wielkie czyny zagranicznej polityki amerykańskiej, które jeszcze dotychczas nie zostały całkowicie rozegrane; niemniej jednak jedną z konsekwencji tej dolarowej polityki jest faktyczna niewola finansowa Europy wobec Stanów Zjednoczonych.

Powiadamy wyraźnie — niewola, bo jest to najściślejsze określenie tej zależności mocarstw i państw europejskich, w jakiej znajdują się one względem rynku pieniężnego amerykańskiego, oraz wszystkich, wypływających z tej zależności konsekwencji, tak gospodarczych, jak i politycznych i społecznych.

Z pośród najnowszych posunięć polityki amerykańskiej jesteśmy dziś świadkami nowego businessu, stanowiącego dla psychologji i etyki europejczyka coś paradoksalnego, trudnego do zrozumienia i nawet do uwierzenia. Sta-

ny Zjednoczone Ameryki Północnej są dziś jednym z bardzo nielicznych krajów, które nie utrzymują stosunków dyplomatycznych z Sowietami i w których oficjalnie brzmią anatemy na ten ustrój krwawego i zbrodniczego absolutyzmu panującej kliki. Jest to, jak wszędzie w Ameryce, ów płaszczyk obłudy purytańskiej, w praktyce jednak Stany Zjednoczone zupełnie realnie i z pełnym nakładem energji i kapitału organizują, finansują, porządkują i wprowadzają w życie „piatiletkę" ekonomiczną Stalina.

Tam, w głębi Rosji, rosną, jak grzyby po deszczu, amerykańskie buildingi, olbrzymie silosy, setki i tysiące traktorów, budowanych w Ameryce, orze zagrabione ziemie, miljony robotników-nędzarzy pracuje pod komendą amerykańskich inżynierów, handel wzajemny oblicza się na miljony — amerykanie amerykanizują bolszewizm rosyjski! Jaki jest cel tego? Kto kieruje tem zbrodniczem przedsięwzięciem? Na czyją zgubę wiozą tam amerykańskie okręty nietylko inżynierów, maszyny i plany, ale i broń wszelką?

Zdaniem Duhamela, które niestety bardzo jest trafnem, psychologja ludności Stanów Zjednoczonych jest dzisiaj taką, jaką będzie psychologja ludności sowieckiej za lat kilka! Specyficzna etyka materjalistyczna, życie wśród potężnych ram państwowego systemu, regulującego każdy ruch i każdą chwilę dnia, zupełny zanik wszelkich ideałów, zdeprawowanie moralne, obniżenie do poziomu tłumu wszelkiego artyzmu i sztuki, cała ludność zamieniona na jednolity tłum pracowników, a u góry... szajka.

Różnica dzisiejsza, według tegoż Duhamela, polega na tem, że w Bolszewji robi się ten ustrój poprzez morze krwi, katuszy moralnych, głód, nędzę i rozpacz, zaś w Ameryce w atmosferze komfortu, wygody, bez użycia siły fizycznej, wśród feerji świateł reklamy i dźwięków jazzbandów. I tu i tam cała ludność poniżona jest jednak do poziomu bezwolnej, biernej, bezmyślnej siły roboczej, którą rządzi i nad którą niepodzielnie panuje — tu grupa

miljonerów, tam banda komisarzy. I tu i tam dźwięczne hasło demokratycznej wolności traci wszelkie realne znaczenie i jako na dziwny omen wskazuje Duhamel na złote dolary: widnieje na nich napis „Liberty“, oraz wizerunek bizona, skalnego orła lub indjanina — wszystko wolne niegdyś istoty, które amerykanie niemal doszczętnie wytępili.

Zaczęliśmy ten artykuł *) od wyjaśnienia, czem jest „ta trzecia“ fala, „raz de marée“; kończąc, wrócić musimy do tego określenia.

O starą kulturę Europy biją teraz trzy fale: pierwsza, to budząca się, zbrojąca, organizująca Azja, a zwłaszcza w swych rozkładowych skutkach duch azjatyckiego wschodu; druga, to przenikający wszystko i zalewający nas bolszewizm, ten biały bolszewizm ducha, bolszewizacja praw, zasad, obyczajów, życia społecznego, sztuki, nauki; a oto uderza w nas „ta trzecia“ fala — amerykanizacji życia europejskiego!

Zgnieceni ciężarami powojennymi, bezmyślnie nagromadzonymi gruzami, rozdarci waśniami stronnictw i mikroskopijną polityką wewnętrzno-europejską, stale zubożani procentami od długów przez tęże Amerykę, patrzymy na nią z podziwem, gorzej, bo z zazdrością! Złoto nas oślepia i, jak ćmy do ognia, dążymy ku temu światłu ziemi! Amerykański kapitał, amerykańska organizacja pracy, amerykański komfort, luksus, potęga polityczna, nawet militaryzm, hipnotyzują nas, jak wąż królika i coraz jawniej, szybciej, bezmyślniej zaczynamy małpować Amerykę!

Stamtąd płyną ku nam fokstroty i charlestony, stamtąd konkursa piękności, mody, filmy, obyczaje, urządzenia biur, towarzystw, domów, fabryk... Bezwiednie, jak we śnie hipnotycznym, poddaje się Europa tej trzeciej fali zalewu, tej, co to już gotowe zagarnia gruzy i ściąga swe

---

*) Patrz „Nasza Przyszłość“, t. VIII.

ofiary ku głębinom Oceanu! Duch kultury europejskiej już tonie!

Monroe wołał: Ameryka dla amerykanów! Azjaci bunt podnoszą pod hasłem: Azja dla azjatów! Bądźmyż na tyle mężni, oprzyjmy się mirażowi złota i w obronie naszej kultury, naszej historji, naszej religji, zawołajmyż wreszcie: Precz od naszych świętości! Kraje kultury europejskiej dla europejczyków!

Józef Tyszkiewicz.

PIERWSZY ZNAK.

Z pamiętnika „austrjackiego" artylerzysty.

Nam strzelać nie kazano...

Stałem przy baterji, zatrzymanej w dość spiesznym odwrocie, nie pierwszym i nie ostatnim, jakiego byłem uczestnikiem w „zwycięskich pochodach" armji austrjackiej. Nazywało się to w języku oficjalnych biuletynów „Loslösung vom Feinde", czyli — mówiąc poprostu — tak szybkie zmykanie przed nieprzyjacielem, żeby nie był w stanie dogonić. Tę taktykę uważał sztab austrjacki za jeden z genjalniejszych swych wynalazków w wojnie światowej i rozwodził się nad nią z tryumfem w swych oficjalnych enuncjacjach.

Ale tym razem — jesienią 1916 — sytuacja była chwilowo istotnie fatalna. Niespodziewane dla „zwycięskich" wojsk austrjackich przerwanie frontu południowo-wschodniego na szerokiej przestrzeni między Czerniowcami a Łuckiem, które zaskoczyło zwłaszcza armję arcyksięcia Józefa Ferdynanda, bawiącego w tej chwili gdzieś na polowaniu, zagroziło utratą wszystkich owoców przełomu gorlickiego. Fale rosyjskie, pod wodzą oficerów ententy, wśród których nie brakło i japońskich, runęły parusetkilometrowym frontem poprzez zdobyte okopy wgłąb Galicji. Tylko jeden punkt pozycji, daleko na północ, nad Stochodem, trzymał się jeszcze dzięki bezprzykładnej brawurze brygady Legjonów. Wszędzie gdzieindziej cofały się armje austrjackie w bezładnej chwilowo ucieczce, pozostawiając nieprzyjacielowi po drodze dziesiątki tysięcy jeńców i masy sprzętu wojennego.

Nazywało się to w komunikatach sztabu: zajmowaniem nowych pozycji na cięciwie łuku!

Po kilku dniach tej paniki, w czasie której uciekano nieraz dosłownie przed własnym cieniem, widząc „kozaków“ oczyma przerażonej wyobraźni na każdym skręcie drogi, a już napewno w każdym gąszczu, nastał nagle spokój. Zjawili się „lekarze“. W mrowiu cofających się wojsk austrjackich zauważyliśmy pikelhauby i różowe lampasy sztabowców niemieckich — tych ustawicznych łataczy dziur w austrjackiej strategji. Już sam ich widok przynosił pewne uspokojenie, jakgdyby uczucie zaufania — podnosił ducha.

Tak jest, trzeba mówić prawdę, niema czego ukrywać po piętnastu latach!

Wojska stanęły. Nadeszły niemieckie posiłki i na całej rozległej przestrzeni, objętej niedawno paniką, rozszalała kontrofenzywa.

Pamiętam ten dzień, jak dzisiaj. Nasza baterja, zdziesiątkowana stratami, stała o parę kilometrów za frontem. A przed nami, rzekłbyś: burza! Jeden straszliwy, nieustanny huragan grzmotów, zlewających się w jakieś potworne trzęsienie ziemi i nieba przez kilka godzin z rzędu.

Aż wkońcu i niebo, dotąd pogodne, wzięło udział w tych zapasach. Usłyszałem nagle jakiś potężny, nieznany szum z tyłu, który biegł z ogromną szybkością po przestworzu, sygnalizując nadciągającą nawałnicę. Zanim mogliśmy się zorjentować, co się dzieje, runęły na baterję masy lodu, grad wielkości niemal pięści, oślepiając wzrok olśniewającą bielą, głusząc hukiem i druzgocąc wszystko, co nie było w stanie znieść jego uderzenia i ciężaru.

W jednej chwili pokryła ziemię warstwa lodu stopowej grubości, a ludzie i konie, rażeni złomami gradu, rozbiegli się w szalonym popłochu na wszystkie strony, szukając schronienia.

Ale nawałnica, jak szybko nadbiegła, tak szybko i minęła, pozostawiając po sobie ludzi w osłupieniu, czysty szafir nieba i — spokój na froncie. Załamał się napór Moskali, wojska okopały się, aby znowu rozpocząć długie miesiące bezczynnej wojny okopowej.

Łuki jednak, wyrwane wprost przed nami, między Dniestrem a Tarnopolem, przez niespodziewaną dla generalicji austrjackiej ofenzywę Brusiłowa, były zbyt wielkie, aby można je było oddziałami wojsk niemieckich wypełnić. I wówczas nadeszły gdzieś z Bałkanów dwie dywizje tureckie, zajmując stanowiska nad Dniestrem, w okolicach Halicza.

A na wiadomość o tem jakiś tajemny dreszcz wstrząsnął silnie serca oficerów Polaków w c. i k. armji. Przeszło błyskawicą przez nasze mózgi proroctwo Wernyhory:

—.....gdy Turek w Dniestrze napoi konia....!

Realistą, ach, aż zanadto realistą był żołnierz w czasie wojny światowej, zwłaszcza na froncie austrjackim! Nie bardzo byliśmy usposobieni pamiętać o proroctwach i wierzyć w nadzwyczajne znaki, my — aż nazbyt opancerzeni rozwydrzonym realizmem długoletniej, na razie beznadziejnej dla nas wojny. Ale tym razem zbieg wypadków zbyt silnie nas uderzył.

Czyżby...?

A nadzwyczajny ten zbieg okoliczności tembardziej zaczął odtąd działać na umysły, tem silniej utrwalała się jakgdyby wiara w stare proroctwo, że wnet po tych wypadkach Ta, którą w widzeniach swych zapowiadał stary wieszcz ukraiński, istotnie zaczęła zmartwychwstawać!

Najpierw w perfidnym manifeście dwuch cesarzy, który potem uderzył w ich własne trony, a następnie kolejno w oficjalnych oświadczeniach różnych mocarstw z tej i z tamtej strony Oceanu:

— Warunkiem pokoju światowego jest Polska nie-

podległa, ze wszystkich trzech dzielnic rozbiorowych złożona, z dostępem do morza!

Dzisiaj różni różne ustalają momenty, w których miał odwalić się kamień jej grobowca. Ale w przekonaniu tych, którzy byli wówczas na froncie podolskim, dała Ona pierwszy znak o swem zmartwychwstaniu — na okopach nad Dniestrem!

Testis.

„KRUCJATA" PRZECIW SOWIETOM.

I. NIEMA BLOKU PRZECIWSOWIECKIEGO.

P. minister Zaleski zaprzeczył na komisji spraw zagranicznych senatu, jakoby Polska brała udział w jakimkolwiek bloku, wymierzonym przeciwko Rosji Sowieckiej. Blok też taki wogóle nie istnieje. Natomiast faktem jest, że cała Europa, a nawet cały świat cywilizowany, znalazły się nolens volens w stanie wojny z Sowietami, wojny, na razie gospodarczej, acz bezwzględnej i niszczycielskiej, mającej być niewątpliwie wstępem do wojny orężnej, do której Rosja przygotowuje się gorączkowo, przy pomocy niemieckiej, upozorowując swe zbrojenia czy to grożącą jej we własnej jej wyobraźni inwazją państw „kapitalistycznych", czy to „koniecznością pogotowia" na wypadek wybuchu rewolucji komunistycznej, do której prze działalność kominternu we wszystkich państwach cywilizowanych.

Była chwila rok temu, kiedy zdawał się powstawać jednolity front państw cywilizowanych przeciwko Sowietom. Było to wtedy, gdy z wyżyn Watykanu zabrzmiał potężnie głos Ojca Chrześcijańskiego, nawołujący wszystkich wiernych do krucjaty modlitwy. Istotnie, wszystkie niemal narody, poruszone do głębi strasznemi wieściami o okrutnem prześladowaniu wiary w Rosji, połączyły się w zgodnym odruchu protestu. Nietylko w krajach katolickich, lecz tak samo w protestanckich i prawosławnych, organizowały się masowe ruchy potępienia. Cała Europa i Ameryka rozbrzmiewały prawie unisono krzykami oburzenia na ohydę sowiecką. Cała prawie prasa światowa stanęła w obronie ludu rosyjskiego, ciemiężonego i katowanego za najwyższe

ideały ludzkości. Odruch był tak groźny, że nawet oprawcy czerwoni się zlękli. Nastąpiło chwilowo pewne złagodzenie regimu. Świątynie, których nie zdążono jeszcze zamienić na kluby, kabarety lub śpichrze, napełniły się znów wiernymi, zasyłającymi modły dziękczynne do niebios. Ojciec Święty otrzymywał zewsząd dowody wdzięczności ze strony ofiar „czerwonego raju". Prawosławni, Mahometanie i Żydzi, narówni z Katolikami, składali mu ze wzruszeniem hołd i podziękę. Autorytet Stolicy Piotrowej okazał się ponownie silniejszym moralnie od przeklętej mocy czerwonego antychrysta.

„Krucjata modlitwy" nie miała oczywiście nic wspólnego z jakiemikolwiek przygotowaniami antysowieckiemi natury materjalnej czy militarnej. Była wyłącznie moralną. Jednolity front jednak istniał i poskutkował — na razie. Niestety potrwał krótko, zbyt krótko, ustępując ponownie miejsca małodusznemu oportunizmowi i kupieckiej spekulacji, na szkodę całego świata! Próbami zcementowania solidarności europejskiej w obronie przed grożącemi jej z zewnątrz niebezpieczeństwami były i są niewątpliwie oba projekty Paneuropy, uzgodnione obecnie, Brianda i Coudenhove-Calergi'ego. Projekt Briandowski omawialiśmy już obszernie na łamach „Naszej Przyszłości". Można go zresztą uważać już za pogrzebany, skoro Włochy i Niemcy przeforsowały przy pomocy Anglji zaproszenie Sowietów do udziału w studjach nad przyszłą Paneuropą! Będąc w stanie jawnej wojny gospodarczy z Sowietami, chce więc Europa z nimi właśnie się naradzać, jak się bronić przed dumpingiem i propagandą wywrotową i... jak się czemprędzej rozbroić!! Inicjator ruchu paneuropejskiego, hr. Coudenhove, nie dał jednak tak prędko za wygraną. W płomiennych artykułach wskazuje on zaślepionej Europie na straszne niebezpieczeństwo, grożące jej ze strony czerwonego wschodu, który, zbrojąc się dalej w obecnem tempie, musi po pewnym czasie dojść do potęgi, silniejszej od wszystkich mocarstw Europy, razem wziętych. I Cou-

denhove ulega jednak niewątpliwie pewnej psychozie powojennej, skoro wyobraża sobie możliwość zahamowania tych zbrojeń bolszewickich . . .drogą zawarcia z nimi powszechnego układu o ograniczeniu zbrojeń!

Ponownie musiał w tej sprawie zabrać głos Ojciec Święty, piętnując obłudny pacyfizm, jako „gorszy od wojny“, przy pomocy którego wrogowie chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej pragną otworzyć na oścież wrota Europy najazdowi czerwonemu, w chwili, gdy zbrojenia sowieckie osiągną swój punkt kulminacyjny. Pisaliśmy niedawno w „Naszej Przyszłości“ o tych *zbrojeniach, których rozmiary rosną w sposób niemal zawrotny, dzięki poparciu nietylko Niemiec, lecz również Włoch i wogóle wszystkich państw, dostarczających towarów, maszyn, armat, karabinów maszynowych, statków wojennych i aeroplanów największemu swemu wspólnemu wrogowi — i to w dodatku za marne weksle!* Jakżeż w takich warunkach wyobrażać sobie możliwość wspólnego wysiłku obronnego państw zagrożonych, kiedy jedne wolą przy pomocy układów na osobności pozyskać względy chytrego Moskwicina, drudzy zaś wyobrażają sobie możliwość wygrywania bez własnej szkody jego potęgi przeciw znienawidzonym sąsiadom, a inni wręcz przyjaźnią się z nim w nadziei wspólnego pokonania współzawodników w „Koncercie europejskim“, by na jego gruzach podzielić się — władzą z antychrystem nad padołem ziemskim! „Quos Iupiter perdere vult — dementat“. Rzeczywiście — trudno wyobrazić sobie większe zaślepienie, aniżeli to, jakie widzimy wśród zwaśnionych państw Europy, nie chcących widzieć wspólnego „strasznego niebezpieczeństwa“, a wzajemnie się pożerać dla stosunkowo małostkowych sporów.

II. MOSKWA SZYKUJE SIĘ DO ROZPRAWY Z EUROPĄ.

Sowiety tymczasem, jak stwierdziliśmy, starają się upozorować swoje zbrojenia przygotowywanym rzekomo na nich najazdem. Oskarżają kolejno Francję, Anglję, Polskę, Czechosłowację o autorstwo przyszłej „Krucjaty zbrojnej“. Wogóle rok obecny zapowiada się groźnie w stosunku Sowietów do Europy. Rząd i komintern czynią gorączkowe przygotowania do wzmożenia działalności wojującego komunizmu na wewnątrz i zewnątrz państwa. Stalin, po usunięciu Rykowa, Zinowiewa, Bucharina i Tomskiego, ostatnich epigonów starej gwardji rewolucyjnej, ma obecnie w nowym premierze, czyli prezesie sownarkomu, Mołotowie, oddane sobie ślepo narzędzie. Jedynym poważnym jego współzawodnikiem został komisarz wojny Woroszyłow, podniesiony do godności „zastępcy premiera“. Stosunki obu „mężów stanu“, wbrew pogłoskom, wydają się jednak na razie być dobre i pełne zaufania. Powołanie zaś Mołotowa, kierującego członka zarządu kominternu, miało na celu ściślejsze zespolenie działalności rządu sowieckiego i trzeciej międzynarodówki, któremu to zespoleniu wciąż zaprzeczają dyplomaci sowieccy wobec protestów dyplomatów państw cywilizowanych.

Mołotow jest jednym z najgorętszych zwolenników niezwłocznej kolektywizacji przymusowej i bezwzględnej rolnictwa oraz współautorem programu agitacji przewrotowej zagranicą, opracowanego przez Komintern w r. 1928. On to wznowił wstrzymane chwilowo kilka miesięcy temu w interesie produkcji rolnej masowe wysyłanie „zlikwidowanych kułaków“ do lasów północnych w charakterze niewolników. Mołotow jest stanowczo za „przyspieszeniem rewolucji wszechświatowej“, mogącej jedynie zapewnić utrwalenie się komunizmu w Rosji. Jego to usiłowaniu należy m. in. przypisywać ogromne wzmożenie ostatnimi czasy działalności rewolucyjnej komunistów w Indjach, Chinach i Indochinach. On też obecnie kazał wznowić i przy-

spieszyć likwidację cerkwi i zaostrzyć propagandę ateistyczną w szkołach.

S o w i e t y — nie może to dziś ulegać żadnej wątpliwości — p r z y g o t o w u j ą s i ę i n t e n s y w n i e d o w o j n y. Nie pomogą na to naiwne oświadczenia p. Kellogga, inicjatora znanego paktu jego imienia, jakoby sowieckie groźby wojenne były „czczem gadaniem", mającem uzasadnić opór państw Europy przeciwko niezwłocznemu rozbrojeniu. W celu spopularyzowania tej wojny „o podbój burżuazji wszechświatowej" wśród mas rosyjskich, karmione są one ustawicznie straszakiem grożącej jakoby Rosji inwazji ze strony państw „kapitalistycznych", chciwych otrzymania z powrotem „pożyczonych carowi miljardów". W tym celu prasa sowiecka prowadzi intensywną kampanję planowego szkalowania państw Europy, głównie Polski, Francji, Rumunji i Finlandji, którym zarzuca się najpotworniejsze zamiary pod adresem „pokojowych" Sowietów. Temu to celowi służył zainscenizowany tak misternie proces przeciwko członkom „partji przemysłowej". Oczywiście, tylko w Rosji jest możliwem, by oskarżeni ideowcy załamali się do tego stopnia pod wpływem „inkwizycji", że stali się narzędziami propagandy politycznej kominternu dla uratowania swego życia i zarobku. Zeznania tak „wiarogodnych świadków", mające przekonać masy o knowaniach francuskiego sztabu generalnego i innych „ciemnych sił" przeciwko „rajowi sowieckiemu", planujących rzekomo kontrrewolucję i podział Rosji, będą obecnie stale uzupełniane przy pomocy specjalnie ćwiczonych szpiegów-prowokatorów, mających za zadanie „demaskowanie" intryg francuskiego, brytyjskiego, polskiego i innych „sztabów generalnych". Niedawno „profitern" (sowiecka międzynarodówka związków zawodowych) wysłał specjalne instrukcje swoim „sekcjom" w Paryżu, Londynie i innych stolicach „zgniłej Europy", polecając im wzmożenie agitacji wśród żołnierzy, marynarzy, lotników, techników, robotników przemysłu wojennego i t. d., „w celu rozszerzenia

wśród nich dalszej, systematycznej i czynnej działalności w obronie Sowietów"! Instrukcje te zostały nawet ogłoszone oficjalnie w „Izwiestjach" i w „Prawdzie", jako „ostrzeżenie" przed „agresywną polityką" państw kapitalistycznych, co oczywiście nie przeszkadza ambasadorom Sowietów do zaprzeczania jakiejkolwiek odpowiedzialności za to rządu.

Niedawno komintern wezwał komunistów całego świata do mobilizowania bezrobotnych oraz pracujących robotników celem zorganizowania w dniu 25 lutego r. b. „międzynarodowego dnia" dla walki z bezrobociem. Wysunięto następujące hasła: natychmiastowa wypłata zapomóg bezrobotnym, ubezpieczenie od bezrobocia na koszt państwa i przedsiębiorców, zwolnienie bezrobotnych od płacenia komornego, 7-godzinny dzień pracy i t. d. W wezwaniu powiedziane jest dalej, że „wrogowie państwa sowieckiego uważają rok 1931 za decydujący dla wszelkiego rodzaju planów interwencyjnych". Jedynem wyjściem i ostatecznem rozstrzygnięciem kwestji bezrobocia jest walka rewolucyjna, celem obalenia rządów kapitalistycznych i ujęcia władzy przez proletarjat.

Przytoczone powyżej fakty świadczą o wielkiej aktywności polityki zagranicznej rządu sowieckiego, który, jak ze wszystkiego wynika, przechodzi do ofenzywy na bardzo szerokim froncie, stosując przytem metody niezwykle swoiste, obce dotąd sztuce dyplomatycznej. Dla niego nie istnieją ani zobowiązania międzynarodowe, ani ustalone przez wieki zwyczaje. Są to, zdaniem jego, przesądy burżuazyjne. Ponad głową rządów szuka porozumienia z „ludami", mobilizuje je przeciwko własnym państwom i pragnie z nich uczynić narzędzie swej polityki imperjalistycznej. Wytwarza w polityce międzynarodowej nowy czynnik o nieobliczalnych następstwach.

Równocześnie Sowiety rzucają nadal na rynki zagraniczne za bezcen ogromne ilości drzewa i zboża, korzystając z przymusowej pracy setek tysięcy głodujących chło-

pów, wyzyskując bez skrupułów klęskę głodową we własnym kraju, byleby zniszczyć produkcję krajów kapitalistycznych. Najlepiej udaje im się to w Anglji, gdzie ostateczna likwidacja rolnictwa, w razie utrzymania się doktrynerskiej polityki wolnohandlowej labourzystów i liberałów, jest tylko kwestją czasu. Inne bowiem kraje Europy i Ameryki zaczynają się bronić coraz skuteczniej przeciwko temu strasznemu niebezpieczeństwu. Szkoda tylko, że dotąd nietylko wszelkie próby obrony wspólnej sprawy zawiodły, lecz że w dodatku, dzięki właśnie kredytom, udzielonym Sowietom przez Włochy, Niemcy i Anglję, akcja ich może się nadal rozwijać. Potrzebne Rosji maszyny i sprzęty wojenne otrzymuje ona za bezcen, bo za bezwartościowe w istocie weksle.

Na tle styczniowej sesji Ligi Narodów dyplomacja sowiecka rozpoczęła grę, której celem było zaostrzenie międzynarodowych stosunków. Inspirowano Niemcy, aby tym razem już zupełnie zdecydowanie podjęły dyskusję na temat rewizji granic i ironizowano z powodu tych nielicznych głosów prasy niemieckiej, które, oczywiście tylko ze względów taktycznych, ostrzegały przed wysuwaniem w tej chwili zbyt daleko idących żądań. Sojusz rosyjsko-niemiecki na trupie Polski — oto ideał dyplomacji sowieckiej. „Izwiestja“ uspakajały Berlin, że Anglja nie ma zamiaru popierać Francji, więc nie należy poddawać się panicznym nastrojom i dodawały, że chociaż Sowiety nie biorą udziału w politycznych „awanturach“, stanowią jednak w polityce międzynarodowej pierwszorzędną siłę.

Rządy — piszą „Izwiestja“ — które nie będą umiały przeprowadzić walki z postanowieniami Traktatu Warsalskiego, znajdą się w sprzeczności z dążeniami mas ludowych, które mimo wszystko wywalczą zwycięstwo i uwolnią Niemcy od wersalskich więzów. „Izwiestja“ mają z pewnością na myśli z jednej strony komunistów, z drugiej — hitlerowców. Rzecz jasna, że wywołanie wojny poprzez rewizję traktatów leży w interesie ludzi, dążących

do rewolucji światowej... Niewątpliwym tryumfem akcji Sowietów jest zaproszenie ich do udziału w naradach gospodarczych konferencji paneuropejskiej, przeforsowane przez Włochy i Niemcy z widocznym zamiarem utrącenia briandowskiej koncepcji Paneuropy, jako, ich zdaniem, służącej przedewszystkiem interesom francuskim. Włosi i Niemcy pragnęliby mieć w Sowietach wygodne narzędzie, którego zechcieliby pozbyć się po wykorzystaniu; Sowiety jednak kombinują wręcz odwrotnie, co stanowi ogromne, zbyt lekceważone przez wielu niebezpieczeństwo dla Europy.

Nie było prawie większej mowy w Sowietach w ostatnim czasie bez powoływania się na to, że pokój obecny jest li tylko „peredyszką“ i że wszyscy winni się przygotowywać do nowej wojny, w której oczywiście bolszewicy nie zamierzają się bawić w żadne „humanitaryzmy“ i konwencje genewskie. Występy rozbrojeniowe Sowietów w Genewie mają na celu, rzecz jasna, tylko zrzucenie z góry odpowiedzialności za wybuch wojny na państwa „kapitalistyczne“. Piatiletka udała się na razie tylko, przy pomocy niemieckiej, w imponującej rozbudowie przemysłu wojennego, szczególnie lotniczego i gazowego. Woroszyłow w niedawnym referacie na kongresie komunistycznym podkreślił ogromne postępy w sprawie zaopatrzenia i wyćwiczenia armji czerwonej. „Ossoawiachim“ liczy obecnie 4 miljony zarejestrowanych członków tej olbrzymiej instytucji przysposobienia wojskowego. W ciągu 1929 r. przysposobienie to wyćwiczyło samych kobiet 40.000.

III. PRZECIWNICY OBRONNEGO BLOKU PRZECIWSOWIECKIEGO.

Trzy państwa stoją więc na przeszkodzie utworzeniu w Europie jednolitego bloku, zdolnego do obrony czynnej i biernej najżywotniejszych, wspólnych

wszystkim jej członom interesów. Są to Niemcy, Włochy i Anglja.

Pogląd włoski w tej sprawie najlepiej ilustruje artykuł „Giornale d'Italia", który twierdzi:

„Liga Narodów zwyciężyła koalicję francusko-angielską, która wywoływała nieufność do Ligi i wydawała się niepokonalną. Jest to zasługą samodzielnej polityki Włoch oraz wkroczenia Niemiec. Jednocześnie upadły koalicje i nieufności przeciw Włochom. Dowodzi tego interesowanie się stanowiskiem Włoch w zagadnieniach politycznych. Odtąd Włochy mogą używać polityki Ligi Narodów do swoich zamierzeń, a mianowicie dla wyjaśnienia swojej pozycji na arenie międzynarodowej obrony interesów włoskich, gdzie zajdzie tego potrzeba i dla pracy nad solidarnością międzynarodową w myśl wytycznych Mussoliniego. Pomysł Brianda, rzekomo humanitarny, miał na celu służenie polityce francuskiej. Dowodzi tego okoliczność, że przystąpiły do tego projektu bez zastrzeżeń tylko państwa Małej Ententy. Francji chodziło o stworzenie jednolitego frontu przeciw Rosji, ujęcia Niemiec zapomocą nowych zabezpieczeń w twarde ramy i utworzenia jednolitego frontu przeciw Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej na polu gospodarczem. Tę Paneuropę zmieniły przedewszystkiem Włochy, a przyczyniły się do tego Niemcy i Anglja. Niemożliwe jest bowiem nieprzyjęcie do Paneuropy Turcji, kiedy ona przechodzi europeizację, czy Rosji, gdzie conajmniej 110 miljonów ludności zamieszkuje Europę (?). W ten sposób dopiero Paneuropa otrzymała swój właściwy wygląd. Jeśli niektórzy uważają współpracę z Rosją za trudną, to niebezpieczeństwu temu lepiej patrzyć śmiało w twarz, niż je omijać".

Nie możemy zrozumieć ani upierania się przy zaliczaniu Rosji do Europy, ani nadziei pokonania niszczycielskiego dumpingu — przy zielonym stole z apostołami rewolucji wszechświatowej. Natomiast zgadzamy się z poglądami Włoch na zależność gospodarki Europy od gospodarki

światowej. Aspiracje zaś kolonjalne i morskie Włoch, będące przyczyną ich sporu z Francją, dla których zawsze okazywaliśmy należyte zrozumienie, realniejsze są na drodze porozumienia z Francją, aniżeli przy pomocy wywołania pozoru, jakoby Włochy patronowały wszelkim dążeniom do rewizji granic, wbrew kategorycznym zastrzeżeniom największych włoskich mężów stanu. Przyjaźń Włoch zawsze ceniliśmy i cenimy nader wysoko, jesteśmy też wdzięczni za życzliwe stanowisko, zajmowane właśnie przez Włochy względem sprawy nienaruszalności naszych granic i wogóle całego naszego sporu z Niemcami. Nie zwalnia nas to jednak od obowiązku mówienia im gorzkiej prawdy!

Coprawda, pocieszającym jest dla nas fakt podkreślenia przez Mussoliniego krańcowego przeciwieństwa między faszyzmem a komunizmem. Niemniej, wobec „panicznego strachu", jaki obecnie przeżywa Europa wskutek „głupiej gadaniny wojennej", jak Lloyd George określa współczesny stan umysłów, jest zupełnie zrozumiałem, że honorowanie niemal demonstracyjne we Włoszech poszczególnych „misji" i mężów stanu państwa krwawego antychrysta, prowokującego cały świat cywilizowany, najgorsze wywołuje obawy. Włosi postępują tak, jakgdyby zamierzali stać się współzawodnikami Niemiec w dostarczaniu największym wrogom pokoju potrzebnego do wywołania zawieruchy sprzętu wojennego. Komunizująca zaś ewolucja hitleryzmu, uważanego we Włoszech za „faszyzm", tembardziej te obawy potęguje. A w dodatku Włochy i Niemcy wymogły zgodnie dopuszczenie Sowietów do konferencji wszecheuropejskiej. Co jest zrozumiałem dla kierowników Reichswehry, sprzymierzonej niestety z armją czerwoną, to musi zadziwić u kolebki cywilizacji zachodniej! Mussolini tłumaczy owe stosunki z bolszewikami względami gospodarczymi i na swoją obronę przytacza istnienie pół miljona bezrobotnych oraz konieczność wzmożenia produkcji i wywozu dla zmniejszenia poważnego niedoboru budżeto-

wego, wyrównywanego już doraźnie ciężką daniną z poborów urzędniczych. Możemy więc tylko dziwić się optymizmowi, by nie powiedzieć lekkomyślności, tego genjalnego męża stanu w stosunkach z Sowietami, po tylu fatalnych doświadczeniach innych państw!

W Anglji coprawda zaniepokojenie dumpingiem sowieckim wzrasta z dnia na dzień. Jasnem jest, że grą na zniżkę Sowiety chcą wywołać rewolucję światową. Pertinax w „Echo de Paris" przypomina, że przed 10 laty Millerand przestrzegał Anglję przed tem niebezpieczeństwem i proponował jako środek obronny blokadę: „W pierwszej linji powinny uciec się do tego środka kraje, które, kupując w Sowietach więcej, niżeli im sprzedają, dostarczają Z. S. S. R. kredytów bankowych. Kwestja dumpingu rosyjskiego powinna być na porządku dziennym „komitetu Unji Europejskiej", lecz cóżby na to powiedziały Włochy, które właśnie pertraktują z Sowietami o dostawę zboża, oraz te z pośród państw, które zainteresowane są w natychmiastowych zyskach handlowych i w zyskach politycznych na dalszą metę"!

Angielskie sfery gospodarcze podnoszą, że dumping rosyjski może mieć fatalny wpływ na światowy kryzys gospodarczy. Z. S. S. R., zarzucając rynki swymi fabrykatami za bardzo niską cenę, wywoła zmniejszenie produkcji światowej, co musi w pierwszej linji odbić się na masach robotniczych. Dziwnem więc wydaje się, jak pisze „Le Temps", że socjalistyczny rząd angielski nie znalazł innego argumentu na protesty w izbie lordów z powodu utrzymywania stosunków handlowych z Sowietami, jak wątpliwej wartości odpowiedź lorda Ponsonby, iż rząd nie może dać wiary rewelacjom, nie pochodzącym ze źródeł oficjalnych (?!). Prawdą jest atoli fakt, że labourzyści nie chcą narazić się Moskwie i chcą utrzymać nadal stosunki angielsko-rosyjskie, mimo, iż te stosunki w rezultacie dały im li tylko rozczarowanie. Jedynem lekarstwem na niebezpieczeństwo, grożące ze strony Sowietów, jest zastosowanie

radykalnych środków przeciw importowi rosyjskiemu, pochodzącemu z pracy przymusowej, a mianowicie wprowadzenie świadectw wwozowych (licences) na towary rosyjskie, co ułatwiłoby zrównoważenie wwozu i wywozu w danym kraju — naturalnie przy zaniechaniu udzielania długoterminowych kredytów Rosji. Mowa Stalina o piatiletce, mimo, iż jest w niej dużo przesady, powinna służyć całemu światu za przestrogę.

„The Times", omawiając handlowy monopol sowiecki, dochodzi do wniosku, że monopol ten jest niebezpieczny dla państw kapitalistycznych, zwłaszcza w warunkach systemu niewolnictwa, jaki istnieje obecnie w Sowietach. Wobec bowiem przemysłowego i handlowego monopolu państwowego w Sowietach państwa europejskie mają bardzo utrudnioną konkurencję z towarami sowieckimi. Autor jest zdania, że państwa europejskie wystąpią z zorganizowaną akcją, lecz uczynią to prawdopodobnie w ostatnim, krytycznym momencie. Obecnie zaś — zdaniem autora — rząd brytyjski winien odmówić wszelkich kredytów rządowi sowieckiemu, by nie przyczyniać się do wzmocnienia systemu, wrogiego obecnemu ustrojowi państw europejskich. Jeżeli jednostki prywatne chcą prowadzić handel z Sowietami, to nie można im tego zabronić, lecz winny one to czynić na własne ryzyko, bez gwarancyj rządowych!

Niestety, liberałowie i labourzyści, na równi z Niemcami i Włochami, nie chcą widzieć na wschodnim widnokręgu Europy groźnego „mane, tekel, fares", wypisanego czerwoną dłonią antychrysta. Przecież kanclerz skarbu Snowden, w swojej ostatniej wielkiej filipice przeciw konserwatystom, sam przyznał, że położenie gospodarcze Anglji jest tak ciężkie, iż wymaga olbrzymich wysiłków i współpracy całego społeczeństwa. Cóż z tego, kiedy właśnie dumping sowiecki z jednej, a doktryny drugiej międzynarodówki z drugiej strony są głównemi przyczynami tej katastrofalnej niemal sytuacji Anglji!

Minister Henderson i lord Cecil nie mają w tych warunkach nic lepszego do roboty, jak nawoływać cały swiat do rozbrojenia, jako rzekomo jedynego środka na odwrócenie groźby wojny!! Anglja nawet, jak skarży się pierwszy lord admiralicji Alexander, daje przykład innym narodom, redukując już jednostronnie swoją flotę do stanu, pozostającego poniżej własnych normalnych potrzeb obrony. Zamiast starać się — wzorem byłego rządu konserwatywnego — o konsolidację Europy w obliczu jej śmiertelnego wroga, współczesna polityka W. Brytanji idzie raczej w kierunku, praktycznie biorąc, wręcz odwrotnym. Stara się bowiem o pacyfikację Europy przez zgodę na wciągnięcie do „Paneuropy“ Sowietów i naciska na Francję w kierunku ograniczenia jej zbrojeń dla dogodzenia rywalizacyjnym i rewizyjnym aspiracjom Włoch i Niemiec! Czyż wobec faktycznego stanu wojny gospodarczej, w jakim świat znajduje się z Sowietami, oraz jawnych gróźb najazdu na Europę i przygotowywania rewolucji wszechświatowej ze strony Moskwy, pora na spór o hegemonję na starym kontynencie? Obecnie gra idzie o najwyższe dobra cywilizacji i kultury, które dumping sowiecki już podważa, doprowadzając do ruiny rolnictwo europejskie! Cóż dopiero powiedzieć o destrukcyjnej robocie, szerzonej przez Sowiety w Azji i Afryce, a mającej na celu „zrzucenie jarzma europejskiego“!?

Na Imperjum Brytyjskiem ciąży dziś odpowiedzialność równa, jak w 1914 r. Miejmy nadzieję, że jak wówczas, dzięki jej interwencji, Europa została uratowaną przed militaryzmem pruskim, tak i obecnie Anglja podejmie rzuconą jej przez Moskwę rękawicę i weźmie udział w obronie świata przed prowadzoną przez Moskwę destrukcją gospodarczą Europy. Tej pewności jednak narazie nie mamy, a natomiast widzimy, jak tępy upór doktrynerski poświęca w Anglji nawet najżywotniejsze postulaty egzystencji państwowej.

Nie mamy potrzeby tłumaczyć bliżej przyczyn ujem-

nego stosunku Niemiec do sprawy solidarności Europy i upierania się ich przy sojuszu z Rosją, istniejącym de facto od układu w Rapallo. Natomiast uważamy za główne zadanie wszelkiej polityki pokojowej odciąganie Niemiec od Rosji i wiązanie ich z Europą, do której przecież rasowo, cywilizacyjnie, tradycyjnie i geograficznie należą. Trzeba przecież całego zaślepienia i niepoczytalności nacjonalistów i odwetowców niemieckich, by dążyć do rewizji traktatów przy pomocy ogniska rewolucji wszechświatowej i krwią zbryzganych katów nieszczęśliwego narodu rosyjskiego. Temu to celowi służyła t. zw. polityka locarneńska, polityka ugody i równouprawnienia zwycięzców ze zwyciężonymi, polityka zespolenia Niemiec — kosztem najdalej idących ustępstw — z Ligą Narodów. Niemcy jednak, jak dotąd, starają się wyciągać wszelkie możliwe korzyści z Locarna i Genewy, nie rezygnując bynajmniej z Rapalla, choć starają się współdziałanie Reischwehry z armją czerwoną wstydliwie nieco maskować. Forsują za wszelką cenę równouprawnienie zbrojeń drogą powszechnego rozbrojenia na wzór fikcyjnie przeprowadzonego w Niemczech, albo też powszechnej swobody zbrojeń w imię „bezpieczeństwa", jakgdyby można było, znając historję, porównać położenie Niemiec z sytuacją ich sąsiadów. Zastrzegły się one nawet wyraźnie przeciwko stosowaniu do nich art. 16 paktu Ligi, nakładającego na państwo obowiązek współpracy w udzieleniu pomocy dla zaatakowanego członka Ligi, choćby tylko przez przepuszczanie jego transportów wojskowych. Niemcy wyraźnie szantażują Europę, grożąc jej ustawicznie widmem sojuszu z Moskwą, wymuszając koncesję za koncesją, a nie dając nic w zamian.

Uważaliśmy i uważamy za fatalne dla polityki pokoju europejskiego wiązanie zagadnienia rozbrojeniowego pozornie z podziałem Europy na zwycięzców i zwyciężonych. Opór państw, zainteresowanych w utrzymaniu podstaw pokoju, przeciwko powszechnemu rozbrojeniu na zasadzie równouprawnienia ma bowiem dwie bardzo realne przy-

czyny; pierwsza z nich, to ukryte zbrojenia Niemiec, związanie ich z militaryzmem Rosji Sowieckiej oraz opór przeciwko zagwarantowaniu granic wszystkich państw przed napadem z zewnątrz; druga przyczyna, to niebezpieczeństwo, zagrażające całej Europie, a szczególnie państwom nad wschodnią jej rubieżą, ze strony czerwonej Moskwy.

To też jako szczerzy przyjaciele Węgier, uznający współudział ich w obronie Europy przed najgorszym jej wrogiem za konieczność dziejową, zgodną z tradycjami tylu wieków, uważamy za błąd wiązanie sprawy równouprawnienia militarnego Węgier ze sprawą rozbrojenia, względnie uzbrojenia Niemiec. Na Węgrzech właśnie — należy to podkreślić — świadomość niebezpieczeństwa sowieckiego jest szczególnie silna, tak silna, że nie chcą one za żadną cenę dopuścić do nawiązania z Moskwą stosunków dyplomatycznych. W roku zaś 1920, chcąc przyjść z pomocą Polsce (udaremnioną przez Czechosłowację), zamanifestowały one w sposób dobitny solidarność interesów Polski i Węgier w obronie Chrześcijaństwa i Zachodu. Tembardziej wzgląd ten winien Węgry ustrzec przed jakiemkolwiek współdziałaniem z perfidną polityką niemieckiej Reichswehry. Winien im również doradzać skorzystanie z przyjaźni z Włochami dla przestrzeżenia wspólnych naszych przyjaciół italskich przed ryzykownem wzmacnianiem siły gospodarczej Sowietów za cenę zamówień w przemyśle włoskim na wzór niemiecki. Polityka ta kosztuje już Niemcy miljard marek kredytów, których zwrot ze strony dłużników sowieckich jest bardziej niż wątpliwy.

IV. WALKA KRZYŻA Z PENTAGRAMĄ.

O ile chodzi o Niemcy i Włochy, to fatalna ich polityka rosyjska, chociażby nawet zamierzała tylko pozornie, dla strachu i efektu, wywoływać wrażenie wciągania Sowietów do zarysowującego się jakgdyby „bloku rewizji

traktatów“ i „walki z hegemonją Francji w Europie“ (czemu Mussolini wyraźnie zaprzeczył), winna je zreflektować, chociażby ze względu na uznawany przez nie (Niemcy katolickie i Włochy) autorytet Watykanu. Czyż bowiem nie widzą pochodu czerwonej pentagramy przeciwko światowi Krzyża?

Watykan raz po raz przestrzega świat chrześcijański przed grożącem mu od wschodu strasznem niebezpieczeństwem. Ojciec Święty piętnuje na równi lekkomyślny pacyfizm, przewrotowy internacjonalizm i szowinistyczny nacjonalizm, wskazując na konieczność braterskiego współżycia narodów chrześcijańskich i współpracy ich w obronie Europy przed „burzą od wschodu“. Ale Włochy i Niemcy wybrały drogę djametralnie przeciwną, forsując współpracę Sowietów w konferencji wszecheuropejskiej, żyrując weksle sowieckie, wystawione za dostawy maszyn i sprzętu wojennego dla Rosji Sowieckiej, oraz głosząc powszechne rozbrojenie bez jakichkolwiek gwarancji dla zagrożonych napadem państw, bez najmniejszego względu na jawne przygotowania wojenne Sowietów, grożących przecież otwarcie — pod nazwą „rewolucji powszechnej“ — ogniem i mieczem całemu cywilizowanemu światu, a nawet podważającemu już jego podstawy niszczycielskim dumpingiem i buntowaniem zachodnich mas ludowych przeciwko „białym panom“.

W takich warunkach trudno oczywiście myśleć o jakiejkolwiek wspólnej obronie zagrożonych państw przed bolszewikami, o wspólnym wysiłku, który niezawodnie zmusiłby sługi antychrysta do pokory i zaprzestania swego „ideowego“ i gospodarczego najazdu na świat cywilizowany, ba, który z pewnością przyczyniłby się do przyspieszenia załamania się tego potężnego, głównego źródła wszelkiego zła na świecie powojennym! Polska sama będzie więc musiała nadal ponosić główny ciężar obrony Chrześcijaństwa i Zachodu, ciężar

niezmiernie kosztowny i rujnujący nas poprostu w okresie przeżywanej fatalnej depresji gospodarczej. Obroniliśmy niedawno Europę, wbrew niej niemal i bez realnej pomocy w 1920 r., bronimy ją nadal, bez żadnego za to uznania, ba, nawet narażeni na ustawiczne rzucanie nam kłód pod nogi, na ciągłe pretensje do naszego „militaryzmu" i naszej „zaborczości"; tak bowiem wrogowie nasi na zachodzie nazywają naszą gotowość do obrony odzyskanej wreszcie niepodległości i nasz upór w obronie całości naszych granic — i tak już bardzo okrojonych w porównaniu ze stanem przedrozbiorowym.

Musimy wobec tego tembardziej podkreślić, że ta nasza właśnie misja historyczna obrony Chrześcijaństwa i Zachodu stanowi i obecnie dla Ojca Świętego powód szczególnej atencji dla Polski. Naszą rolą jest być awangardą w owej „krucjacie modlitwy", którą głosi Namiestnik Chrystusowy przeciwko okrutnemu prześladowaniu wiary w Rosji. Jak ongiś z półksiężycem, tak dziś Polska walczy w obronie Europy z pentagramą, z „młotem i sierpem". W tych dniach jeszcze organ Watykański „Osservatore Romano" wziął nas i naszych sojuszników w obronę przed niesłusznymi zarzutami ze strony obłudnych czy doktrynerskich pacyfistów, forsujących niezwłoczne rozbrojenie za wszelką cenę. „Pod płaszczykiem międzynarodowości — pisze organ Stolicy Apostolskiej — Sowiety prowadzą przygotowania wojenne. Bolszewicy dążą do rozbrojenia wszystkich narodów tylko po to, aby rzucić je w wir anarchji. Nie jest to rozbrojenie, o którem mówili Papieże i do którego należy dążyć. Sowieckie żądanie rozbrojenia — to tylko pewna odmiana przygotowania przewrotu socjalnego, którą Papież Pius XI już potępił, zaznaczając, iż jest niebezpieczniejszą, niż samo rozbrojenie... Tylko wówczas pozbawimy wszystkich internacjonalistów możności demoralizowania mas, kiedy potrafimy na przykładzie Z. S. S. R. dowieść, że bez Boga nie może być sprawiedliwości, jak nie może być i pokoju".

Nic dziwnego, że wobec takiej swej zasadniczej orjentacji, otoczył Papież specjalną sympatją osobę marsz. Piłsudskiego, jako spadkobiercę i uosobienie takiej, a nie innej właśnie misji historycznej Polski, nakazującej nam wznowić sławne tradycje Jagiellonów i Batorego. Nic dziwnego też, że Ojciec Święty w swoich enuncjacjach, w ciągłej trosce o ustanowienie na świecie prawdziwego pokoju, opartego na panowaniu etyki chrześcijańskiej we współżyciu narodów, potępia tak stanowczo szowinistyczny nacjonalizm na równi z wywrotowym internacjonalizmem, jako przeszkodę na drodze do braterstwa narodów w Chrystusie. Minęły już czasy, kiedy mocarstwa próbowały usunąć Stolicę Apostolską z terenu międzynarodowego. Duch, datujący się od czasów traktatu westfalskiego, który nie pozwolił w osiemnastym wieku swobodnie wzywać sprawiedliwości dla rozbieranej Polski, wydaje się dziś już anachronizmem. Popierając całym swoim autorytetem zasady współpracy międzynarodowej, na jakich opiera się Liga Narodów, Papież dokłada wszelkich usiłowań dla ugruntowania ponownie tej współpracy nad pokojem na podstawach Wiary i posłuszeństwa wobec Woli Bożej. W jego oczach Królestwo Chrystusowe na ziemi jest dziełem wiecznego postępu, do którego pragnie dołożyć swoją cegiełkę.

Oczywiście wszelkie pomawianie nas o chęć interwencji w Rosji lub o wysługiwanie się odnośnym projektom innych mocarstw należy do dziedziny złośliwej fantazji i umyślnych, celowych oszczerstw. O pomocy dla nieszczęśliwego narodu rosyjskiego nie możemy nawet marzyć. Musimy na razie zabezpieczyć własną naszą obronę i to polegając na własnych siłach. Czy jednak wystarczą one zawsze w walce z potęgą, obejmującą szóstą część kuli ziemskiej? Póki zachowamy obecne sojusze — tak, inaczej jednak, w razie powtórzenia w gorszych warunkach najazdu, musimy chyba liczyć na nowy cud nad Wisłą!? Czasy się powtarzają. Odosobnienie Polski

w walce z najeźdźcą wschodnim należy niestety do tradycji Europy!

Sienkiewicz odtwarza w „Krzyżakach“ rozmowę kilku rycerzy przed drzwiami katedry wawelskiej o Tymurze Chromym, zagrażającym wonczas całemu chrześcijaństwu. Stary Wojciech z Jagłowa opowiada o cudownem przemówieniu wizerunku Chrystusa do królowej Jadwigi:

„Królowa powiedziała, że gdyby wszystko rycerstwo tutejsze poszło z kniaziem Witoldem na Chromego, tedy byłaby moc pogańska skruszona. Ale to nie może być dla niepoczciwości panów chrześcijańskich. Trzeba granic pilnować i od Czechów i od Węgrzynów i od Zakonu, bo nikomu ufać nie można. Gdy zaś garść jeno Polaków z Witoldem pójdzie, pokona go Tymur Kulawy, albo jego wojewodowie, którzy ćmom nieprzeliczonym przywodzą. . .“

Adam Romer.

Powyższe uwagi autora, ilustrujące w doskonałym zarysie całokształt tej równocześnie doktrynersko-naiwnej i lekkomyślnie perfidnej polityki „cywilizowanego zachodu“ wobec najoczywistszego niebezpieczeństwa i szantażu Sowietów, chcemy uzupełnić jedną tylko, praktyczną konkluzją.

Istnieją dwa przysłowia, jedno polskie, drugie łacińskie. Polskie brzmi: „Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera“. A łacińskie: „Volenti non fit injuria“. Obawiamy się, że nowoczesna, oczywiście „demokratyczna“, dyplomacja państw zachodnich, lubująca się nadal — mimo dotkliwych cięgów — w spomplikowanych, nieszczerych piruetach i frazesach, dostarczy światu, w ostatecznym rezultacie tych piruetów, wymownej ilustracji do przysłów, wyżej cytowanych.

A gdy ruina takiego czy innego wywrotu, podsycanego przez dwie najbezwzględniejsze i najpotężniejsze na świecie organizacje imperjalistyczne, Niemiec i Rosji, niszczyć zacznie kolejno zachodnie państwa cywilizowane, rozdzielone dziś przeciw sobie dla drobnostkowych sporów prestiżowych czy geszefciarskich, wówczas państwa te będą zmuszone przypomnieć sobie jeszcze trzecie przysłowie, tym razem francuskie:

„Tu l'a voulu, George Dandin!"

Redakcja.

„PRYMITYWIZACJA ŻYCIA GOSPODARCZEGO“.

Temat ten został postawiony, w ogólnym coprawda na razie zarysie, ale tembardziej w pewnym całokształcie, poraz pierwszy może w Polsce na zebraniu dyskusyjnem „Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości“ dnia 12 lutego r. b. Dyskusja podkreśliła jednomyślnie ważność i piekącą aktualność tego problemu, a stąd i konieczność wniesienia go na forum dyskusji publicznej, zwłaszcza, że wymieniony w nagłówku problem w pierwszych swych zaczątkach nie zrodził się bynajmniej w Redakcji naszego pisma, ale ujawnił się już przedtem, coprawda fragmentarycznie, w różnych luźnych artykułach czy uwagach, rzuconych tu i ówdzie w publicystyce ekonomicznej z ostatnich miesięcy, zarówno polskiej, jak i zagranicznej.

Reasumując więc referat, wygłoszony na wspomnianem zebraniu „Koła Przyjaciół N. P.“, jak i uwagi, wysunięte w dyskusji, zapewne nie ostatniej na ten temat, pozwalam sobie poddać to zagadnienie głębszej, a przedewszystkiem bezstronnej rozwadze Szanownych Czytelników.

Istna powódź literatury i codziennej publicystyki na całym świecie, a więc i w Polsce, przelewa się na temat walki z obecnym kryzysem gospodarczym i tysiączne środki zaradcze podejmują — lub przynajmniej proponują — różne rządy, parlamenty, komitety i instytucje międzynarodowe, związki zawodowe oraz fachowcy-ekonomiści na obu półkulach. Jak dotąd, ogółem biorąc, z niewielkim — a mówiąc szczerze: z ujemnym — rezultatem. Dużo dobrej woli, ogrom wiedzy, pracy fachowej, statystyki i argumentacji, dość duże, chociaż może niezawsze kompletne

zrozumienie rozmiaru katastrofy i niebezpieczeństwa, wiele, bardzo wiele zwrotów dyplomatycznych i formułek, tonny drukowanego materjału, współpraca najwybitniejszych mózgów polityczno-gospodarczych całego świata, a jednak rezultat: nieubłaganie spadkowa linja konjunktury, bezrobocia i nędzy. I co gorsza, nie jakiejś lokalnej, ostrej, chwilowej nędzy — ale postępowa pauperyzacja całego świata, ze wszystkiemi socjalnemi i politycznemi jej konsekwencjami, z których nikt dotąd nie był w stanie wskazać jakiegoś praktycznego wyjścia. Bo we wszystkich rozprawach i enuncjacjach, jakie czyta lub słyszy się na ten temat w kraju i zagranicą, roi się od jednego, wielce kłopotliwego przysłówka „gdyby". Każdy twierdzi, że gdyby to lub gdyby owo, to możnaby kryzys przezwyciężyć.

Ale właśnie w tem całe nieszczęście, że owe rozliczne „gdyby" odnoszą się do spełnienia ogromnego, mniejwięcej równoczesnego szeregu postulatów politycznych, dyplomatycznych, społecznych, ustrojowych, ekonomicznych i t. d. i t. d., które w danych warunkach pozostać muszą niestety, przez okres na razie jeszcze bezterminowy, tylko piękną teorją i pobożnem życzeniem.

Niezaangażowany bezpośrednio w całą tę akcję, we wszystkie te zmagania i wysiłki, spokojny, objektywnie myślący obserwator wyjść nieraz nie może ze zdziwienia, jak dalece nierealnie, teoretycznie, rzec można: romantycznie, traktują często tę sprawę ludzie, skądinąd nawskroś realni! Odnosi się wrażenie, jakgdyby kogoś, cierpiącego na wrzód śmiertelny, chciano leczyć uśmierzaniem zewnętrznych symptomów i skutków tej choroby, unikając, jak ognia, zdecydowanego chirurgicznego cięcia. Lekarze, zebrani ze wszystkich stron świata, stosują, czy chcą stosować, aspirynę dla zmniejszenia wywołanej wrzodem gorączki (socjalnej), zastrzyki morfiny dla zmniejszenia bólu (nędzy), pewne środki dla pobudzenia apetytu (zdolności konsumcyjnej) oraz stosowny reżim kuracyjny

(naukowa organizacja pracy). Żaden zaś nie ma odwagi dobrać się do samego wrzodu, przeciwnie, wszyscy unikają (celowo?) tego tematu, a nawet terapja ich robi wrażenie, jakgdyby chcieli leczyć pacjenta, utrzymując jednak wrzód w nim bez zmiany.

Czyż to porównanie nie bije w oczy swą analogją do naszej rzeczywistości gospodarczej, zwłaszcza, jeżeli porównamy symptomy choroby z ich tłomaczeniem na język polityczno-ekonomiczny, zamieszczony powyżej w nawiasach?!!

Cóżby się stało, gdyby w cytowanym wypadku jeden z lekarzy, zamiast podtrzymania agonji pacjenta narkotykami, zaproponował operację? Odrazu rzuciliby się wszyscy na takiego śmiałka, ujrzałby przed sobą zjednoczony, wrogi front kolegów. Dlaczego? Bo zrozumieliby, że występuje przeciw „systemowi ustalonemu"!

Słynny publicysta francuski, Fr. Delaisi, pisze słusznie *), że biada tym, którzy — nawet w najlepszej i najzdrowszej intencji — ośmielają się wystąpić z czemś, co narusza „le sistème établi" w danem państwie czy społeczeństwie. Taki bowiem „ustalony system stosunków" opiera się nietyle na konstytucji czy innem prawie pisanem, ile przedewszystkiem na materjalnych czy prestiżowych interesach i przywilejach miarodajnych warstw społecznych. Trzymając się kurczowo, choć często bezkrytycznie, tego zdawna ustalonego porządku rzeczy, bronią go owe zainteresowane warstwy w sposób bezwzględny, traktując wszelką myśl zmiany tych stosunków jako atak, wymierzony przeciw ich najżywotniejszym interesom, nawet w tym wypadku, gdyby ewolucja warunków wysuwała najoczywistszą potrzebę zmiany systemu — zmiany choćby powolnej tylko i stopniowej. W praktycznym rezultacie wolą przedłużać beznadziejnie swą agonję gospodarczą czy społeczną i ginąć, niż zmienić celowo „system ustalony".

---

*) Fr. Delaisi: Contradictions du monde moderne.

Oto — zdaniem naszem — najgłębszy powód beznadziejności dotychczasowych wysiłków walki z kryzysem. Sfery gospodarcze w różnych państwach stanęły na bezkrytycznem stanowisku, że wszystko to, co rozwijało się i kwitnęło przed wojną w każdym kraju, musi w tej samej formie i conajmniej w tych samych rozmiarach utrzymać się i nadal, choćby rzeczywistość wykazywała jasno, jak na dłoni, że warunki ekonomiczne po wojnie pod każdym względem się zmieniły, a wszelkie wysiłki finansowe ratowania i sztucznego podtrzymywania przedsiębiorstw, może zewnętrznie jeszcze wspaniałych, ale w istocie już nieżywotnych, idą widocznie na marne, topiąc, jak w beczce Danaid, miljardowe sumy, a płodząc w rezultacie tylko coraz większe ciężary, coraz wyraźniejszą agonję gospodarczą i zaostrzenie kwestji socjalnej. Jest to oczywisty system beznadziejnego galwanizowania trupów, który rozchodzącymi się kręgami rujnuje coraz bardziej życie gospodarcze w państwie, udaremnia zgóry wszelkie wysiłki naprawy, a natomiast dostarcza socjalistom i komunistom dowodu „bankructwa gospodarki kapitalistycznej".

Ale sfery gospodarcze wolą widocznie to wszystko, niż spojrzeć prawdzie w oczy i naruszyć w czemkolwiek „system ustalony". Wolą zginąć, wolą łudzić się czemś nieokreślonem, choć wielu zdaje sobie dobrze sprawę z istoty złego, niż przestawić się na inną platformę pracy i zysku, z rozumnem dostosowaniem się do zmienionej w ostatniem dwudziestoleciu sytuacji.

O co właściwie chodzi?

Życie gospodarcze w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przedwojennych, nadzwyczaj korzystnych dla swego rozwoju, popartego nadto szeregiem nowoczesnych udogodnień i technicznych wynalazków, wytworzyło wspaniały, precyzyjnie funkcjonujący, aczkolwiek skomplikowany aparat produkcji i wymiany, nastawiony z wielkim rozmachem na przyszłość. Rozmiar produkcji i konsumcji, ich organizacja, rozmiar środków obrotowych i rynków wy-

miany znajdowały się w odpowiedniej równowadze. Rozwój szedł naprzód niewstrzymanym pędem, a na jego czele szła produkcja, nietylko dostosowana do już zdobytych, bardzo pojemnych rynków zbytu, ale zdobywając sobie coraz nowsze, coraz obszerniejsze. Ogółem biorąc, kraje przemysłowe wywoziły wyroby przemysłu, sprowadzając wzamian płody surowe, a znakomicie zorganizowany aparat finansowy, coraz bardziej „bezgotówkowy“, ułatwiał i zapładniał te tranzakcje.

W czasie wojny światowej aparat handlowy i finansowy doznał wprawdzie gwałtownego wstrząsu i hamulca, gdzieniegdzie w sposób wprost katastrofalny, ale produkcja, podtrzymywana, a nawet wzmagana sztucznie potrzebami wojny, szła dalej z coraz większym rozmachem, aczkolwiek oczywiście nie we wszystkich kierunkach.

Nastąpił pokój. I oto ujawnił się w całej jaskrawości system, „ustalony“ w okresie przedwojennym i wojennym: we wszystkich państwach na świecie, dotkniętych oczywiście różnemi, chwilowemi bolączkami powojennemi, które jednak stopniowo dałyby się były załagodzić, zabrzmiało patrjotyczno-gospodarcze hasło f o r s o w a n i a p r o d u k c j i. Wszystkie rządy, związki zawodowe i stronnictwa polityczne zabrzmiały tem hasłem na wyścigi. I nasze polskie stronnictwa czy obozy, zwalczając się na noże na arenie politycznej, zgodne były od początku w tem jednem haśle: „radosnej twórczości“, niesłusznie przypisywanem dzisiaj tylko pewnej grupie ekonomistów w rządach pomajowych.

Wystąpienie z otrzeźwiającym apelem pewnego rozsądnego zatamowania tego nadmiernego rozmachu ściągnęłoby gromy na głowę śmiałka ze strony wszystkich sfer, zainteresowanych w tym powojennym „ustalonym systemie“.

A tymczasem twarda rzeczywistość zaczęła z roku na rok wykazywać taką zmianę przedwojennych warunków i widoków pracy gospodarczej, że prosty zmysł ku-

piecki powinien był wskazać oddawna racjonalne tory, na jakie wstąpić powinna była tendencja gospodarcza poszczególnych państw.

Rzeczywistość ta wykazała przedewszystkiem, że dalszy, bezkrytyczny rozwój produkcji, rozpędzonej daleko ponad potrzeby, a przedewszystkiem ponad możność konsumcji, musi się sam rozumnie zahamować, a już conajmniej nie powinien być dopingowany różnemi wyrafinowanemi „ulepszeniami" w kierunku masowej, seryjnej — notabene coraz tandetniejszej — fabrykacji. Następnie zaczęło okazywać się, że nadmierne udoskonalenia techniczne i społeczne zwiększają w geometrycznym niemal postępie ciężar, obarczający produkcję, zmniejszając przez to samo konsumcję, a wyrzucając na bruk coraz dalsze miljony bezrobotnych. Wreszcie, próby podjęte przez różne morskie potęgi handlowe, m. in. Stany Zjednoczone, ujawniły niespodziane dla ogółu zjawisko kurczenia się na całym świecie dawnych, egzotycznych rynków zbytu, przedewszystkiem przez to, że różne pozaeuropejskie kraje surowcowe zaczęły same u siebie zakładać przemysł. Hasło intensyfikacji produkcji, propagowane w Europie i Stanach Zjednoczonych, przeszczepiło się i do tych krajów, budząc tam wielkoprzemysłowe ambicje. Co więcej, niektóre kolonje zaczynają zagrażać bardzo poważnie pewnym gałęziom europejskiego przemysłu swym towarem gotowym (np. cukier trzcinowy). Zaczyna się więc jakgdyby ruch wprost przeciwny — tendencja zamorskich krajów konkurowania z przemysłem europejskim w samej Europie!

Nadto wobec ogólnej, wzajemnej nieufności politycznej i gospodarczej wszystkich państw europejskich, banki emisyjne ograniczają emisje banknotów znacznie poniżej swej zdolności emisyjnej, zawarunkowanej ustawowo złotem. Statystyka wykazuje, że — za wyjątkiem Stanów Zjednoczonych — banki emisyjne utrzymują w obiegu przeciętnie dwa razy mniej banknotów, niż mogłyby emitować prawnie na podstawie swych trezorów w złocie. Druga połowa

złota leży w ich składach bezużytecznie, jako „rezerwa na nieufność". Bank Polski np. posiada zdolność emisyjną około dwuch miljardów zł., a w obiegu znajduje się zaledwie jeden i ćwierć miljarda zł.

Ta polityka nieufności i ostrożności, której pewnej słuszności w danych warunkach politycznych i psychicznych niepodobna odmówić, wywołuje jednak ogromny niedostatek środków obiegowych. Jak wykazaliśmy to w poprzednim numerze tego pisma *), wzrost środków obiegowych na świecie postępuje znacznie wolniej od wzrostu produkcji. To zaś, między innemi, osłabia również zdolność konsumcyjną społeczeństwa i pogarsza kryzys, zwłaszcza w kraju młodym, jak Polska, gdzie — pomijając ową politykę nadmiernego ograniczania emisji — nie mógł jeszcze nagromadzić się trezor złotowy, odpowiadający wielkości i potrzebom gospodarczym państwa.

Dochodzi do tego jeszcze w niektórych państwach, a przedewszystkiem w Polsce, ustawodawstwo nawskroś antygospodarcze, wymierzone od pierwszej chwili niepodległej gospodarki na bezkrytyczną realizację wszelakich doktrynerskich postulatów socjalnych za wszelką cenę, bez względu na możliwości finansowe oraz na zniszczenie większego stanu posiadania i większych warsztatów pracy. Ponieważ ustawodawstwo to dotąd jeszcze nie jest zmienione, więc też wszelkie wysiłki naprawy stosunków gospodarczych rozbijać się muszą o prawny mur ustaw i świadczeń socjalnych i fiskalnych.

W takich warunkach zdawałoby się rzeczą najprostszą, najbardziej naturalną, dostosowanie rozmiaru produkcji i handlu do faktycznych możliwości konsumcji, a w pierwszym rzędzie oczywiście zahamowanie tej rozpędzonej zdawna i popędzanej w dalszym ciągu wszelkimi środkami i „ulepszeniami" machiny produkcyjnej. Nakazuje to przecież nawet prosty, prymitywny zmysł kupiecki. Wszak

---

*) Włodzimierz Zbrowski: Droga do kryzysu.

każdy rozumny właściciel pierwszego lepszego sklepu dostosowuje się do zmiany konjunktur. W niepomyślnej konjunkturze, gdy klijentela stale się przerzedza, nie będzie sprowadzać nadmiaru kosztownych towarów, bo wie, że ich nikt nie kupi. Nie będzie nadmiernie i nadaremnie w takich warunkach forsować interesu kosztowną reklamą i zapełnianiem sobie składu i okien wystawowych masą towarów, sprowadzanych na kredyt, których nie ma nadziei w odpowiednim czasie sprzedać.

Zdawałoby się, że tę prostą prawdę zrozumieją rządy i sfery gospodarcze i to tembardziej, że przesilenie obecne nie jest wcale kryzysem w zwykłem tego słowa znaczeniu, ale wszystko wskazuje na to, że mamy tu do czynienia z czemś długotrwałem, z ogólno-światową linją spadkową konjunktury na długą metę. Stąd oczywisty wniosek, że do tego stanu rzeczy należy się odpowiednio dostosować, co naturalnie nie wyklucza doraźnego zwalczania poszczególnych objawów niepomyślnych, zwłaszcza o charakterze ostrym.

Ale inaczej niestety rozumieją tę sprawę rządy, a zwłaszcza sfery gospodarcze — a przynajmniej zachowują się tak, jakgdyby inaczej rozumiały.

Oto stanęły na stanowisku, że wszystko, co było i kwitnęło niegdyś, musi być utrzymane nadal za wszelką cenę, choćby było skazane na śmierć, choćby mu nic pomódz nie mogło w zmienionych do gruntu warunkach. Głosi się nawet w dalszym ciągu „patrjotyczne“ hasła wzmożenia produkcji, udoskonalenia maszynizmu usque ad absurdum i wykształcenia fabrykacji seryjno-tandeciarskiej wzorem amerykańskim.

Hasło wzmożenia, a już conajmniej utrzymania rozmiaru i metod produkcji na dzisiejszym poziomie, ponad wszelkie możliwości finansowe, ponad możliwości zbytu i ponad zdrowy rozsądek, jest więc nietykalnem tabu sfer gospodarczych. Ponieważ zaś nie są w stanie zaprzeczyć, że siła nabywcza społeczeństwa w danych warunkach nie

jest w stanie zakupić tej produkcji, która marnuje się na składzie, wyrzucając na bruk coraz większe rzesze bezrobotnych, a z drugiej strony nie chcą w żaden sposób uznać oficjalnie faktu nadprodukcji, dlatego wymyśliły na określenie tego zjawiska nazwy: podkonsumcja, niedokonsumcja! Chcą przez to wmówić w siebie i w świat cały, że z produkcją wszystko jest w porządku, a choruje tylko konsumcja. I dlatego jedynem w ich mniemaniu lekarstwem na kryzys jest wzmożenie konsumcji.

Życzenie pobożne, ale niestety trudne na razie do realizacji. Nam się bowiem zdaje, że nie konsumcja do produkcji, jak tego pragną par force sfery przemysłowe i rolnicze, wspomagane w tej utopji przez sfery handlowe i różnych ekonomistów i działaczy społecznych, ale produkcja powinna dostosować się do konsumcji. Jest to niejako postulatem zdrowego rozsądku, a zwłaszcza w konjunkturze na dłuższą metę spadkowej, w jakiej się obecnie znajdujemy i która też dlatego tem mniej rokuje widoków możności forsownego podciągnięcia kieszeni nabywców do „niezłomnych" pretensji producentów.

Ale biada wystąpić z takim oczywistym wnioskiem zdrowego rozsądku! Wszak godzi się nim dotkliwie w „system ustalony", w najżywotniejsze interesy (coprawda fikcyjne, bo i tak na śmierć skazane) różnych sfer i różnych instytucji, mających za zadanie dalsze dopingowanie rozmachu maszynizmu i produkcji! Mimo jednak tylu groźnych nieprzyjaciół, nie wahamy się w tem piśmie powiedzieć słów prawdy:

N i e k o n s u m c j a d o p r o d u k c j i, a l e p r o d u k c j a m u s i s i ę d o s t o s o w a ć d o k o n s u m c j i, bo inaczej rujnujący, długotrwały stan krytyczny musi się coraz bardziej pogłębiać, bez żadnej nadziei ratunku. Dlatego pierwszym warunkiem racjonalnego dostosowania się do obecnej konjunktury światowej i krajowej musi być l i k w i d a c j a b e z k r y t y c z n e g o h a s ł a w z m o ż e n i a i a m e r y k a n i-

zowania produkcji, a natomiast nałożenie dotychczasowemu ich rozpędowi pewnego rozumnego wędzidła pod hasłem, które nazwijmy obrazowo: „prymitywizacją życia gospodarczego“.

Nie znaczy to oczywiście, abyśmy chcieli propagować jakieś cofanie się wstecz do odległych czasów i stosunków. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że postępu zasadniczo wstrzymywać nie należy i nie można. Ale, jak radykalny postęp w polityce powinien być w odpowiednim stopniu hamowany przez czynniki umiaru i rozwagi, gdyż bez tego zawiódłby państwo na tory niebezpiecznego przewrotu, tak i w omawianym tutaj wypadku widocznej hipertrofji produkcji można i trzeba nałożyć jej odpowiednie wędzidło. Tę bezsporną prawdę powinny sobie rządy i sfery gospodarcze jasno, wyraźnie i po męsku powiedzieć i według tego postąpić. Łudzenie siebie i drugich i narkotyzowanie się wzajemne t. zw. „patrjotyzmem gospodarczym“ i rozmachem „radosnej twórczości“ na nic się nie zda, opóźni dzieło naprawy i przedłuży agonję wszystkiego, co w danych warunkach jest gospodarczo nieżywotne — z niezmierną stratą pieniężną i szkodą państwa.

Spójrzmy nieco wstecz nieuprzedzonem okiem. Wszak dawniej rolnik produkował spokojnie swych 10 cetnarów pszenicy z morgi i — był zamożnym człowiekiem. Dzisiaj — po upływie lat kilkunastu — ten sam rolnik forsuje, idąc owczym pędem za przykładem zagranicy, swą ziemię do produkcji 15 czy nawet 18 cetnarów, przy pomocy nawozów sztucznych i wszelakich maszyn i systemów postępowych, z czego chełpi się wobec sąsiadów, a mimo to — bankrutuje. I nie może być inaczej, skoro z jednej strony przygniata go ciężar nadmiernej na nasze stosunki intensyfikacji produkcji, z drugiej niemniej nadmierny ciężar stojącej w pewnym związku z nią intensyfikacji świadczeń państwowych i socjalnych, z trzeciej wreszcie niemożność korzystnej sprzedaży, a nieraz nawet niemożność wogóle

sprzedaży tej zdwojonej produkcji. Na co więc zda się cały postęp, skoro nietylko nie spełnia swego zasadniczego zadania: polepszenia dobrobytu, ale przeciwnie, sprowadza ruinę?! Czy taki postęp jest istotnie postępem? Czy taka „fordyzacja" naszej poczciwej gleby nie jest raczej sztucznem, a rujnującem skomplikowaniem życia i pracy rolnika? Czy nie jest tem samem, czem bezkrytyczny, bojowy radykalizm jest w polityce?

Albo inny weźmy przykład — pierwsze z brzegu rzemiosło. Dawniej warsztaty rzemieślnicze lub „niesfordyzowane" fabryki produkowały towar znacznie lepszy, po przystępnej dla ogółu konsumentów cenie, a wszechstronnie wykwalifikowani robotnicy czy kierownicy oddawali się swemu zawodowi z całem zamiłowaniem, ujawniając pewną ambicję w solidnem wykonywaniu swej pracy. Znać to wyraźnie na wszelkich fabrykatach, im dalej wstecz sięgają. Ten sam wyrób z przed lat stu jest dziełem sztuki, z przed pięćdziesięciu jeszcze bardzo starannym i trwałym wyrobem, a dzisiaj — lichą tandetą. Dziś bowiem produkują fabryki amerykańskim, seryjnym systemem oczywisty nadmiar tandety we wszystkich niemal dziedzinach, której zbyć nie są w stanie, powodując przez to bezrobocie, kompletny zanik zawodowego zamiłowania wśród pracowników, których postępująca mechanizacja tylko demoralizuje, materjalnie i moralnie unieszczęśliwia, proletaryzuje i czyni podatnym elementem dla wszelkich podmuchów wywrotowych — a przytem przynoszą widoczną szkodę konsumentom, przez pobieranie stosunkowo wysokich cen za coraz mniej wartościowe wyroby.

W ten sposób dzisiejszy nadmierny, „radykalny" postęp produkcji, sprowadzający ją na tory hipertrofji ilościowej, a upadku jakościowego, nie jest w istocie swej żadnym postępem, ale przeciwnie — faktycznem wstecznictwem pod względem technicznym, materjalnym i moralnym. Z tego dobrze trzeba sobie zdać sprawę, rozpatrując objektyw-

nie stan rzeczy i nie dać zaćmić sobie zdrowego sądu pewnymi, czysto zewnętrznymi pozorami postępu.

Obecna hipertrofja produkcji, ze wszystkiemi konsekwencjami praktycznemi, jakie za sobą pociąga i z całym swym, niesłychanie uciążliwym i skomplikowanym aparatem „postępowości“, „naukowości“ oraz fałszywie i obłudnie reklamowanego „humanitaryzmu“, rujnuje gospodarstwo krajowe, mechanizuje, proletaryzuje i unieszczęśliwia pracowników, a nadto — bez żadnej wątpliwości — bolszewizuje mniej lub więcej całe społeczeństwo.

A różne sfery gospodarcze dokładają — chyba w samobójczym popędzie — wszelkich możliwych i niemożliwych starań, aby tylko utrzymać niezdolny do życia stan rzeczy, aby zapomocą różnej sztucznej, ad hoc wprowadzonej do ekonomji nomenklatury nie dewualować publicznie najoczywistszego faktu nadmiaru produkcji i nadmiaru handlu w Polsce. I dlatego, upierając się przy tej polityce, wytężają wszystkie swe starania w beznadziejnym kierunku podniesienia siły konsumcyjnej społeczeństwa, co nie leży w ich mocy, gdyż właśnie nadmiar produkcji i handlu oraz ciężar świadczeń publicznych tę siłę paraliżują, zamiast w myśl prostych, trzeźwych zasad kupieckich produkcję, jej metody i handel do obecnych warunków zbytu racjonalnie dostosować i ograniczyć.

Dawniej pracowało z wystarczającym zyskiem i mniej więcej z zadowoleniem moralnem np. 100.000 ludzi w danej gałęzi przemysłu, mając — przy odpowiedniej dozie pilności i oszczędności — wszelkie szanse stopniowego wznoszenia się na coraz wyższy poziom materjalnego dobrobytu i kultury. Wszyscy byli zatrudnieni i szczęśliwi, o ile można być szczęśliwym na tym padole płaczu. Dzisiaj ta sama gałęź przemysłu, produkująca bez żadnej potrzeby nadmiar seryjnej tandety na sposób „amerykański“, wyrzuca na bruk połowę pracowników, z reszty zaś znaczną część utrzymuje w losie niepewnym, przy zredukowanych kilkakrotnie godzinach pracy i odpowiednio zreduko-

wanych zarobkach. I to nazywa się u nas postępem! W ten sposób podnieść się ma gospodarstwo krajowe i „mocarstwowe“ stanowisko państwa i szczęście ludu!

Miejmy odwagę cywilną i uczciwość spojrzeć prawdzie w oczy: zadużo mamy produkcji, zbyt „wysokie“ są jej metody, zadużo handlu i handlowców wszelkiego — nie zawsze pożytecznego — rodzaju, zadużo amerykanizacji, fordyzacji, tayloryzacji i rozmaitego innego „postępu“ i zadużo oczywiście także ciężarów, świadczeń publicznych, biurokracji i innych nowoczesnych komplikacji. Zadużo nawet t. zw. dobrych chęci, któremi — jak wiadomo — wybrukowana jest droga do piekła, a w tym wypadku i do piekła i do nędzy!

To wszystko razem zabija nas bez żadnej wątpliwości. Z jednej strony państwo, które wciąż jeszcze sądzi, że gospodarstwo prywatne jest dla niego niewyczerpaną studnią, z drugiej bezkrytyczny rozpęd wielu przemysłowców, handlowców i rolników, którzy wciąż jeszcze sądzą, że można bezkarnie żeglować przeciw żelaznemu prawu podaży i popytu. I zamiast zmniejszyć podaż, co leży całkowicie w ich ręku, wołają o zwiększenie popytu, co w danych warunkach jest utopją. Bo — powtarzamy — właśnie nadmiar produkcji, wyśrubowane ad absurdum jej metody i wyśrubowana równolegle z tem progresja ciężarów publicznych zabijają wszelką możność podniesienia zdolności konsumcyjnej społeczeństwa.

Ale wielu woli raczej bankrutować, niż uznać tę oczywistą prawdę i nieuchronną potrzebę pewnej, rozumnej „prymitywizacji życia gospodarczego“!

Nie jesteśmy już odosobnieni w tem przekonaniu, gdyż raz poraz odzywają się w ostatnich czasach, coprawda dotąd niestety jeszcze sporadyczne głosy ostrzegawcze, których nie chcą słuchać sfery, zagwożdżone z uporem w „systemie ustalonym“. Pisaliśmy niedawno w tem wy-

dawnictwie *) o konieczności uznania obecnego „kryzysu“ za pewien stan długotrwałej depresji gospodarczej i w konsekwencji przystosowania się do niej. Dzień Polski zamieścił w styczniu b. r. artykuł, pochodzący ze sfer rolniczych, w którym wygłoszono pozornie paradoksalne, ale w istocie głęboko przemyślane zdanie, że „nas, rolników, zabija azotniak“.

Ale nietylko nadmierny postęp w produkcji przeciąża gospodarstwo i zabija, bo ten sam skutek wywołuje też nadmiar dzisiejszych postępowych dobrodziejstw wszelakiego konceptu i kalibru. Państwo, partje polityczne i wszelakie nowoczesne instytucje opiekują się nami i każdym naszym krokiem tak dalece, z taką pieczołowitością piastunki, że aż zmiażdżeni jesteśmy nadmiarem ich dobrodziejstw. Mamy uczucie gęsi, tuczonych przemocą, z tą tylko różnicą, że gęś tuczona tyje, a my chudniemy na szkielety!

Przypomina mi się pewna powiastka z manewrów. Oddział zmęczonych, zabłoconych i wygłodniałych żołnierzy wraca do koszar, uginając się pod ciężarem tornistrów i marząc o ciepłej strawie i wypoczynku. Przejeżdża generał i widząc żołnierzy w tym stanie, kombinuje sobie po ojcowsku, że widocznie dyscyplina w tym oddziale zbyt jest surowa, skoro ludzie maszerują w milczeniu, a przecież „żołnierz powinien śpiewać w czasie marszu“, bo to mu dodaje ochoty do służby, to go uszczęśliwia.

Wzywa więc komendanta oddziału i pyta dobrotliwie, dlaczego żołnierze nie śpiewają, poczem oddala się w galopie.

Pytanie dostojnika jest oczywiście rozkazem, kapitan daje więc zmordowanym żołnierzom rozkaz śpiewania „dla ich własnej przyjemności“. Żołnierze dobywają resztek sił z płuc, aby rozkaz wykonać. Ale jakiś biedak,

---

*) Por. Antoni Wieniawski: Pod znakiem trwałego kryzysu. (Tom V, listopad 1930).

szczególnie osłabiony, milczy. Podoficer przyskakuje do niego i waląc go pięścią w kark, krzyczy:

— Psiakrew, śpiewać masz, zatracony draniu, dla twej własnej przyjemności!

Oto w podobny sposób przygniata przedsiębiorców i robotników ciężar dobrodziejstw najnowocześniejszego postępu. Politycy i teoretycy puszą się dokoła tym osobliwym sukcesem, wskazując na pokazową łazienkę, w której (teoretycznie) może się wykąpać spracowane ciało robotnika. Ale nie myślą o tem, że dawniej robotnik nie miał wprawdzie łazienki, urządzonej według ostatnich wymagań fordowskiego humanitaryzmu i postępu, ale za to miał trzy inne rzeczy: pewność zatrudnienia, stały zarobek i możność kapitalizacji. Mógł, przy oszczędności i pracy, zostać z biegiem czasu sam patronem, mógł awansować na serjo na wyższy szczebel dobrobytu i kultury.

Dzisiejsza fordyzacja, dzisiejszy rozmach „uszczęśliwiania ludu“ uniemożliwiają mu to, zamieniając go na bezmyślne zwierzę robocze. Dobrze jeszcze, jeżeli go lada dzień na bruk nie wyrzucą z żoną i dziećmi w imię „racjonalizacji pracy“ lub poprostu z powodu bankructwa nadmiernej, nieżywotnej produkcji!

Ale zadowoleni są zawodowi uszczęśliwiacze, referując na walnem zebraniu tej lub owej instytucji „uszczęśliwiającej“, że standard of life robotnika podniósł się, bo w fabryce pacanowskiej zbudowano łazienkę! A znudzone statystyką referenta grono członków uszczęśliwiającej instytucji przyjmuje z marmurową obojętnością ten doniosły fakt postępu do „zatwierdzającej wiadomości“.

Ale jest przecież ktoś, kto zyskuje naprawdę na tej postępowej zabawie: bolszewizm. Bo samobójcza hipertrofja gospodarstwa prywatnego, wzrastająca nędza i liczba bezrobotnych oraz ferment, jaki wszystko to wywołuje, leją tylko z coraz większym rozmachem wodę na młyn doktryny Marksa. Każda zdobycz fordyzacji, równoległa w nieuchronnej konsekwencji ze wzrostem bezrobocia,

zwłaszcza w państwie, w którem — w danych warunkach światowych — jeszcze pewna ekstensywność gospodarcza jest z natury rzeczy wskazaną, wywołuje wzrost tendencji bolszewizujących, choćby nawet zbiedzeni czy bezrobotni obywatele nie zapisywali się specjalnie pod sztandar partji bolszewickiej. Bo przecież właśnie nieumiejętność racjonalnego przystosowania się do danych warunków gospodarczych i uparte kostnienie dans le sistème établi są najlepszą, organiczną podnietą dla wywrotowego fermentu. Bolesny śmiech bierze obserwatora, który widzi, jak nasi domorośli pogromcy bolszewizmu i obrońcy wyższego standard of life robotnika robią wszystko w świętej naiwności, aby dowieść propagatorom marksizmu bankructwa gospodarki kapitalistycznej i swemi przymusowemi dobrodziejstwami utorować drogę daleko radykalniejszym jeszcze „uszczęśliwiaczom“ i integralnym fordyzatorom, jakimi bezwątpienia są bolszewicy. Ale ci przynajmniej nie są naiwni!

I dlatego podnosimy stanowczo głos ostrzegawczy: Dość tej zabawy w rozmach produkcji, konieczną jest wszędzie, a zwłaszcza w Polsce, jej redukcja, wraz z ilościową redukcją handlu i pewną prymitywizacją życia! Przeholowaliśmy, bezkrytycznie się amerykanizując. Teraz rozum nakazuje powiedzieć: Stój! Chcąc okiełznać rozszalałego konia, trzeba go najpierw zatrzymać, a potem można nim dopiero należycie pokierować. Rydwan gospodarstwa krajowego toczy się w przepaść, po stałej równi pochyłej, a sfery gospodarcze, a nieraz i urzędowe, zamiast zdecydowanym, przewidującym gestem rzucić mu kij między szprychy i zahamować go w zabójczym rozpędzie, jeszcze go naprzód popychają, jeszcze przyspieszają jego tempo, jak w znanej piosence kabaretowej:

— Więcej gazu, więcej gazu!

A w dodatku twierdzą, że tym — właśnie tym —

sposobem podniesie się moralność przedsiębiorcy i robotnika, ich zamiłowanie zawodowe, uczciwość produkcji i handlu i stworzy się raj na ziemi! Stare przysłowie mówi, że różne drogi do Rzymu prowadzą. A mnie się zdaje, że również różne drogi prowadzą do... Moskwy. A najpewniej droga bezmyślnego rozmachu produkcji i forsownego uszczęśliwiania ludzkości systemem amerykańskim — w jego romantycznem, polskiem wydaniu.

A pewność ta zniewala nas do stanowczego wystąpienia contre le sistème établi w naszych sferach gospodarczych i rzucenia im w oczy hasła:

Mniej gazu, mniej radosnego wyścigu, mniej dobrych chęci, a więcej — kupieckiego rozsądku!!

Jak hasło to „prymitywizacji życia gospodarczego" praktycznie zrealizować?

Rzecz główna, aby przedewszystkiem rozeszło się głośnem echem w społeczeństwie i wywołało odpowiednie ogólne nastawienie. Szczegółów trudno zgóry przepisywać, bo to sprawa codziennej „koronkowej" pracy sfer gospodarczych, wspomaganych w tym zakresie przez mądrych, przewidujących kierowników rządu. Spróbujmy jednak zilustrować przykładowo ogólny, przypuszczalny przebieg takiej akcji.

Przypuśćmy, że przemysłowcy i rolnicy zaczynają ograniczać produkcję, a raczej nie dopingować jej nowoczesnymi, zbyt intensywnymi środkami. W rezultacie zacznie się ujawniać tu i ówdzie głód czyli popyt na dane produkty. Ludzie, zagrożeni ich brakiem, zechcą ich poszukiwać, gotowi płacić za nie wyższe, niż dotąd, ceny. Bo czego brak — i to brak trwały, bez widoków rychłego nadmiaru — tego ceny oczywiście rosną.

Dotąd bywało w Polsce tak, że w wypadkach tego rodzaju ludzie zwracali się do ministra, który, pod wpływem „idei demokratycznej" czy „polityki taniego chleba", otwierał granice obcemu importowi, a zamykał eksport.

Wskutek tego kraj zalewany był nadmiarem danego artykułu, a ceny leciały z pieca na łeb, podcinając egzystencję krajowej produkcji, a w ślad za nią gospodarstwa krajowego wogóle. Ponieważ zaś organizacja handlu była i jest w Polsce wielce wadliwą, więc działo się często i to, że jedno województwo zalewane było np. obcą mąką, gdy w drugiem marnowały się niewyzyskane zapasy zboża, przyczyniając się tylko do ostatecznego dobijania rentowności rolnictwa.

Otóż wyobraźmy sobie, że zejdzie się w kraju równocześnie mądra polityka producentów z mądrą polityką ministra. Na prośbę przedstawicieli okolic, dotkniętych niedostatkiem jakiegoś produktu, odpowie taki minister nie bezkrytycznem otwarciem granic celnych, ale wskazówką: Szukajcie tego towaru w okolicy takiej a takiej, która go ma pod dostatkiem!

I petenci będą musieli to zrobić, a więc poszukiwać danego towaru w państwie. Wzmoże się przez to popyt na niego, a za nim ceny. Bo kto szuka, ten płaci. Wejdzie równocześnie handel wewnętrzny w swą właściwą rolę, poszukując towaru w jego miejscach większej produkcji, a sprzedając go — oczywiście po dobrych cenach — w miejscach jego niedoboru. Przez to zarobi handel (trzeba koniecznie dać mu zarobić!), nastąpi racjonalniejszy rozdział produkcji na obszarze państwa, a ceny pójdą w górę wskutek naturalnego popytu.

W dalszym następstwie fabryki poczują stopniowo zapotrzebowanie, nietylko wskutek lepszego rozłożenia zbytu towarów w kraju, ale i wskutek tego, że nareszcie i producent i kupiec na tem coś zacznie zarabiać, a tem samem podniesie się najpierw u nich zdolność nabywcza. Wskutek tego fabryki — oczywiście w ograniczonej do naszych istotnych potrzeb mierze — ruszą lepiej z miejsca, angażując więcej robotników i pracowników. Ci ostatni, pasorzytujący dotąd w nadmiarze na budżecie państwowym i samorządowym, zaczną garnąć się do lepiej płatnych

miejsc w życiu gospodarczem, zmniejszając zbawiennie nadmierny ciężar etatyzmu, zwłaszcza w rubryce „wydatków osobowych".

Oto mniejwięcej droga, którą potoczyć się może uzdrowienie stosunków. Wszystkie inne sztuki i metody, a zwłaszcza pożyczki zagraniczne, wtedy dopiero zadanie swe spełnią, jeżeli zejdą się z sobą dzielni a przewidujący ludzie: mądry producent i kupiec oraz mądry, niezależny od teorji demagogicznych minister.

Ostatnio ukazały się w prasie oświadczenia kilku wybitnych przedstawicieli rolnictwa, pod zbiorowym tytułem: „Sprawa ekstensyfikacji gospodarstw rolnych". Zabrali głos tacy znawcy, jak pp. Kazimierz Fudakowski, Jan Stecki, Jerzy Gościcki i Jan Rudowski, których wielkie doświadczenie w zakresie naszych spraw agrarnych dostatecznie chyba waży na szali wypowiedzianych przez nich opinji.

Otóż przeciętna linja tych opinji zmierza wyraźnie, aczkolwiek z różnymi warjantami i oczywistemi zastrzeżeniami, w tym samym mniejwięcej kierunku, którego wyrazem jest treść niniejszego artykułu. Stwierdzają ci panowie narzucającą się konieczność wzięcia pod rozwagę — przynajmniej w pewnym stopniu — kwestji ekstensyfikacji produkcji rolnej, czyli, innemi słowy, uznają oczywistą w danych warunkach (i w każdych warunkach) potrzebę *dostosowania produkcji do możliwości jej opłacalnego zbytu.*

Nie jest to, jak tu jeszcze raz akcentujemy, żadnem zasadniczem hamowaniem postępu, lecz poprostu koniecznością powstrzymania się od nazbyt wybujałej, hazardownej gospodarki, grożącej bankructwem. A świadomość tej konieczności ujawnia się już także i w pewnych sferach przemysłowych, czego dowodem jest np. oświadczenie senatora Karłowskiego na plenarnem posiedzeniu senatu z końcem z. m.:

„Już dziś cena światowa (cukru) jest tak niska, że nie

mogą jej wytrzymać nawet producenci cukru trzcinowego. Konferencja brukselska uchwaliła, że należy w ciągu pięciu lat pozbyć się owych olbrzymich ogólno-światowych zapasów cukru, które ciążą na rynku. Każdy kraj, produkujący cukier, musi odpowiednio zredukować uprawę buraków i trzciny cukrowej. Jest to oczywiście rzecz bolesna dla rolnictwa, ale jest to rzecz nieodzowna".

A w konsekwencji — dodajemy — trzeba także zredukować i przemysł cukrowniczy. To oczywiste, trzeba tylko i to jasno wypowiedziec.

Wogóle odnosi się wrażenie, jakgdyby sama natura nawracała chorobliwie wybujałą produkcję powojenną do normalnego stanu. I w tem leży właśnie istota obecnego kryzysu. Stąd i rzucone przez nas w tym artykule hasło „prymitywizacji" nie jest niczem innem, jak tylko wezwaniem do „racjonalizacji" produkcji, do obcięcia zbyt wybujałych jej pędów.

Rozumiemy, jak trudno pogodzić się z tą twardą rzeczywistością ludziom, przyzwyczajonym do „linji rozwojowej" z czasów przedwojennych. Obawiają się poważnych, choćby nawet chwilowych tylko, strat przy wejściu na nową drogę pewnej restrykcji owego rozwoju. Ale zważyć należy, że w razie dalszego oporu straty będą jeszcze większe, a natomiast straty, wynikłe z rozumnej adaptacji do obecnych warunków, powetowane być mogą nietylko ogólnem uzdrowieniem sytuacji, ale również znacznem podniesieniem jakości wyrobów w wielu działach przemysłu, uzyskanem w walce z seryjną tandetą.

Tej przedewszystkiem trzeba na wszelkich polach wydać walkę na śmierć i życie, bo ona to podnieca głównie cały ten nierozsądny rozmach produkcji i nadwyręża siłę nabywczą już i tak zubożałego konsumenta. Czyż np. w przemyśle konfekcyjnym ciągła zmienność mody, w związku oczywiście z tandetyzacją materjału (bez tego tak częste zmiany nie byłyby wogóle możliwe), nie jest celowym

wymysłem nadmiernych roszczeń tego działu przemysłu do sztucznego tworzenia sobie coraz większych obrotów, wymuszanych na społeczeństwie ponad jego możność płatniczą? Wystarczał dawniej jeden dobry kostjum na parę lat, a dzisiaj dwa razy na rok musi być zmieniana tandeta, a w sukniach bodaj nawet cztery razy, bo z każdym kwartałem zmienia się moda! Ludzie nieraz jeść co nie mają, ale zmuszani są do ciągłej zmiany tandetnych tualet pod grozą „kompromitacji“, dopingowanej sztucznie przez przemysł konfekcyjny!

Czyż to nie absurd oczywisty? Czyż takiej widocznej hipertrofji produkcji może dotrzymać kroku z jednej strony kieszeń konsumenta, z drugiej rentowność samej produkcji?

I takich przykładów możnaby przytoczyć cały szereg. A przeciętna, bezkrytyczna opinja producentów odpowiada na to z uporem: Niech cały świat się zawali i my z nim razem, ale nasze warsztaty muszą być utrzymane na stopie przedwojennej, a nawet wyższej — amerykańskiej!

Otóż — n i e m u s z ą, bo nie mogą! Muszą się zredukować w rozmiarach i metodach fabrykacji i dostosować do życia. A kto jeszcze nie wierzy, niech spojrzy na to, co się dzieje obecnie w amerykańskiej krainie złota: najstraszniejszy kryzys, wzrastające miljony bezrobotnych i katastrofa głodu — tak, głodu! — w całym szeregu Stanów.

Oto skutki r a d y k a l n e g o p o s t ę p u w produkcji! Czyż mamy ich koniecznie na sobie doświadczyć, z dodatkiem... bolszewizmu?!

Jan Bobrzyński.

ROSJA SOWIECKA W POLITYCE ŚWIATOWEJ.

I. STANOWISKO MIĘDZYNARODOWE ROSJI PRZED WOJNĄ ŚWIATOWĄ.

Położenie międzynarodowe każdego państwa zależy od jego obszaru gospodarczego, jego bogactw naturalnych, jego potencjonalnej i aktualnej siły gospodarczej, siły liczebnej, aktywności politycznej i dążności do osiągania nowych zdobyczy. Czynniki te istniały tak w Rosji przedwojennej carskiej, jak obecnie w Rosji bolszewickiej. Pewne zmiany w charakterze państwa musiały jednak wpłynąć na jego stanowisko międzynarodowe, jakkolwiek wyżej wymienione czynniki nie uległy zmianie zasadniczej. Ich względnie mała zmienność zmusza nas, dla zrozumienia stanowiska międzynarodowego Rosji bolszewickiej, rzucić okiem na stanowisko międzynarodowe Rosji przedwojennej.

Rosja w polityce zewnętrznej przejawiała zawsze duży aktywizm. W ciągu dwóch stuleci, według obliczeń gen. Kuropatkina, Rosja miała 71 2/3 lat pokojowych, pozostałe 128 i 1/3 były latami wojen. Według celów, wojny dzieliły się w sposób następujący:

1) 22 wojny miały na celu rozszerzenie granic, trwały w sumie 101 lat.

2) Dla obrony 4 wojny, trwające w sumie 4 i pół lat.

3) W interesach ogólnej polityki 5 wojen, w ogólnej sumie 10 lat.

4) Z powodu spraw wewnętrznych dwie wojny, 65 lat.

5) Dla zgniecenia powstań 5 wojen, 6 lat.

Warunki geograficzne niezmienne i odziedziczona psychologja, będąca produktem szeregu wieków, analogicznych

przeżyć licznych pokoleń — wywołują czynnik stałości w polityce.

Rozległość równiny rosyjskiej, pozbawionej naturalnych przegród, łatwe przejście Uralu, dały możność przelewać się ludności ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód. Najście Tatarów zatopiło niemal równocześnie Rosję i Chiny. Po zrzuceniu jarzma tatarskiego epokowym wypadkiem było podbicie kazańskich Tatarów. Rosja miała otwartą drogę do Azji.

Rosja, rozpostarta na niezmierzonych obszarach (265 tys. mil kw., w tem 79 tys. mil kw. Rosji europejskiej), na początku wieku XVIII z 12 miljonami mieszkańców — pisze generał Kuropatkin — miała przed sobą następujące zadania:

1) Na północno-wschodzie, kontynuując politykę Iwana IV, opanować wybrzeża morza Bałtyckiego.

2) Na zachodzie walki cara Aleksieja Michajłowicza dalej kontynuować, dla odbioru od Polski Białej i Małej Rusi.

3) Na południe zaznaczoną drogę przez Wielkiego Księcia Swiatosława dalej prowadzić, oprzeć granice o morze Czarne, Turcję niepokoić, przygotowując grunt do dalszych zdobyczy.

4) Na południo-wschodzie dzieło cara Iwanowicza i Borysa Godunowa kontynuować, morze Kaspijskie w wewnętrzne rosyjskie przeobrazić, pewną nogą na Kaukaz wstąpić.

5) i 6) Azjatyckie posiadłości w dwóch kierunkach rozszerzyć: w stronę Azji Mniejszej, żeby posiadłości rosyjskie od napadów koczowników zabezpieczyć i nad Wielkim Oceanem naturalne wyjście dla Syberji zdobyć.

Trzy pierwsze zadania zostały dokonane w wieku XVIII. Próba zaś opanowania przez Rosję Chin skończyła się w 1717 r. zupełnem niepowodzeniem i zatamowała ruch Rosji do Azji środkowej na czas dłuższy.

Było to wszystko gromadzeniem sił dla polityki świa-

towej, lecz bezpośrednie oddziaływanie Rosji ograniczało się wyłącznie na państwa sąsiednie: Polskę, Szwecję, a od XVIII wieku i na Turcję. Na stosunki polityczne środkowej i zachodniej Europy Rosja niemal nie oddziaływała.

Historję Europy wypełnił antagonizm francusko-austrjacki i francusko-angielski. Polska była ważną figurą w grze politycznej francusko-austrjackiej. Ciążenie Rosji na Polskę oddziaływało jednak pośrednio na układ sił europejskich.

W drugiej połowie XVIII wieku Rosja wstępuje na widownię polityki europejskiej, biorąc udział w wojnie siedmioletniej, z początku po stronie Austrji, pragnąc zagarnąć Prusy Wschodnie, potem po stronie Prus, wskutek przypadkowej okoliczności, sympatji Piotra II do Prus.

Rosja do XIX wieku, jak i Polska, nie miała niemal kontaktu politycznego z Anglją. Wprawdzie za Jana III kompanja angielska odwiedziła Rosję przez Archangielsk dla zawiązania z nią stosunków handlowych. Konsekwencję tych stosunków ekonomicznych zrozumiał król Polski Zygmunt August i wysłał list do królowej Elżbiety: „Wróg silny, dotychczas myśmy go zwyciężali“, że Rosja może stać się niebezpieczną, gdy uzyska środki techniczne z Europy Zachodniej.

Nawiązanie stosunków gospodarczych z Holandją, z Niemcami, ściągnięcie fachowców z Niemiec, dały Piotrowi Wielkiemu przewagę nietylko nad osłabioną przez swój wadliwy ustrój Polską, lecz i nad Szwecją i Turcją. Rosja jednak staje się europejską nie przez Piotra I, ale przez Katarzynę II, właściwie przez dokonanie rozbioru Polski. Osiąga wówczas bezpośrednie granice z Austrją i Prusami, wytwarza solidarność zaborową z temi państwami, bierze udział w interwencji zbrojnej przeciwko francuskiej rewolucji.

Wojny Napoleońskie wciągają Rosję w wir polityki światowej. Nie jest ona skromnem ogniwem polityki europejskiej, lecz pretenduje do hegemonji.

Królestwo Kongresowe, które stało się udziałem Rosji od 1815 r., wzmacnia jej pozycję międzynarodową w Europie. Sprawą polską mógł Aleksander I szachować Prusy i Austrję, konstytucją, nadaną Królestwu, zyskiwać poklask państw zachodnich. Po 1831 r. solidarność trójzaborowa była kitem, spajającym Rosję, Austrję i Prusy.

Najmocniejsze stanowisko w polityce światowej posiadała Rosja od Kongresu wiedeńskiego, aż do wojny krymskiej 1854 r.

Rozbite na drobne państewka Niemcy nie mogą być żadną przeciwwagą Rosji.

Austrja, przedstawicielka legitymizmu europejskiego, poszukuje przyjaźni rosyjskiej i korzysta z pomocy Rosji dla zgniecenia węgierskiego powstania. Francja i Anglja pozostają w antagoniźmie. Wszystko to wzmacnia międzynarodowe stanowisko Rosji.

Siłą motorową polityki wewnętrznej owych czasów był demokratyzm i liberalizm i ta siła motorowa Europy czyni Rosję niepopularną wśród elity umysłowej owych czasów.

Mikołaj I z powodu rewolucji we Francji i Niemczech 1848 r. wydał manifest, zapowiadający wojnę z rewolucją: „Z nami Bóg, zrozumiejcie poganie i poddajcie się“ — były wyzywające słowa manifestu.

Niemcy były przekonane, że Rosja stanie na przeszkodzie ich zjednoczeniu, woląc mieć obok siebie rozbite na państewka Niemcy, niż silne swem zjednoczeniem. Stąd popularność sprawy polskiej w Niemczech, współczucie dla powstania 1831 r., głosy o potrzebie odbudowy Polski we frankfurckim parlamencie, potępienie rozbiorów przez historyków niemieckich, opiewanie bohaterstwa Polski przez ich poetów.

Aktywna polityka rosyjska w stosunku do Turcji wywołuje wojnę krymską. Dyplomatyczna kampanja Austrji wobec Rosji spowodowała długotrwałą nienawiść Rosji względem Austrji.

Anglja zaś, walcząc z Rosją podczas wojny krymskiej, miała wyłącznie na celu osłabienie stanowiska Rosji na bliskim wschodzie, stąd sprawa polska i osłabienie Rosji na zachodzie były dla Anglji obojętne.

Gdy 25 września 1855 r. gabinet francuski zwrócił się do gabinetu angielskiego z propozycją: restytuować Królestwo Polskie w granicach, określonych przez Kongres wiedeński i postawić żądanie to za jeden z warunków pokoju, skoro możliwem będzie jego zawarcie, to lord Cowlay znalazł, że „chwila jest nieodpowiednia", gdyż rozwiał się ten miraż olbrzymi: stało się rzeczą jasną, że Rosja nie jest niezwyciężoną, nawet na własnem swem terytorjum.

Na konferencji paryskiej 1856 roku Anglja, niezadowolona z warunków pokoju, poruszyła sprawę polską. Natomiast Francja przejawiała już dążność do zbliżenia się do Rosji. Na horyzoncie politycznym Europy występowały dwie sprawy ogromnej wagi: zjednoczenie Włoch, wraz z wyzwoleniem Wenecji i Lombardji z pod panowania austrjackiego, oraz zjednoczenie Niemiec. Pierwsza sprawa wydawała się bardzo pożądana dla Francji, rachującej na to, że zjednoczone Włochy, odbierając od Austrji swe prowincje, staną się naturalnym sprzymierzeńcem Francji przeciw Austrji. Zjednoczenie Niemiec przeciwnie, zmieniałoby stosunek wzajemny sil politycznych w Europie na niekorzyść Francji. Wprawdzie Napoleon III, ufny w zasadę narodową, nie planował przeciwstawienia się zjednoczeniu Niemiec, ale opinja francuska nie była tej sprawie przychylną.

Obydwie sprawy sprowadzić musiały próbę zbliżenia Francji do Rosji; Rosja, antagonistka Austrji w kwestji wschodniej i słowiańskiej, mogła stać się sprzymierzeńcem Francji na wypadek wojny w sprawie włoskiej. Zjednoczenie Niemiec, niedogodne dla Francji, o tyleż sprzeciwiało się interesom Rosji. Wobec zagadnień powyższych przymierze rosyjsko-francuskie miało po wojnie krymskiej podstawy naturalne. Wśród przedstawicieli dyplomacji rosyj-

skiej spotykamy w owym czasie zwolenników tego przymierza, jak np. ambasadora rosyjskiego w Paryżu, Kisielowa.

Położenie międzynarodowe Rosji stawało się dogodne, rozwijał się antagonizm prusko-austrjacki i francusko-austrjacki, przejawiał się antagonizm francusko-angielski. Rosja wykorzystała to i ściągała kapitał europejski dla forsownej budowy kolei żelaznych. Dla odrodzenia państwowego po porażce krymskiej przystąpiła do szeregu reform wewnętrznych, jak zniesienie poddaństwa i pańszczyzny, reforma sądowa i wprowadzenie samorządu lokalnego: ziem powiatowych i gubernjalnych.

Wszystko to podnosiło opinję o Rosji w prasie zagranicznej. Znakomity publicysta polski, Juljan Klaczko, scharakteryzował to w „Wiadomościach Polskich“ z 1858 roku, pisząc:

„Od czasu pokoju paryskiego postępowanie Rosji w ważnych zadaniach państwa przybrało nagle cechę tak niezwykłą, pozory tak niespodziane, że zdawało się, jakoby rząd rosyjski zaniechał tradycjonalnych wiekowych tendencji i że z odmianą czasów i okoliczności wszedł na drogę nowego działania, zapewniającego spokój Europy przez długie lata, dobrobyt i swobodę. Dzienniki zagraniczne, chciwe nowostek, do najpierwszych liczyły i liczą nowiny z Rosji, w kwestjach, odnoszących się czy do polityki zewnętrznej, czy do zmian wewnętrznych, czy wreszcie w usiłowaniach przemysłowych, handlowych lub naukowych. Zabłysła od wschodu żywym ogniem zorza nadziei, wzniosły się fantastyczne, olbrzymie rezultaty i na obszernem polu francuskiej, niemieckiej, a nawet angielskiej publicystyki śpiewano i do dziś dnia śpiewają kanony na cześć Aleksandra II. W Paryżu telegraficzne biura korespondencyjne przyjęły mimowolnie rolę, którą im naznaczył gabinet petersburski, dąć przez nie, jak przez tubę, co chce, aby po świecie się rozeszło“.

W okresie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych od 1861 do 1865 roku Anglja popierała Stany Południowe, Rosja zaś, obawiając się zachwiania produkcji surowca bawełnianego wskutek uwolnienia negrów, popierała Stany Północne i w 1861 roku ministerstwo spraw zagranicznych Rosji uprzedziło Stany Zjednoczone, że Francja i Anglja pragną uznać niepodległość Stanów Południowych i wysłało eskadrę na wody amerykańskie pod dowództwem kontradmirała Lisowskiego dla przyjaznych demonstracji na korzyść Stanów Północnych. Podnosiło to popularność Rosji w Stanach Zjednoczonych i przeważny odłam prasy amerykańskiej odnosił się wrogo do naszego powstania 1863 roku, przedstawiając je, jako objaw analogiczny do secesji południowych stanów i twierdząc, że reforma włościańska w Rosji jest właściwą przyczyną powstania Polski.

Stosunki rosyjsko-amerykańskie w okresie wojny secesyjnej, następnie sprzedaż Alaski przez Rosję Stanom Zjednoczonym — wszystko to na długi czas zapewniło Rosji życzliwe stanowisko Stanów Zjednoczonych.

Od kongresu wiedeńskiego, aż do przedednia wojny światowej (1909), Anglja znajdowała się na biegunie politycznym, przeciwległym Rosji. Uprzednio, za czasów panowania Pawła I, Rosja pragnęła wystąpić przeciwko Anglji. Bajeczne skarby Indji, które już w wiekach średnich nęciły ludy Europejskie, stanowiły od dwóch stuleci cel pożądania carów rosyjskich. Już Piotr I i Katarzyna II myśleli o ekspedycji w celu podbicia Indji. W roku 1800 zaproponował Napoleon Pawłowi I, aby wspólnemi siłami wypędzić Anglję z Indji. W roku 1801 chciał Paweł na własną rękę uczynić to samo i wyznaczył na ten cel 22.500 kozaków dońskich pod dowództwem Orłowa. Orłow już był w drodze do Azji, gdy odwołała to śmierć Pawła I i objęcie tronu przez Aleksandra. Po pokoju tylżyckim Napoleon zaproponował znowu carowi wspólną wyprawę do Indji: sam wyruszyć miał z Bosforu przez Eufrat, car zaś od Iranu. W 1854 roku Suchozanow przedłożył plan pod-

bicia Indji w trzech wyprawach. Wykonanie planu tego powierzono Tichochodowowi, który miał wyruszyć z Orenburga. W roku 1885 wyłonił się plan gen. Chrulewa, aby Rosja rozpoczęła zdobywanie od Astrabadu, Meszetu i Heratu. W dziesięć lat później Rosja miała już Taszkient, potem Samarkandę, w 1873 odbyła się wyprawa do Chiwy, w 1876 poddał się chan Kokanu. Następnie plan Skobolewa i Kaufmana, według którego Rosja miała, działając w porozumieniu z Emirem Afganistanu, przez Kabul wtargnąć do Indji i podburzyć do powstania żywioły niezadowolone. Po wojnie tureckiej miał plan ten wykonywać Skobolew, lecz przeszkodził tu kongres Berliński. W 1880 roku pada państwo Teke-Turkmen, w 1884 Merw, wreszcie w 1885 roku dotarła Rosja aż do rzeki Kuczki. Dla umożliwienia dalszych podbojów buduje Rosja kolej żelazną, przecinającą Karakun i łączącą Krasnaworsk z jednej strony, z drugiej Merw, Samarkandę, Taszkient, Mergelan i Kars. Dzięki tej linji mogła Rosja przerzucać armję z Kaukazu do Azji środkowej i dalej do Indji.

Ekspansja Rosji w Azji, zagrażająca interesom angielskim, była jedną z przyczyn antagonizmu angielsko-rosyjskiego. Kwestja bliższego wschodu nie była też dla Anglji obojętną i dlatego sprzeciwiała się ona zaborczym tendencjom Rosji, skierowanym przeciwko Turcji. Antagonizm rosyjsko-angielski doprowadził raz do starcia między temi państwami, mianowicie w kampanji 1854—56 roku, oraz wywołał przymierze angielsko-japońskie, które umożliwiło zwycięstwo Japonji nad Rosją na dalekim wschodzie. Porażka Rosji w wojnie japońskiej nie zlikwidowała jej polityki wschodnio-azjatyckiej. Lecz wskutek porażek Rosji Francja usiłuje zabezpieczyć się przez zbliżenie się z Anglją, nie porzucając przymierza z Rosją, co wywołuje wkońcu kompromis rosyjsko-angielski w sprawach azjatyckich.

31 sierpnia 1907 roku następuje umowa rosyjsko-angielska w sprawie Tybetu, ochronionego przez Anglję przed Rosją, ze względu na to, iż jest forpocztą względem Indji.

W tym samym roku następuje porozumienie rosyjsko-angielskie w sprawie perskiej.

Porozumienie angielsko-rosyjskie w sprawach azjatyckich pozostawało w związku z pewnymi, niejasnymi jeszcze zamiarami, które zrealizowały się przez wojnę światową. Owo porozumienie nie było zrzeczeniem się rosyjskiej ekspansji w Azji, a tylko rozgraniczeniem sfer interesów między Anglją i Rosją na kontynencie azjatyckim. „Taki kierunek angielskiej polityki względem Tybetu — pisał urzędnik spraw zagranicznych Kazakow o agresywnej polityce Anglji względem Tybetu — nie powinien spotykać sprzeciwu z naszej strony, gdyż rozwiązuje nam ręce w sprawie mongolskiej i umożliwia, jeżeli nie wspólną, to równoległą akcję naszego i angielskiego przedstawicielstwa w Pekinie dla jednorazowego rozwiązania mongolskiej i tybetańskiej kwestji“.

Przymierze francusko-rosyjskie doprowadziło do porozumienia angielsko-rosyjskiego i wytworzyło tak zwane trójporozumienie, skierowane przeciwko państwom centralnym.

Przymierze francusko-rosyjskie, które już miało pewne podstawy po wojnie krymskiej, a nie doszło do skutku z powodu powstania polskiego 1863 roku i tych tradycyjnych propolskich tendencji we Francji, których naturalną podstawą było przymierze trzech państw rozbiorowych, musiało narzucić się jako konieczność Francji po wojnie 1871 roku i zostało zrealizowane w 1889 roku. Antagonizm Rosji w stosunku do Austrji i Turcji oraz potrzeba zachowania tych państw wobec stanowiska międzynarodowego Niemiec i ekspansja Niemiec w Azji Mniejszej (kolej bagdadzka) stały się podstawą antagonizmu rosyjsko-niemieckiego. Rosja, pobita na dalekim Wschodzie, pragnęła iść w kierunku najmniejszego oporu: zwrócić się przeciwko Austrji dla zaboru Galicji Wschodniej i Rusi Zakarpackiej. Zaborczość Rosji wywołuje zawsze odpowiednią ideologję. Gdy szła na zdobycie azjatyckie, oficjalny publicysta rosyjski, ks. Uchtom-

ski, rozwijał ideję panazjatyzmu, dowodząc pokrewieństwa Rosji z narodami Azji. Ideologją zaborczą w stosunku do Galicji Wschodniej był nacjonalizm rosyjski.

Nie będziemy wchodzili w rozpatrywanie wszystkich czynników wojny światowej, nie będziemy więc analizowali antagonizmu angielsko-niemieckiego, skonstatujemy tylko, że pozycja międzynarodowa Rosji na początku wojny światowej mogła wydawać się świetną.

Wszystkie przymierza są związkami z rozsądku, lecz, jak małżeństwa z rozsądku częstokroć przeobrażają się w małżeństwa z miłości, tak i przymierza, zawarte w imię racji stanu, dla swego utrwalenia się potrzebują bodźców emocjonalnych. Wytwarzają się one przez idealizację sprzymierzeńca, podnoszenie jego walorów materjalnych i duchowych, popularyzację jego literatury i sztuki. W okresie przymierza rosyjsko-francuskiego stało się we Francji popularnem wszystko, co rosyjskie: i Tołstoj i Dostojewskij i Gorkij i rosyjska wodka i rosyjski kwas i t. d. Popularyzacja Rosji rozpoczęła się w krajach anglo-saskich na wielką skalę w pierwszych latach wojny, pozostawiając ślady w ich świadomości, z których korzysta dzisiejsza Rosja bolszewicka.

II. STANOWISKO MIĘDZYNARODOWE ROSJI PODCZAS WOJNY ŚWIATOWEJ.

W pierwszych latach wojny Rosja była bardzo popularną wśród państw koalicji. We Francji i Anglji otwierano lektoraty i kursy języka rosyjskiego, reklamowano twórczość literacką Rosji, podnoszono tradycyjną harmonję, istniejącą między monarchją a narodem. Wszystkie objawy patrjotyczne i bojowe w Rosji, wszystkie deklaracje kontraniemieckie podnoszono we Francji, Anglji i Włoszech, a następnie w Stanach Zjednoczonych, niemal z entuzjazmem. Wśród tych entuzjastycznych głosów nie brakowało

dawnego pacyfisty Hervé, który swe pismo Volonté nazwał Victoire. Jemu wtórowali inni socjaliści, jak Thomas.

Pochód wojsk rosyjskich na Prusy Wschodnie uratował Francję pod Marną. Dwa bowiem korpusy niemieckie zostały z frontu francuskiego odwołane do Prus Wschodnich, dokąd przyszły zapóźno, lecz ich odwołanie dało zwycięstwo Francuzom. Wielkie bitwy w 1915 roku w Galicji i b. Królestwie osłabiały wysyłkę wojsk niemieckich na front zachodni i dały możność mocarstwom koalicji utrzymania tego frontu. Olbrzymie straty rosyjskie, dezorganizacja życia gospodarczego, któremu zapobiec nie mogły kredyty koalicyjne, musiały wywołać podłoże, podatne dla rewolucji. Mikołaj II i jego rząd ze Stürmerem i Goremykinem na czele wyczuwał, że dalsza wojna Rosji musi zakończyć się katastrofą, jak to w 1917 roku wyczuwał cesarz i król Karol, że kontynuowanie wojny musi zakończyć się klęską monarchji Habsburgów. Koalicja obawiała się odrębnego pokoju ze strony Rosji, stąd złoto angielskie poszło na żywienie rewolucji rosyjskiej. Rewolucja rosyjska była produktem niemieckiego żelaza i angielskiego złota.

Rząd tymczasowy rewolucji marcowej składał się z rosyjskich imperjalistów, jak np. Guczkow, Miłukow i inni. Imperjalistą też był radykał, zbliżony do socjalistów, Kierenskij, który objeżdżał front, wygłaszając patrjotyczne mowy i w maju 1917 roku wołał w Odessie: „Naszi otkazaliś ot obratnago zawojewanja ruskich garadow Wilna i Kowna“ (Nasi zrzekli się ponownego zawojowania rosyjskich miast Wilna i Kowna). Tak dla Kiereńskiego Wilno i Kowno były miastami rosyjskiemi.

Rząd Kiereńskiego otrzymał niezwłocznie kredyty zagraniczne. Stany Zjednoczone pożyczyły 165 miljonów dolarów. Front jednak rosyjski rozłazil się. Zwycięstwo pod Łuckiem było tylko wyjątkowym epizodem, świadczącym, że i w armji austrjackiej proces rozkładu osiągnął znaczny stopień. Nowa rewolucja rosyjska zwyciężyła pod

hasłem zaniechania wojny, zawarcia pokoju. Dezorganizacja Rosji, prowadzona przez rząd marcowy, dała ostateczne zwycięstwo bolszewikom.

Marcowa rewolucja rosyjska była przyjęta z entuzjazmem w państwach koalicji, zwłaszcza wśród żywiołów lewicowych. Odczuwały one, że wprawdzie racja stanu ich państw wymagała przymierza z Rosją, lecz czuły się nieswojsko z powodu zbliżenia z caratem rosyjskim, o którego okrucieństwach tyle pisano. Upośledzenie prawne Żydów w Rosji, pogromy żydowskie, wytwarzały przedewszystkiem złą opinję Rosji carskiej. Wpływy żydostwa w świecie bankierskim i prasie były znaczne w państwach koalicyjnych, lecz szczególnie silne w Ameryce. W 1911 roku bankier Schif, pochodzenia żydowskiego, sfinansował i zorganizował olbrzymią akcję, która doprowadziła do zerwania traktatu z Rosją ze względu na to, że Rosja nie dopuszcza obywateli amerykańskich wyznania mojżeszowego do swobodnego przebywania i prowadzenia handlu na terytorjum rosyjskiem. Od chwili wybuchu rewolucji rosyjskiej żydostwo wszystkich krajów, z bardzo małym wyjątkiem, stanęło po stronie Rosji. Żydzi amerykańscy z przeciwników udziału Ameryki w wojnie stali się gorącymi zwolennikami interwencji Ameryki. Przed rewolucją pisała prasa amerykańska: „Czyż będziemy popierali tę wojnę, żeby dać ukazom carskim siłę praw zasadniczych w Konstantynopolu? Dlaczego mamy przenosić rosyjskiego cesarza nad cesarza niemieckiego? Czyż zwierzęce prześladowanie chrześcijan przez Turków jest czemś gorszem od okrutnych pogromów Żydów w Rosji?“ Rosyjska rewolucja usunęła podobne opinje i, jak wyraziła się amerykańska gazeta „News“: „Rosyjska rewolucja udzieliła politycznej i duchowej jedności wrogom Niemiec, czego dotychczas brakowało, gdyż demokracja była w związku z autokracją“.

Rewolucja rosyjska przyspieszyła wystąpienie Stanów Zjednoczonych, które mogły się obawiać, że wskutek prze-

sunięcia sił na korzyść państw centralnych nastąpi niezwłoczne zawarcie pokoju i Stany Zjednoczone nie będą mogły odegrać roli arbitra Europy i osiągnąć światowej hegemonji, która przypadłaby w udziale państwu niemieckiemu. Rewolucja marcowa posiadała jednak pierwiastki, wzbudzające nieufność i niechęć wśród wielu polityków europejskich. Obok Dumy i Rządu Tymczasowego zasiadała Rada Robotników i Żołnierzy, czynnik polityczny, prący Rosję ku bolszewizmowi.

New York Times pisał 18 kwietnia 1917 r.: „Rada Robotników i Żołnierskich Deputatów jest nieznaczną grupą osób poniżej tysiąca, reprezentującą nie więcej, jak 5% ludności Rosji. Włościanie i właściciele ziemscy nie mają w niej swych przedstawicieli. Rada nie odzwierciadla opinji i nastrojów armji. Panowie, którzy nazywali siebie przedstawicielami robotników i żołnierzy, należą do skrajnie radykalnych partji. Oni wywołują olbrzymi szum w kraju, zupełnie nieodpowiadający ich liczebności i wpływom. Jeżeli te krańcowe żywioły uzyskają władzę nad Rosją, kraj pójdzie do djabła“.

Przed rewolucją marcową, w lutym 1917 r., delegat rządu francuskiego Doumergue, obecny prezydent Republiki Francuskiej, został wysłany do Rosji i w imieniu Francji zawarł z nią umowę, mocą której Francja zgłaszała desinteressement w sprawie Polskiej, pozostawiając Rosji określenie swych granic zachodnich, Rosja natomiast zobowiązała się dać Francji wolną rękę przy określeniu granic francusko-niemieckich, dając zgodę na odzyskanie Alzacji i Lotaryngji, aneksję zagłębia Saary, oraz wszystkich terytorjów na lewym brzegu Renu.

Aż do rewolucji rosyjskiej ambasada rosyjska w Paryżu była cenzorem artykułów o Rosji i o Polsce. Do aktu 5 listopada 1916 roku, proklamującego niepodległość Polski przez państwa centralne, prasa francuska, jak i prasa rosyjska, odnosiła się wrogo. Akt ów mógł być siłą motorową, mogącą wyłonić nowy ważny czynnik wojny świa-

towej — akcję zbrojną narodu polskiego przeciwko Rosji i to wywoływało niechęć prasy koalicyjnej do tego aktu.

W kwietniu Rząd Tymczasowy rosyjski wydaje manifest w sprawie niepodległości Polski. Manifest ów był poniekąd wymuszony przez Radę Deputatów Robotników i Żołnierzy. Musiał mieć on według jego inicjatorów całkiem odmienne konsekwencje od aktu 5 listopada 1916 r., miał bowiem neutralizować Polskę, a głównie miał się przyczynić do likwidacji wojny. Rosji bowiem łatwiej było ustąpić Polsce okupowane przez państwa centralne terytorja, niż odstąpić je tym państwom.

Rzecz naturalna, że dla państw koalicyjnych manifest Rządu Tymczasowego w sprawie niepodległości Polski był niepożądany, lecz zrobiły one bonne mine au mauvais jeu i powinszowały Rządowi Tymczasowemu jego wspaniałomyślnego wystąpienia.

Osłabienie militarne Rosji wywoływało coraz to znaczniejsze ochłodzenie państw koalicyjnych względem niej. Były amerykański poseł w Rosji, Watte, pisał: „Większość Rosjan jest tak nieświadoma w polityce, jak bydło. Rosjanie odznaczali się zawsze nieuctwem politycznem i fanatyzmem“.

Amerykańska gazeta New York Journal pisała: „Gdy mówicie o Rosji, mówicie o 40-tu ludzkich typach, przepełnionych nieuctwem, okrucieństwem, dzikością i nienawidzących jeden drugiego. Bezużytecznie zapytywać, czy rewolucja przyniesie szczęście Rosji. Możecie jednakowoż zapytać, co będzie, jeżeli wypuścić z klatki 40 gatunków różnych zwierząt“.

Rewolucja październikowa, czyli przewrót bolszewicki, wywołał wkrótce w prasie koalicyjnej ujemną opinję o Rosji. Przewrót bolszewicki odbył się pod hasłem zakończenia wojny. Hasło to z powodu przemęczenia się Rosji wojną dało bolszewikom zwycięstwo. Hasło pokoju nie było jednak popularne wśród rządzących sfer Francji i An-

glji, które rachowały na zwycięstwo, pomimo wyczerpania sił własnych, mając zapewnione wystąpienie Ameryki.

25 października 1917 r. Wszechrosyjski Zjazd Sowietów, stojąc na czele rewolucji październikowej, ogłosił dekret, w którym proponował „wszystkim walczącym narodom i ich rządom rozpocząć pertraktacje o sprawiedliwym pokoju demokratycznym“. Rząd Sowiecki rzucił wówczas hasło pokoju bez kontrybucji i aneksji.

3 listopada 1917 r. ludowy komisarz spraw zagranicznych Trocki zwrócił się z notą do wszystkich poselstw państw Ententy w Petersburgu, proponując rozpoczęcie pertraktacji o zawieszenie broni i zawarcie pokoju. 9 listopada tegoż roku wysłany został do głównodowodzącego generała Duchonina rozkaz niezwłocznego przystąpienia do pertraktacji pokojowych z komendą armji niemieckiej.

10 listopada Trocki zawiadomił o tym kroku poselstwa Ententy w Petersburgu. W tymże dniu agenci wojenni państw Ententy, przebywający wówczas w Rosji, wysłali do generała Duchonina zbiorowy protest przeciwko rozpoczęciu rokowań pokojowych. 12 listopada generał Berthelot, stojący na czele francuskiej wojennej misji w Rosji, zwrócił się z listem do Generała Szczerbaczewa, w którym zaznaczył nieuznanie rządu sowieckiego przez Francję i wyrażał nadzieję, że wyższe rosyjskie władze wojenne nie dopuszczą do pertraktacji pokojowych z Niemcami. W tym samym czasie wojenny attaché Ameryki zawiadomił Rząd sowiecki, że odtąd Stany Zjednoczone zaprzestają wysyłać do Rosji środki spożywcze oraz przedmioty, niezbędne do umundurowania i zaopatrzenia armji. Przedstawiciele dyplomatyczni Ententy oświadczyli, że nie zawiadomią swych rządów o pokojowych pertraktacjach Rosji Sowieckiej, ale posłowie państw neutralnych — Norwegji, Szwecji i Szwajcarji — wystąpili z oficjalnem zawiadomieniem swych rządów. 16 listopada rząd angielski wystąpił z oficjalnym protestem przeciwko pokojowym krokom rządu sowieckiego. 22 grudnia tegoż roku odbyła się w Pa-

ryżu konferencja Ententy, która uchwaliła kontrolować zewnętrzną politykę Rosji.

Państwa centralne zgodziły się rozpocząć pertraktacje pokojowe. 16 listopada zakomunikował o tem parlamentowi niemieckiemu kanclerz Hertling. 17 listopada minister spraw zagranicznych Czernin zawiadomił Sowiety o zgodzie swego rządu na prowadzenie pertraktacji pokojowych. 19 listopada spotkały się delegacje obu stron.

Pertraktacje brzeskie, według planu przywódców rządu sowieckiego, miały na celu zrewolucjonizowanie Europy i wzbudzenie ku sobie sympatji narodów uciśnionych i mas ludowych przez proklamowanie humanitarnych zasad w polityce międzynarodowej. Od 9 do 17 grudnia 1917 r. pertraktacje brzeskie polegały na wypracowaniu zasad, na których miał być oparty przyszły pokój. Chodziło rządowi sowieckiemu o proklamowanie zasad, któremi ma się rządzić w polityce międzynarodowej. 9 grudnia sowiecka delegacja za podstawę pertraktacji pokojowych przedłożyła następujący projekt:

1) Nie może być dopuszczone przyłączenie terytorjum okupowanego podczas wojny. Wojska okupacyjne ustępują z tego terytorjum w najkrótszym czasie.

2) Przywraca się polityczną samodzielność narodom, które podczas wojny obecnej były tej samodzielności pozbawione.

3) Narodowe grupy, które nie korzystały z politycznej samodzielności przed wojną, otrzymują gwarancję zadecydowania o swej przynależności do tego lub innego państwa lub o swej państwowej samodzielności drogą referendum. To referendum winno być zorganizowane w ten sposób, żeby była zabezpieczona zupełna wolność głosowania dla całej ludności danego terytorjum, nie wyłączając emigrantów i uchodźców.

4) Co się tyczy terytorjów, zaludnionych kilku narodowościami, to prawo mniejszości ma być zagwaranto-

wane prawami specjalnemi, zabezpieczającemi ich kulturalno-narodową samodzielność, a o ile to możliwe, także administracyjną autonomję.

5) Żadna ze stron wojujących nie jest obowiązana płacić drugiej stronie tak zwanych „wydatków wojskowych"; otrzymane kontrybucje winny być zwrócone. Co się tyczy wynagrodzenia za straty, poniesione przez osoby prywatne podczas wojny, to wynagradzają się one z ogólnej sumy, powstałej z proporcjonalnych opłat wszystkich stron walczących.

6) Kwestje kolonjalne rozwiązują się przy zachowaniu zasad, wyrażonych w punktach 1, 2, 3 i 4.

Delegacje państw centralnych udzieliły odpowiedzi 12 grudnia na propozycje sowieckie, przyczem zaznaczyły, że gotowe są zawrzeć pokój ogólny bez aneksji i kontrybucji.

14 grudnia 1917 r. rozpoczęły się obrady nad pierwszymi dwoma punktami projektu traktatu pokojowego. Rosyjska delegacja sformułowała je w następujący sposób:

1) W zupełnej zgodzie z deklaracją obu pertraktujących stron o braku u nich zaborczych planów i o pragnieniu zawarcia pokoju bez aneksji, Rosja wyprowadza swe wojska z zajmowanych przez nią części Austro-Węgier, Turcji i Persji, a państwa sprzymierzone — z Polski, Litwy, Kurlandji i innych prowincji Rosji.

2) Zgodnie z zasadami rządu rosyjskiego proklamuje się prawo wszystkich bez wyjątku narodów, zaludniających Rosję, do samookreślenia — aż do oddzielenia się. Ludności tych prowincji będzie dana możliwość swobodnie i w najkrótszym, ściśle określonym terminie zadecydować o swem przyłączeniu się do tego lub innego państwa, albo utworzeniu samodzielnego państwa. Przytem w samookreślających się prowincjach nie dopuszcza się przebywania jakiegokolwiekbądź innego wojska, oprócz narodowego i miejscowej milicji.

Rosyjskie wojska były wówczas już wyparte niemal z całej Austrji i Turcji. Natomiast niemieckie i austrjackie oraz tureckie okupowały znaczne obszary państwa rosyjskiego. Wyprowadzenie więc wojsk okupacyjnych leżało w interesie Rosji. Sowiety rachowały też na propagandę rewolucyjną w Polsce, na Litwie i w Kurlandji. Ciężkie warunki aprowizacyjne tych krajów dawały podkład dla rewolucyjnej propagandy. Wiemy, że skąd tylko ustępowały wojska niemieckie i austrjackie w 1918 r., wszędzie następowała czerwona armja. Rozumiemy więc postulat Sowietów wycofania wojsk państw centralnych; wiedziały one dobrze, że armje narodowe jeszcze nie powstały, a w Polsce armja była tylko w zarodku.

Jak podczas wojny światowej walczące armje puszczały jedna na drugie gazy trujące, tak w końcu 1917 i na początku 1918 r. rozpoczyna się puszczanie na przeciwnika haseł, odurzających słabsze głowy, haseł wyzwolenia ludów i sprawiedliwego pokoju.

W hasła te ich głosiciele częstokroć sami nie wierzyli. Zostały one zrealizowane o tyle i tam, gdzie to leżało w interesach Francji i Anglji.

14 punktów Wilsona z 8 stycznia 1918 r., z którymi w pewnej mierze liczono się, były konsekwencją deklaracji brzeskich.

Delegacje państw sprzymierzonych oświadczyły w odpowiedzi na postulaty delegacji rosyjskiej, że „opierając się na jasno wyrażonej woli swoich rządów i narodów, dążą do osiągnięcia w jaknajszybszym czasie ogólnego, sprawiedliwego pokoju. Delegacje państw sprzymierzonych, zgodnie z niejednokrotnie już wyrażonym stanowiskiem swych rządów, uważają, że zasadnicze punkty rosyjskiej propozycji stanowią możliwe do omówienia fundamenty zawarcia takiego pokoju. Delegacja czwórprzymierza zgadza się na natychmiastowe zawarcie ogólnego pokoju bez zaborów i bez kontrybucji“.

Należy jednak zwrócić z naciskiem uwagę na to —

oświadczyła delegacja państw sprzymierzonych — że propozycje delegacji rosyjskiej jedynie wtedy mogą być spełnione, jeżeli wszystkie, biorące udział w wojnie państwa zobowiążą się w ustalonym terminie, bez żadnego wyjątku, do najskrupulatniejszego przestrzegania warunków, zadawalniających w równej mierze wszystkie narody. Albowiem byłoby rzeczą nie do przyjęcia, ażeby traktujące obecnie z Rosją państwa czwórprzymierza ułożyły się jednostronnie co do warunków pokojowych i nie otrzymały żadnej gwarancji, że sprzymierzeńcy Rosji uznają te warunki również w stosunku do czwórprzymierza i przeprowadzą je uczciwie i bez żadnego wyjątku.

Sowiety pragnęły z posiedzeń delegacji pokojowej uczynić organ międzynarodowej propagandy, chciały więc przenieść pertraktacje do jakiegokolwiekbądź państwa neutralnego i domagały się dopuszczenia przedstawicieli prasy na narady stron. Na te postulaty nie zgodziły się delegacje państw centralnych. W tym samym czasie państwa centralne, dla osłabienia Sowietów, wysunęły sprawę niepodległości Ukrainy.

28 grudnia (10 stycznia) 1918 r. konferencja otrzymała notę p. Hołubowicza, generalnego sekretarza Ukraińskiej Ludowej Republiki, która twierdziła, że władza sowieckich narodnych komisarów nie rozpowszechni się na Ukrainie i że każda pokojowa umowa będzie obowiązywała Ukrainę wówczas tylko, gdy będzie przyjęta i podpisana przez rząd Ukraińskiej Ludowej Republiki.

Von Kühlmann, przedstawiciel delegacji niemieckiej, poparł sprawę uczestnictwa przedstawicieli Ukraińskiej Rady w pertraktacjach pokojowych. Delegacja Rosji Sowieckiej została złapana przez głoszone przez nią zasady samostanowienia narodów o sobie i musiała się zgodzić na udział delegatów Ukraińskiej Rady.

W tym samym czasie armja sowiecka na Ukrainie wznowiła energiczną walkę z oddziałami zbrojnymi Ukraińskiej Rady, która utrzymała się jedynie w Kijowie i w pa-

ru przyległych miejscowościach. Wówczas delegacja sowiecka zażądała udziału w delegacji przedstawicielstwa Ukrainy sowieckiej i przyjęła do swego grona, w charakterze tych przedstawicieli, pp. Szachraja i Miedwiediewa.

Na posiedzeniu delegacji przejawił się spór, kto przedstawia Ukrainę: Szachraj i Miedwiediew, czy Hołubowicz i jego towarzysze? Rosyjska delegacja nie ośmieliła się odsunąć z konferencji przedstawicieli Centralnej Rady, tylko kategorycznie nastawała na to, by przedstawiciele sowieckiej Ukrainy, towarzysze Szachraj i Miedwiediew, brali udział w konferencji. Natomiast delegacja Centralnej Rady, powołując się na czwarty uniwersał, wydany 11 (24) stycznia 1918 r., twierdziła, że ma wyłączne prawo do samodzielnego przedstawicielstwa niepodległej Ukrainy i 28 stycznia (10 lutego) 1918 r. podpisała odrębny pokój z państwami centralnemi. Tymczasem cztery dni przedtem wojska sowieckie zajęły Kijów i całe terytorjum, którego rzekomym przedstawicielem był pan Hołubowicz i jego towarzysze.

Rzecz charakterystyczna, że na dopuszczenie delegacji polskiej do pertraktacji brzeskich nie zgadzały się Sowiety. Państwa centralne nie nastawały też w tej sprawie. Naszym kosztem robiono ustępstwa nieistniejącemu państwu ukraińskiemu. Przyznawano mu Chełmszczyznę i zobowiązano się wobec niego do wyodrębnienia Galicji Wschodniej.

Niemcy i Austro-Węgry domagały się odcięcia od Rosji 150 tysięcy wiorst kwadrat., obejmujących Królestwo i część naszych ziem wschodnich wraz z Litwą, oraz Kraj Nadbałtycki. 28 stycznia (10 lutego) na posiedzeniu konferencji Trocki złożył następującą deklarację: Imieniem Sowieta Narodnych Komisarow Rząd Rosyjskiej Republiki Federacyjnej podaje do wiadomości rządów i narodów państw wojujących oraz sprzymierzonych i neutralnych, że nie zgadzając się na podpisanie umowy aneksyjnej, Rosja ogłasza zakończenie stanu wojny z Niemcami, Austro-Wę-

grami, Turcją i Bułgarją. Rosyjskie wojska otrzymują jednocześnie rozkaz o zupełnej demobilizacji na całym froncie.

Nie długo Trocki mógł być zadowolony ze swego dowcipu. 3 (16) lutego generał Hofmann zawiadomił władze rosyjskie, że termin zawieszenia broni między Rosją a Niemcami kończy się 5 (18) lutego, poczem wznawia się wojna. Protest Trockiego nie pomógł nic i 5 (18) lutego o 12-ej godzinie na całym froncie rozpoczęła się niemiecka ofenzywa. Zdemoralizowana armja rosyjska nie mogła stawiać oporu. Niemcy zajęli Dynaburg, Psków i zbliżali się do Petersburga. 6 (19) lutego rząd sowiecki zawiadomił Berlin, że zgadza się na podpisanie traktatu na warunkach, opracowanych w Brześciu.

Przeciwko zawarciu pokoju wystąpili Trocki i Joffe. Zwolennicy pokoju, jak Lenin, dowodzili, że dla Rosji Sowieckiej najważniejszą jest „pieredyszka" t. j. chwilowy odpoczynek, po którym Rosja Sowiecka może rozpocząć na nowo ofenzywę.

Sowiecki publicysta Majskij w pracy „Wnieszniaja politika R. S. F. S. R. 1917/22", oficjalnem wydawnictwie, ubolewa nad terytorjalnemi stratami Rosji wskutek traktatu brzeskiego. „Rosja utraciła Polskę, Litwę, Kurlandję, część Liflandji i Białorusi oraz takie znaczne centra, jak Rygę i Wilno. Drugą część Liflandji oraz Estonji „tymczasowo" oddawało się do rozporządzenia władz niemieckich. W niemieckiej okupacji pozostawały i te miejscowości, znajdujące się na wschód ustanowionej granicy, które w chwili podpisania pokoju były zajęte przez wojska niemieckie. Do takich miejscowości należał Psków i Dynaburg. Rosja utraciła też w Azji terytorja, musiała ustąpić Turcji Kars, Ardagan i Batum. Ukraina i Finlandja uznane zostały jako państwa samodzielne i Sowiecka Republika zobowiązała się nie interwenjować w ich sprawie. Z Ukraińską Narodną Republiką Sowiecka Republika winna była niezwłocznie zawrzeć pokój" (str. 38).

Położenie międzynarodowe Rosji Sowieckiej po zawarciu traktatu brzeskiego pogorszyło się. Strejki i demonstracje w Austrji z domaganiem się pokoju ustały. Finlandja, w której przy pomocy Sowietów zwyciężyli komuniści, dzięki energji pierwiastków mieszczańskich i włościańskich oraz poparciu Niemców, zdusiła u siebie bolszewizm i pragnęła powołać króla z jednego z panujących domów niemieckich.

Niemcy, jakkolwiek zmusili Rosję do wznowienia traktatu z 1904 r. i rozciągnięcia go do końca 1925 r. oraz otrzymały prawo wywozu bezcłowego z Rosji rudy żelaznej, jednak uważały, że nie Wielkorosja, lecz Ukraina może być źródłem zaopatrzenia Niemiec w środki żywnościowe i surowce. To też pozostawiły Rosji możność dalszego rozkładu w bolszewiźmie, nie interwenjując w sprawy wewnętrzne Wielkorosji, natomiast usiłowały zorganizować politycznie i gospodarczo Ukrainę.

Rada Ukraińska, jak słusznie stwierdzał komunikat niemiecki z kwietnia 1918 r., nie posiadała organów wykonawczych i nie była w stanie uporządkować administracji w kraju. To też władze niemieckie zwracały się do Rady tylko o tyle, aby nie rozprószyć zupełnie złudzeń ukraińskich niepodległościowców, poza tem działały samodzielnie i organizowały zarząd kraju zupełnie samodzielnie. Natomiast Austrjacy usiłowali zachować zupełną neutralność i przedewszystkiem „szanować zdobycze rewolucji". Stały więc pośrednio na straży zwykłej grabieży i bezprawnych wywłaszczeń. Rzecz charakterystyczna, że Niemcy uzyskali daleko więcej autorytetu i przychylnego dla siebie stanowiska, niż Austrjacy, imponowali bowiem siłą, energją i stanowczością.

Rada próbowała ukrainizować szkoły, administrację i sądownictwo, jednak nie miała powodzenia dla braku sił wśród ruskiej inteligencji. W społecznych reformach Rada nie ustępowała rosyjskiemu bolszewizmowi. Wypracowała projekt socjalizacji ziemi, zbliżony do bolszewickich uka-

zów, wydanych w tej sprawie i uświęciła ex post wywłaszczenia, dokonane przez chłopów znanymi sposobami. Tylko, podczas gdy Rada zabierała grunta wielkich właścicieli na rzecz państwa, chłopi dzielili je pomiędzy siebie indywidualnie, nie oglądając się na socjalistyczne doktryny, których nie rozumieli i które sprzeciwiają się ich tradycjom, obyczajom i instynktom. Wytwarzał się stan nielegalny z rewolucyjnego punktu widzenia, którego nie mogły usunąć żadne uniwersały, ani rozporządzenia, wydawane przez kijowskich ukraińskich działaczy. Kraj pogrążał się coraz bardziej w anarchję. Wobec tego Niemcy zainscenizowali kontrrewolucję ukraińską 28 kwietnia (11 maja) 1928 r. Na zgromadzeniu chłopskiem w Kijowie zjawił się generał Skoropacki i został ogłoszony atamanem Ukrainy. Przy życzliwem poparciu Niemców Rada została rozpędzona i ustanowiony rząd Skoropackiego, który opierał się na zamożniejszem włościaństwie, inteligencji zawodowej i mieszczaństwie. Porażka Niemców na froncie zachodnim uniemożliwiła im budowę Wielkiej Ukrainy, która byłaby dla nich nietylko ważnym źródłem surowców i rynkiem zbytu, lecz i przeciwwagą Rosji oraz Polski. Bardzo ważnym czynnikiem współczesnej siły gospodarczej i militarnej jest nafta. Otóż oderwanie Kaukazu z jego naftą osłabiłoby Rosję i dałoby przewagę temu kompleksowi politycznemu, któryby zaopiekował się oderwanym od Rosji Kaukazem. Dzięki okupacji Ukrainy Kaukaz otrzymał możność uzyskania niepodległości. W końcu maja 1918 r. narodnyj komisarjat do spraw zagranicznych Rosji Sowieckiej otrzymał deklarację „związku górali Kaukazu“, domagającą się oddzielenia od sowieckiej federacji znacznej części terytorjum Kaukazu. 26 maja (10 czerwca) Gruzja ogłosiła swą niepodległość. Wobec zbliżania się niemieckich i tureckich wojsk do Baku, Rosja Sowiecka, obawiając się nowego zbrojnego konfliktu, narazie nie wystąpiła zaborczo wobec Gruzji, Arbejdżastanu i Armenji.

W końcu lata 1918 r. Niemcy zaproponowali Radzie

Regencyjnej określić wschodnie granice Polski i gdy na wiosnę 1918 r. obcinały nawet Królestwo, wydzielając Chełmszczyznę na rzecz Ukrainy, na początku sierpnia 1918 r. gotowe nam były przyznać ziemie wschodnie aż po Berezynę lub nawet górny Dniepr. Nie mogliśmy tego wykorzystać wskutek niedołęstwa ówczesnego rządu polskiego i braku armji, któraby zdołała obsadzić i zabezpieczyć owe ziemie od najścia bolszewickiego. Ziemie te uległy więc dwukrotnemu najazdowi bolszewickiemu, pociągającemu zniszczenie gospodarcze i demoralizację i tylko część ich weszła w skład Polskiego Państwa na mocy Traktatu Ryskiego.

Traktat Brzeski, nie wytworzywszy współpracy polsko-niemieckiej na wschodzie, nie przyniósł Niemcom spodziewanych korzyści. Ustanowienie stosunków dyplomatycznych między Niemcami a Rosją Sowiecką, akredytowanie w Berlinie w charakterze posła sowieckiego Joffe'go, przyczyniło się do rozwoju ruchu rewolucyjnego w Niemczech. W kwietniu wychodziła w Niemczech mała nielegalna gazeta „Spartakus". Podłoże dla niezadowolenia istniało w coraz trudniejszych warunkach aprowizacyjnych, a od jesieni wskutek niepowodzeń na froncie. Rewolucyjny ruch nie miał jednak znacznego rozpowszechnienia. Sowieckie złoto, szafowane hojnie przez Joffe'go, dało jednak koniec końcem rezultaty bardzo poważne i przyczyniło się do osłabienia niemieckiego frontu.

22 listopada 1918 r. wybuchła rewolucja w Niemczech. Wilhelm II uciekł do Holandji i Niemcy ogłosiły się republiką. Na czele rządu stanął przywódca socjalnych demokratów niemieckich, Scheidemann. Stosunki z Rosją Sowiecką, wbrew oczekiwaniu Sowietów, pogorszyły się. Socjalna demokracja niemiecka nie chciała przeobrażać Niemiec w republikę sowiecką i przeciwstawiała się bliższym stosunkom z Sowietami. Gdy 23 listopada 1918 r. Centralny Komitet Republiki Sowieckiej wysłał z Moskwy

do Berlina 25 wagonów zboża dla głodnych Niemiec, rząd niemiecki nie przyjął tego prezentu.

Powstające rady robotniczo-żołnierskie w Niemczech miały orjentację prosowiecką. Ruch spartakusowy wydawał się silnym. W Bawarji zwyciężyła nawet rewolucja komunistyczna, lecz w styczniu 1919 r. ruch spartakusowy został zwyciężony. W okresie walki z tym ruchem rząd niemiecki nie dopuszczał do Niemiec żadnego przedstawicielstwa Sowietów. 11 stycznia 1919 r. rząd niemiecki ogłosił, że nie dopuści żadnego przedstawicielstwa Rosji Sowieckiej do Niemiec, choćby to był Czerwony Krzyż. Była to akcja obronna, gdyż towarzysze Radek, Bucharin, Joffe, Ignatow i Rakowski usiłowali prowadzić agitację w Niemczech i chcieli przybyć na zjazd Rad Niemieckich w końcu 1918 r., lecz nie zostali dopuszczeni przez Rząd niemiecki. Od początku 1919 r. nastąpiło zupełne zerwanie stosunków między Rosją i Niemcami. Rząd Scheidemanna okazał się względem Rosji Sowieckiej mniej kompromisowym, niż rząd przedrewolucyjny, który nawet z powodu zabójstwa posła niemieckiego Mirbacha 19 lipca 1918 r. nie zerwał z Rosją stosunków dyplomatycznych.

Nie Niemcy, lecz Anglja zapoczątkowała wznowienie stosunków z Sowietami, chociaż poprzednio pierwsza te stosunki zerwała. Pierwszym początkiem tego zerwania był wyjazd w grudniu 1917 r. posła angielskiego Buchanana z Rosji ze znaczną częścią korpusu dyplomatycznego i misji wojennej. Po wyjeździe z Rosji Buchanana stanowisko jego nie zostało obsadzone. Interesy angielskie reprezentował nie upełnomocniony poseł, lecz chargé d'affaires, podrzędny członek poselstwa. Potem, gdy traktat brzeski był podpisany, opuścił Rosję poseł francuski i podniesioną była kwestja wyjazdu wszystkich przedstawicieli Ententy. Jednak postanowiono co innego, poselstwo wróciło, lecz obrało sobie rezydencję nie w Petersburgu, lecz w Wołogdzie. Po-

selstwo nie opuszczało więc Rosji, lecz przeniosło się tylko na tę stację, skąd łatwo było uciec do domu.

Wśród państw Ententy w stosunku do spraw rosyjskich zachodziły znaczne różnice. Stany Zjednoczone odniosły się do przewrotu w Rosji bez tej niechęci, jaka cechowała Francję, która była nietylko rozdrażniona brakiem dalszej pomocy ze strony Rosji, lecz także zrozpaczona temi miljardowemi stratami, jakie ponieśli Francuzi z powodu anulowania długów rosyjskich przez Sowiety. Stosunek Anglji był bardziej chwiejny, oscylował między stosunkiem Francji a Stanów Zjednoczonych. Na wiosnę 1918 r. z inicjatywy amerykańskiego gabinetu prowadzone były pertraktacje na temat uznania władzy sowieckiej. Przedstawiciele Ameryki proponowali Anglji i Francji uznać władzę sowiecką i ustanowić ogólne porozumienie w sprawach polityki zewnętrznej oraz zawrzeć finansowe i handlowe umowy. Anglja z początku odniosła się niechętnie do tej sprawy i chciała przejść nad nią do porządku dziennego, lecz pod presją Stanów Zjednoczonych zgodziła się posłać swego delegata na ową naradę, która jednak nie dała żadnych wyników. Zajmując tolerancyjną pozycję w stosunku do Sowieckiej Rosji, Wilson posłał powitalną depeszę na czwarty zjazd Sowietów, zwołany dla ratyfikacji brzeskiego traktatu. Telegram ten był następującej treści: „Korzystając ze zjazdu Sowietów, chcę w imieniu narodu Stanów Zjednoczonych wyrazić szczere współczucie rosyjskiemu narodowi, szczególniej teraz, gdy Niemcy posunęły swe siły zbrojne wewnątrz państwa dlatego, żeby przeszkodzić w jego walce o wolność, zniweczyć wszystkie jego zdobycze i zamiast woli rosyjskiego narodu zrealizować zamiary Niemiec. Chociaż Rząd Stanów Zjednoczonych niestety w chwili obecnej nie może okazać Rosji tej bezpośredniej i skutecznej pomocy, którąby chciał okazać, pragnę jednak zapewnić rosyjski naród, że Stany Zjednoczone wykorzystają wszystkie możliwości, żeby zabezpieczyć Rosji ponownie pełną suwerenność i zu-

pełną niepodległość w jej sprawach wewnętrznych i odtworzenie jej wielkiej roli w życiu Europy i współczesnej ludzkości. Naród Stanów Zjednoczonych całem sercem współczuje rosyjskiemu narodowi w jego dążnościach wyzwolenia się na zawsze od absolutyzmu i stania się panem swego losu". Telegram ów wykazywał całą dezorjentację Stanów Zjednoczonych w stosunku do przewrotu rosyjskiego i przejawiał te sympatje, jakie istniały w owym czasie w Stanach Zjednoczonych względem Rosji Sowieckiej.

Piotr Nesterow, współpracownik organu Burcewa „La cause commune", 10 stycznia 1920 roku podawał swe wrażenia z Ameryki: „Dwie trzecie ludności Stanów Zjednocoznych składają się z emigrantów europejskich: Niemców, Słowian, Żydów rosyjskich i t. d. Patrzą oni na walkę z bolszewizmem jako na walkę reakcji z demokracją. Co się tyczy właściwych Amerykanów — wszyscy oni myślą o stosunku handlowym z Rosją bolszewicką, wielu z nich interesuje się tą nową formą demokracji".

Stosunek Anglji do Sowietów nie był tak naiwny, jak Stanów Zjednoczonych. Zależał on w znacznej mierze od powodzenia lub niepowodzenia na froncie, działała też obawa, iż Niemcy wzmocnią się przez zdobycie wpływów na wschodzie Europy, co da im nietylko surowce i aprowizację, lecz także możność skoncentrowania wszystkich sił militarnych na froncie zachodnim. 25 marca 1918 roku Balfour w Izbie Gmin oznajmił, że trzeba przyjść na pomoc Rosji przeciwko Niemcom, posuwającym się na terytorjum rosyjskie. Konferencja Ententy postanowiła nie uznawać traktatu brzeskiego. W okresie niepowodzeń Francji i Anglji na froncie w kwietniu 1918 roku w prasie angielskiej, nietylko radykalnej, jak „Manchester Guardian", lecz i w konserwatywnej „Morning Post", zjawiały się artykuły, dowodzące potrzeby wznowienia stosunków z Rosją bez względu na jej formę rządu.

Najbardziej nieprzejednaną pozycję względem Rosji

Sowieckiej zajęła Francja, ze względu na owe dziesięć miljardów franków, które społeczeństwo francuskie umieściło w pożyczkach i przemyśle rosyjskim przed wojną, oraz miljardowe pożyczki rządu francuskiego podczas wojny.

Widzieliśmy, że Niemcy podczas traktatu brzeskiego i później pragnęli znaleźć podstawę gospodarczą i polityczną na wschodzie w Ukrainie. Taką samą ideę miała i Francja. Według pochwyconego przez Sowiety radjotelegramu w listopadzie 1917 roku, francuska misja wojenna na froncie rumuńskim otrzymała instrukcję rządu francuskiego wejść w ścisły związek i wszystkiemi siłami podtrzymywać ukraińską Radę. W listopadzie 1917 roku usiłowali Francuzi drogą wspólnej roboty z powstałymi nowymi rządami podtrzymywać rosyjski front i odsuwać zawarcie pokoju. Francja jednak, w przeciwieństwie do Niemiec, nie myślała o wytworzeniu na stałe odrębnej Ukrainy. Organizacje ukraińskie były jej potrzebne tylko na krótki czas ze względów strategicznych i pomoc jej nie okazała się skuteczną. Wkrótce więc ukraińska Rada zrywa z Anglją i Francją dla zawarcia odrębnego pokoju z państwami centralnemi, dopuszczając ich wojska na Ukrainę.

Ententa pokładała następnie nadzieję w Kozakach, lecz okazało się wkrótce, że część Kozaków idzie z bolszewikami, inni zaś przyjmują orjentację niemiecką, której zwolennikami stała się starszyzna kozacka. Gdy zakomunikowano o tem w Izbie Gmin w maju 1918 roku, wówczas jeden z mówców zawołał: „Czyż nie znaczy to, że w Rosji tylko Rząd Sowiecki jest jedyną siłą, która może przeciwstawić się wpływom państw centralnych?!“

Zwiększenie sił Niemiec kosztem Rosji, wzmocnienie położenia Turcji, zadawało cios zachodnio-azjatyckiej polityce Anglji i zagrażało jej panowaniu w Indjach i Egipcie. Dla Francji wzmożenie sił Niemiec na wschodzie przez powołanie do życia nowych państw, pozostających w związkach z Rzeszą, oznaczało obniżenie politycznego znaczenia Francji do poziomu Belgji lub Holandji.

Główną siłą, którą sprzymierzeni mogliby zwrócić przeciwko Rosji, była Japonja. Balfour proponował okupację Syberji przez wojska japońskie. Była to zamaskowana idea podziału Rosji.

Okupacja Syberji miała na celu ochronienie interesów sprzymierzonych, wynagrodzenie ich za straty materjalne, a także podtrzymywanie ruchu antysowieckiego. Prasa francuska przyjęła z radością propozycję Balfoura. Przeciwstawiły jej się tylko Stany Zjednoczone. Ogłosiły one swą nieinterwencję w wewnętrznych sprawach Rosji i gotowość przyjścia z pomocą każdemu jej rządowi, oraz dążność „zabezpieczenia rzetelnych interesów Rosji i ochrony całości tego wielkiego państwa".

Stanowisko Ameryki w danej sprawie było uwarunkowane jej antagonizmem względem Japonji. Stany Zjednoczone, jako państwo Wielkiego Oceanu, nie chcą wytworzenia się tam potęgi, dla nich groźnej. Stąd przed wojną rosyjsko-japońską i podczas wojny popierały materjalnie i moralnie Japonję, uważając Rosję za pierwszą potęgę na wschodzie. Natomiast podczas pertraktacji traktatowych w Portsmouth swymi wpływami broniły interesów Rosji wobec Japonji. Dzięki nim Japonja nie uzyskała północnego Sahalinu, obfitującego w źródła naftonośne i nie otrzymała kontrybucji, której miała użyć na rozbudowę swej marynarki. Ze względu na Filipiny, leżące trzykroć bliżej od Japonji, niż od Stanów Zjednoczonych, ze względu na swój daleki zachód, posiadający wielokrotnie rzadsze zaludnienie od Japonji, Stany Zjednoczone od 1905 roku obawiają się wzrostu potęgi japońskiej i przeciwstawiają się tym zdobyczom, któreby pomnażały siły Japonji.

Pozostając w antagoniźmie z Japonją, Stany Zjednoczone popierały Rosję podczas całego okresu interwencji Ententy i Japonji.

Z państw Ententy tylko Japonja mogła i pragnęła iść na zdobycze terytorjalne lub stworzenie organizmu pań-

stwowego rosyjskiego, oderwanego od Sowietów, będącego w sferze wpływów Japonji.

Rzecz więc naturalna, że dążności interwencyjne Ententy były słabsze od japońskich, rozpoczęły się później i skończyły się wcześniej.

4 (17) kwietnia 1918 r. we Władywostoku grupa bolszewików napadła na japońskie przedsiębiorstwo Usidie. W odpowiedzi na to 5 kwietnia zjawił się we Władywostoku japoński desant. Wywołało to protest ze strony Centralnego Komitetu Sowietów w Syberji. Centralny Rząd Sowiecki zwrócił się z mocną notą przeciwko japońskiej interwencji. W odpowiedzi na to 23 kwietnia 1918 r. pełnomocnicy angielski i amerykański zawiadomili rząd sowietów, że japoński desant nie ma na celu interwencji w wewnętrzne sprawy Rosji. Wkrótce jednak potem zjawił się nieznaczny desant angielski we Władywostoku, a francuski poseł Noulens 5 maja tegoż roku wystąpił z uzasadnieniem japońskiej interwencji.

Japonja usiłowała wytworzyć na dalekim wschodzie niezależne od Sowietów państwo rosyjskie, niekomunizujące i zniewolone z natury rzeczy do szukania oparcia w Japonji. Zaraz po wysadzeniu japońskich wojsk we Władywostoku powstał w Pekinie rząd Dalekiego Wschodu, z generałem Chorwatem na czele i z admirałem Kołczakiem, jako jednym z ministrów. Rząd ów pretendował do panowania we wschodniej Syberji i miał nawet nadzieję zdobycia Moskwy. W Mandżurji powstawały rosyjskie oddziały pod dowództwem atamana Siemionowa i niepokoiły sowieckie terytorjum Syberji.

Interwencja japońska na Dalekim Wschodzie trwała aż do konferencji waszyngtońskiej 1922 r. Nie zrealizowała wprawdzie koncepcji japońskich, lecz przez pewien czas dawała podstawy operacyjne białym armjom, walczącym na Syberji i ułatwiała akcję Czechosłowaków, którzy za umożliwienie im wywiezienia rosyjskiego złota wydali Kołczaka bolszewikom.

Interwencja Ententy rozpoczęła się na północy Rosji. Od początku rewolucji październikowej misje Ententy skoncentrowały się na Murmanie. Wobec tego, że misje wojskowe były liczne, Murman de facto był okupowany przez wojska sprzymierzone, zwłaszcza Anglików. Dla wzmocnienia ich sił w czerwcu 1918 r. zjawił się desant angielski. Wówczas Trocki wydał rozkaz 13 lipca, wypowiadający walkę angielskim wojskom na północy. Anglicy jednak rozszerzyli linję swego frontu i 18 sierpnia, pobiwszy bolszewików, zajęli Archangielsk, gdzie znajdowały się olbrzymie składy materjału wojskowego, wysyłanego przez państwa sprzymierzone do Rosji, gdy ta była ich sprzymierzeńcem w wojnie z państwami centralnemi. Interwencja angielska przyjęła charakter interwencji Ententy, gdyż Francja i Włochy posłały tam też swe oddziały.

Gdy rząd sowiecki wystąpił z mocnymi środkami przeciwko oddziałom czechosłowackim i 11 czerwca 1918 roku Trocki wydał rozkaz ich rozbrojenia, a 25 czerwca zostały zamknięte w Rosji oddziały czechosłowackiej Rady Narodowej, Ententa w odpowiedzi na to 15 czerwca na konferencji wersalskiej postanowiła okazać pomoc Czechosłowakom, a 16 czerwca ogłosiła, że czechosłowackie wojska są częścią armji sprzymierzonych i każdy napad na nie będzie uważany za akt wrogi względem państw Ententy. Sowiety prowadziły jednak walkę z wojskami czechosłowackiemi, które unikały bitwy, posuwały się na wschód i dały się, jak wspominałem, łatwo przekupić.

W drugiej połowie 1918 r. misja Ententy na północy była głównem ogniskiem, popierającem wszelkie antysowieckie ruchy w Rosji.

W drugiej połowie 1919 r. Stany Zjednoczone odstępują od swej ugodowej linji politycznej względem Rosji Sowieckiej. Przyczynił się do tego szereg okoliczności. W kwietniu powstała sowiecka republika na Węgrzech, komuniści zwyciężają chwilowo w Bawarji. W Stanach Zjednoczonych rozpoczynają się olbrzymie strejki. W tym

samym czasie umiera Wilson i prezydentem zostaje Harding, nie ulegający iluzjom Wilsona. Stany Zjednoczone nie były zainteresowane w pożyczkach rosyjskich, nie potrzebowały rosyjskich surowców. Rosja jest dla nich przedewszystkiem przeciwwagą Japonji. Niedopuszczać do wzmocnienia Japonji kosztem Rosji, a pozatem nie interwenjować w sprawy rosyjskie, niedopuszczając propagandy sowieckiej w Stanach Zjednoczonych! Dlatego to w 1920 r. rząd Stanów Zjednoczonych kazał opuścić to państwo przedstawicielowi Sowieckiej Rosji, Martensowi.

Stany Zjednoczone nie potrzebowały surowców w tym czasie, gdy Europa doświadczała ich głód. Restauracja gospodarcza Rosji nie pociągała ich jakąś doraźną korzyścią. Wpływy żydowskie w Stanach Zjednoczonych działały prorosyjsko. Stany Zjednoczone odniosły się też obojętnie, a nawet po części życzliwie do przewrotu w Rosji. Lecz widząc, że ten przewrót wywołuje tam anarchję i walki wewnętrzne, pragnęły przeczekać ten kryzys. W przyszłości odtworzenie sił produkcyjnych tego państwa może być, według ich mniemania, korzystnym interesem i dla tego interesu trzeba zachować nienaruszalność terytorjum tego państwa. Stosunek rządu amerykańskiego do Rosji został sformułowany w nocie do rządu Włoch z powodu wojny polsko-rosyjskiej.

„Od samego początku rewolucji rosyjskiej 1917 roku — czytamy tam — do chwili obecnej (sierpień 1920 r.) Ameryka z prawdziwą sympatją śledzi dążności narodu rosyjskiego do przeobrażenia w nowym duchu swego ustroju państwowego i oparcia go na zwierzchnictwie ludu. Dlatego to Stany Zjednoczone uznały rewolucję rosyjską i rosyjski rząd tymczasowy...

„Ameryka nie przestaje wierzyć, że rosyjskiemu narodowi uda się przezwyciężyć anarchję i rozkład i że mu przeznaczono grać kierowniczą rolę w historji powszechnej, a gdy ten moment przyjdzie, Stany Zjednoczone będą uważały za obowiązek honoru i przyjaźni wystąpić w obronie

interesów Rosji i o ile możności nie dopuszczą postanowień, któr odbiłyby się ujemnie na żywotnych interesach Rosji, jej suwerenności w granicach poprzedniego imperjum.

„Wychodząc z tego punktu widzenia, Ameryka 18 września 1919 r. odpowiedziała w odpowiedni sposób Litewskiemu Zgromadzeniu Narodowemu i zawsze odmawiała się od uznania państw nadbałtyckich niezależnemi od Rosji. W swojej nocie 23 marca 1920 r. w sprawach bliższego wschodu Ameryka oświadczyła, że bez zgody Rosji niemożliwą jest decyzja Zwierzchniej Rady Sprzymierzeńców o przyznaniu niepodległości Arbejdżastanowi i Gruzji. Uznając niezawisłość Armenji, Ameryka oświadczyła, że granice jej będą ostatecznie określone tylko przy udziale Rosji, gdyż dla zachowania samodzielności Gruzji niezbędną jest dobra wola i przyjaźń Rosji.

„Ameryka oświadcza, iż nie chce, żeby Rosja znajdowała się we władzy rządu, który nie jest przedstawicielem narodu i opiera się tylko na fizycznej sile; nie chce, żeby Rosja jeszcze bardziej cierpiała od polityki rozczłonkowania, prowadzonej nie w rosyjskich, ale obcych interesach.

„Nie interwenjując w wewnętrzne sprawy Rosji, Ameryka ma nadzieję, że naród rosyjski wkrótce wytworzy władzę, będącą wyrazicielką jego swobodnej woli. Gdy to nastąpi, Ameryka zadecyduje, jakiego rodzaju pomocy udzieli narodowi rosyjskiemu. Co się tyczy rządu, będącego obecnie przy władzy, to Ameryka sądzi, że jest on pozbawiony poczucia honoru. Rząd ten zawiera umowy, nie mając zamiaru liczyć się z niemi. Rząd ów stwierdza, że dąży do wywołania rewolucji w innych państwach. Dlatego Ameryka chętnie zgodziłaby się na oświadczenie wszystkich państw sprzymierzonych, że całe terytorjum Rosji, z wyjątkiem Finlandji, Polski etnograficznej i Armenji, pozostaje niepodzielne. Tylko taka deklaracja, połączona z ewakuacją z granic Rosji wszystkich wojsk cudzoziem-

skich, pozbawiłaby bolszewików podpory ze strony rosyjskiego narodu".

Stany Zjednoczone zajęły więc stanowisko najbardziej filorosyjskiego państwa z jednej strony, a z drugiej najbardziej antybolszewickiego, zachowując jednak wobec niego bierne stanowisko. Pochodziło to z pewnych złudzeń co do międzynarodowego znaczenia Rosji gospodarczej w przyszłości i zrozumienia, że nie może dać znacznych korzyści w teraźniejszości.

Urzędnik departamentu przemysłowego Stanów, Kleefort, pisał: „Handlowe stosunki z Rosją bardzo są pożądane tak dla Ameryki, jak i dla całego świata, lecz obecnie handel ów nie może przyjąć znaczniejszych rozmiarów, wskutek tego, że rosyjski przemysł i siła kupcza narodu rosyjskiego jest nikłą". „Olbrzymie rozmiary przyszłego rosyjskiego handlu nie ulegają wątpliwości, a udział w tym handlu Stanów Zjednoczonych zależeć będzie od przyszłych stosunków z przyszłym rządem. Przyjazne stosunki z tym przyszłym rządem będą zagrożone, jeżeli wstąpimy w związek z obecnym rządem. Przez wdzięczność za to, żeśmy odmówili wstępować w stosunki z rządem sowieckim, przyszły narodowy rząd Rosji udzieli Ameryce nadzwyczajnych przywilejów. Analogiczne stanowisko zajęła Ameryka w 1921 r. podczas konferencji genueńskiej".

W oświadczeniu Kleeforta jest słusznym pogląd, że w owym czasie handel z Rosją, ze względu na upadek sił produkcyjnych tego państwa, musiał być nikły, lecz złudzeniem jest mniemanie, że udział Rosji w handlu międzynarodowym będzie w przyszłości znaczny. Przed wojną udział Rosji w handlu międzynarodowym chwiał się od trzech do trzech i pół procentu. Rosja, ze względu na swe obszary, leżące w różnych pasach szerokości geograficznej i znajdujące się w odmiennych warunkach gospodarczych, jest w znacznej mierze organizmem samowystar-

czalnym, potrzebującym tylko bardziej skomplikowanych maszyn i precyzyjnych narzędzi. Niski poziom kulturalny ludności Rosji czynić ją będzie przez długi czas rynkiem względnie mało pojemnym. Złudzenia, które wypowiadał Amerykanin o stosunkach gospodarczych rosyjskich, podzielała jednak Europa podczas konferencji genueńskiej.

Władysław Studnicki.

U PODSTAW POLITYKI CHRZEŚCIJAŃSKO-SPOŁECZNEJ.

Obserwacja życia politycznego zagranicą i u nas i udziału w niem t. zw. partji chrześcijańsko-demokratycznych nasuwa szereg refleksji.

Niewątpliwie ruch chrześcijańsko-demokratyczny przeżywa w szeregu krajów europejskich fazę przesilenia. Wystarczy tu wskazać choćby na Włochy, Litwę lub Polskę, gdzie organizacje polityczne chrześcijańsko-demokratyczne w znacznym stopniu utraciły swe poprzednie wpływy polityczne i społeczne, dalej na Austrję i Niemcy, gdzie ruch ten ma do przezwyciężenia szereg poważnych trudności zewnętrznych i wewnętrznych.

U nas zaś, jak to stwierdza „Głos Narodu", chrześcijańska demokracja jest w upadku i rozstroju:

„Chrześcijańska demokracja miała być tem, czem jest Centrum dla Niemiec. Pierwsze lata po powstaniu Polski były dla niej latami pomyślności. Od maja 1926 roku jest okres strat. Zapewne i jej w tem duża wina, jej przywódców, jej parlamentarnej reprezentacji — i jej bezwładu w zakresie myśli chrześcijańsko-społecznej. To nam wiele tłómaczy. Ale nie tłómaczy jednego faktu: odwrócenia się mas katolickich nietylko od parlamentarnego klubu Chadecji, ale nawet od całej tej katolickiej partji i katolickiej polityki. Można wytłómaczyć osłabienie reprezentacji parlamentarnej Ch. D., ale nie można wytłómaczyć szerzącej się opinji, że katolik powinien brać udział w polityce nie jako katolik, lecz tylko jako obywatel".

Takie ujęcie kwestji przez organ, który przez długie lata uchodził za trybunę myśli chrześcijańsko-społecznej, wskazuje, że jednak nie zawsze zdają sobie sprawę z istoty

katolickiej doktryny społecznej ci, którzy uważają się za jej propagatorów.

A przecież Leon XIII w encyklice „Graves de communi“ pisał, że „nie godzi się nadawać mianu chrześcijańskiej demokracji znaczenia politycznego. Jakkolwiek bowiem wyraz „demokracja“ etymologicznie i filozoficznie oznacza panowanie ludu, to jednak w naszym wypadku należy demokrację tak pojmować, by wykluczała wszelkie znaczenie polityczne, a wyrażała wyłącznie tylko dobroczynną działalność chrześcijańską na rzecz ludu“.

Ruch chrześcijańsko-społeczny musi więc rozwijać się w swych ramach właściwych, a nie może angażować się w rozgrywki partyjne.

Wielki ten prawodawca nowoczesnego katolicyzmu w następujących słowach w tejże Encyklice ustala następnie obowiązki katolików wobec rządu:

„Należy bardzo wyraźnie podkreślić, że pod nazwą demokracji chrześcijańskiej nie ukrywa się żadna dążność do nieposłuszeństwa, czy też oporu wobec władzy prawowitej. Wszak zarówno prawo przyrodzone, jak i chrześcijańskie, nakazuje szanować różne władze państwowe oraz słuchać ich słusznych rozkazów. Należy to zaś czynić szczerze, z poczucia swego obowiązku, jak przystało na prawego człowieka i chrześcijanina, mianowicie dla sumienia, jak o tem upomina Apostoł... Bardzo ważną jest rzeczą, aby wszyscy wierni zapamiętali sobie głęboko te słowa i starali się je wypełnić we wszelkich okolicznościach życia; tem bardziej zaś kapłani, najstaranniej je rozważając, niech nie zaniedbują zachęcać innych do ich przestrzegania nietylko słowami, ale i własnym przykładem“.

Ogólnie biorąc, Kościół zabrania katolikom tworzyć stronnictwa czysto polityczne, pojęte jako pewien fragment życia kościelno-religijnego.

Siłą rzeczy musiałyby wówczas programy, zarząd i działalność takiej partji katolickiej podlegać władzy i kon-

troli Kościoła, który brałby za nie odpowiedzialność. A tego Kościół nie czyni i czynić nie może.

Z tych słów wynika, co potwierdza następnie cała nauka Kościoła, że jest wręcz grzechem odmowa posłuszeństwa legalnej władzy, brak szacunku dla niej i posłuchu dla jej rozporządzeń w sprawach, w których ta władza ma prawo i obowiązek rozkazywać, a w swych rozkazach nie sprzeciwia się nauce Kościoła i nie godzi w jego dobro.

To, cośmy wyżej powiedzieli, daje już pewne podstawy oceny przyczyn załamania się ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce.

Załamanie się podobne nastąpiło również i we Włoszech. Interesującą rzeczą będzie przyjrzeć się bliżej temu zjawisku. Rozwój partji t. zw. popolarów, czyli włoskiej chrześcijańskiej demokracji, datuje się od epoki Benedykta XV, który w czasie wojny usiłował zapewnić jej udział w rządach i w tym celu porozumiewał się z Orlando i Nittim. Benedykt XV w kwestji udziału katolików w polityce uważał, że należy zerwać ze „średniowieczną“ taktyką izolacji politycznej katolików i dać im w dziedzinie społeczno-politycznej zupełną swobodę.

Natomiast Pius XI — jak stwierdza hr. Sforza w swem dziele „Postacie i twórcy współczesnej Europy“ — jest przeciwny wszelkim „politycznym wolnościom“. Zapewne nie bez wpływu na stanowisko Papieża pozostały obserwacje, poczynione w Polsce i we Włoszech nad życiem partyjnem.

Ojciec św. zwraca się ku współpracy z rządem i nawiązuje układy z Mussolinim, doprowadzając do paktu lateraneńskiego. Coprawda, mimo uznania dla różnych pozytywnych wyników akcji faszyzmu, Pius XI nie zezwala na udział kleru w działalności partji faszystowskiej ze względu na metody jej akcji.

W tym czasie popolari odbywają smutną degrengoladę. Jednym z jej przejawów jest bankructwo instytucji kredytowych, inspirowanych przez ks. don Sturzo, o czem

nawet wspomniał Mussolini. To też „Osservatore Romano“ uznał za stosowne wskazać, że banki księdza Sturzo, powołane do walki z lichwą i dla ochrony rolnika, sprzeniewierzyły się swym zasadom, przekształciły się w instytucje, służące celom partji i bawiące się w grę spekulacyjną.

„Osservatore Romano“ stwierdza więc, że instytucji tych nie można nazwać ani katolickiemi, ani wyznaniowemi. Mutatis mutandis da się to samo powiedzieć o objawach w instytucjach społeczno-gospodarczych i politycznych w innych krajach, wywodzących swój początek z ruchu chrześcijańsko-społecznego.

Wybory austrjackie w listopadzie r. ub. zasługują na bliższą analizę ze względu na swe wyniki dla obozu katolickiego. Partja katolicka rozporządzała w tych wyborach wyjątkowym atutem w postaci listu pasterskiego biskupów. Jednak uzyskała tylko 1,306,121 głosów na 3,658,176 głosujących, a „blok patrjotyczny“ („Heimatblock“), który przyjął do swego programu także obronę świętości religji i nierozerwalności małżeństwa, otrzymał 228.229 głosów. Razem więc dostały te dwa stronnictwa 1,534,350 głosów. Mogłoby się zdawać, że był to wynik, wcale nie zadowalający ze stanowiska katolickiego.

Należy jednak dla właściwej oceny tego wyniku przyjrzeć się sytuacji politycznej w Austrji.

Obecna Republika austrjacka, ze swym olbrzymim przemysłem przy niewielkiej ludności, przeżywa poważny kryzys. Setki tysięcy ludzi cierpi niedostatek. Daje to socjalistom doskonały atut w zdobywaniu sobie sympatji ubogich mas. Nic dziwnego, że część katolików mogła się opowiedzieć za socjalistami, którzy rzeczywiście nietylko w obietnicach, ale i realnie prowadzą akcję społeczną i dobroczynną. I tu właśnie wykazuje się na przykładzie, jak doniosłe znaczenie dla sukcesów politycznych ma realna akcja społeczna. Tego faktu niestety nie bierze w rachubę nasza chrześcijańska demokracja, która nie poświęca —

jak to tswierdza jej własna prasa — należytej uwagi sprawom społecznym.

Socjaliści austrjaccy wyrobili sobie w ostatnich wyborach atut z obrony lokatorów, którym przyrzekli utrzymanie i tak już bardzo niskich czynszów, oraz dalszą akcję budowy tanich mieszkań.

Trudno się dziwić, że to wystąpienie socjalistów zdobyło sobie popularność mas, które kwestje czynszów ujmują ze stanowiska czysto osobistych korzyści, a interes zbiorowy nic ich nie obchodzi.

Pozatem socjaliści „jednali" dla siebie gwałtem zwolenników, stosując terror. Nie pomogła tu interwencja armji patrjotycznej „Heimatwehr", która nie wszędzie rozporządza wpływami. Dla chleba niejeden głosował więc za socjalistami.

Pius XI — zdaniem cytowanego już hr. Sforzy — jest przeciwny „liberalistycznym tendencjom", ożywiającym stronnictwa chrześcijańsko-społeczne w poszczególnych krajach. A więc obserwujemy, że niemieckie centrum bierze rozbrat z socjalną demokracją, z którą przez długie lata współpracowało.

W Hiszpanji restrykcje spotykają również demokratyczny ruch kataloński, przejawiający pewne zapędy antycentralistyczne i nawet rewolucyjne.

We Francji zostaje potępiona „Action Française" i jej demagogiczny nacjonalizm. Nie należy tu zapominać o przestrogach, dawanych katolikom francuskim jeszcze przez Leona XIII w kwestji ich stosunku do władzy prawowitej III Republiki.

W Belgji dochodzi do skutku „Unja katolicka", kierowana przez czynniki zachowawcze, przeciwstawiając się filogermańskiemu separatyzmowi flamandzkiemu.

Słowem, wszędzie ruch chrześcijańsko-społeczny jest sterowany w kierunku zachowawczym, w myśl zresztą tradycji Kościoła i wskazań Encyklik Leona XIII.

Tymczasem u nas ruch chrześcijańsko-społeczny szedł

po drogach odmiennych, przejawiał tendencje, różne z duchem autorytatywnych wskazań Kościoła.

Polski ruch chrześcijańsko-demokratyczny nietylko, jak to stwierdza „Głos Narodu“, wykazuje bezwład w dziedzinie myśli i działalności chrześcijańsko-społecznej, ale obrał sobie dziwną taktykę polityczną: uprawiania opozycji!

Najistotniejszą jednak rzeczą jest, że ruch chrześcijańsko-społeczny u nas, ufny w liczebną siłę reprezentacji parlamentarnej (pięćdziesięciu posłów w r. 1922—26), zaniedbał właściwego pola „pracy dobroczynnej — jak powiada Leon XIII — na rzecz ludu“. W okresie przełomu, zamiast na tym właściwym terenie szukać oparcia i legitymacji swej roli, poszedł w kierunku rozgrywek politycznych, a właściwie rozpadł się na szereg rozbieżnych kierunków, które jednych doprowadziły do B. B., a innych do zjazdu Centrolewu w Krakowie. Pisze ks. Urban:

„Ten stan rzeczy należy uważać za bardzo niepomyślny dla akcji społecznej Kościoła u nas i należy za wszelką cenę dążyć do zmiany pod tym względem. Uważamy za rzecz dojrzałą do zrobienia — albo porzucenie przez Chadecję opozycji względem rządów Piłsudskiego, ustosunkowanie się do nich czysto rzeczowe i ograniczenie swego zainteresowania na terenie sejmu do dziedziny prawodawstwa społecznego, albo też uniezależnienie akcji społecznej Kościoła od Chrześcijańskiej Demokracji, jako stronnictwa politycznego. Tę zmianę uważają za konieczną tak kompetentni ludzie i tak pragnący urzeczywistnienia ideałów społecznych Kościoła, jakimi są ks. biskup Kubina i ks. prof. Szymański z Lublina. Zdaje się nam, że wyzwolenia społecznej akcji Kościoła z zależności od partji politycznej, chociażby mieniącej się katolicką czy chrześcijańsko-demokratyczną, domagają się także zasady, przepisane przez Stolicę Świętą dla akcji katolickiej. Praca społeczna jest, zdaniem ks. biskupa Kubiny, najważniejszą dziś domeną Akcji katolickiej, winna być zatem i ona, jak ta

ostatnia wogóle, ponadpartyjną i apolityczną. Chcielibyśmy, aby sami przywódcy Chadecji obecnej, ludzie niewątpliwie wielce przywiązani do Kościoła, zrozumieli szkodliwość łączenia tych dwóch rzeczy: chrześcijańskiej akcji społecznej i opozycyjności względem rządu, aby w ten czy inny sposób pomogli do zlikwidowania trudności, jakie dla pracy społecznej Kościoła wytworzyło ich stanowisko polityczne.

Trudno się dziwić, że przy takiej taktyce musiały zawieść „masy katolickie“, że nietylko odwracają się od Chrześcijańskiej Demokracji, ale i od katolickiej polityki jako takiej. Jeśliby rzeczywiście to miało być i nadal — byłby to najsmutniejszy plon chrześcijańsko-społecznej akcji w Polsce“.

Miejmy jednak nadzieję, że doświadczenie, zdobyte w „okresie strat“, wraz z doświadczeniami innych krajów katolickich oraz dążenie do przestrzegania woli Kościoła w kwestji akcji chrześcijańsko-demokratycznej, doprowadzą i u nas do jej renesansu.

J. Czarnecki.

Powyższe uwagi autora dotykają — na przykładzie partyjnego wypaczenia w Polsce szczytnej idei chrześcijańskiej demokracji — jednej z najgłębszych naszych bolączek, której zdrowy duch społeczeństwa powinien koniecznie zaradzić.

Smutne bowiem perypetje chrześcijańskiej demokracji i jej obecny, niewątpliwy upadek w Polsce, wykazują tylko raz jeszcze i to bardzo wymownie, niszczącą wszystko zaraźliwość demokratycznego parlamentaryzmu. Wszak nietylko wielka i wzniosła idea chrześcijańskiej demokracji, która wyszła z Watykanu, zabrnęła u nas w wyborczem błocie, ale mniej więcej to samo powiedzieć można o wszystkich innych wyższych ideach i produktywnych za-

mierzeniach. Wszystkie one, nie wyłączając niestety nawet uczuć religijnych, wypaczają się, karykaturują i marnują u nas (bo inne kraje nie mogą służyć nam za wymówkę) wskutek prawdziwie epidemicznej żądzy mandatów parlamentarnych!

Żądza ta wyzyskuje, ośmiesza i poniewiera wszelkie dobre, rozumne, wzniosłe zamierzenia, jakie u nas raz poraz budzą się w jakimkolwiek kierunku. Każdy, kto bierze w nich udział, może zaświadczyć, że idee, programy czy statuty tych zamierzeń i powstające na ich tle akcje lub organizacje są czem innem w teorji, a całkiem czemś innem w praktyce. Wszystko, co się w Polsce użytecznego, a nawet świętego przedsiębierze, przesiąknięte jest odrazu nietylko partyjnictwem politycznem, ale wprost nawet ordynarną walką o mandaty, chociaż przybiera się na zewnątrz w pompatyczne togi obrony religji, idei narodowej, interesu państwa, humanitaryzmu i t. d. i t. d. Człowiek, któryby jednak wykazał, że na serjo, uczciwie sprawy te traktuje, uważany będzie za Don Kiszota i jeżeli nie jawnie, to w każdym razie po cichu — wyśmiany. Bo wszystko dobre i złe w Polsce ma służyć i musi służyć tylko takiej lub innej akcji zdobycia jak największej ilości mandatów i to za wszelką cenę, powtarzamy: za wszelką cenę — bez wyboru środków i skrupułów.

O tem wie każdy i temu też nikt uczciwy nie jest w stanie zaprzeczyć.

Ta zaraza wyborcza dotknęła więc też z miejsca i wielką ideę chrześcijańskiej demokracji, na którą my — konserwatyści — szczerze się godzimy w zastosowaniu do całości społeczeństwa, gdyż idea ta wypływa z inicjatywy Kościoła, ze wskazań Ewangelji. To jest już dla nas bez dyskusji miarodajnem, a zresztą — nawet z czysto politycznego punktu widzenia — nie widzimy, aby zasady chrześcijańskiej demokracji miały się w czemkolwiek sprzeciwiać naszym poglądom w swym zakresie.

Tymczasem, na co zeszła w praktyce idea Leona

XIII-go? Wystarczy przytoczenie jednego szczegółu. Pewien bardzo wybitny i miarodajny przedstawiciel partyjnego zarządu Chrześcijańskiej Demokracji wyznał nam otwarcie przed trzema laty, że wobec braku funduszów na kaptowanie głosów wyborczych muszą miarodajne sfery w tem stronnictwie patrzeć przez palce, że agenci partji licytują się bez skrupułu w wywrotowych obietnicach z najskrajniejszymi żywiołami w państwie.

Ten jeden przykład, tak pouczający i soczysty w swej treści, chyba wystarczy!

A jakież są w krótkości faktyczne dzieje chrześcijańskiej demokracji w Polsce?

Oto w pierwszem swem zaraniu, in statu nascendi, została idea ta pochwycona przez monopolizatorów katolicyzmu, patrjotyzmu i humanitaryzmu w Polsce, t. j. endeków. Rozwijała się też przez szereg lat wprzągnięta całkowicie do ich rydwanu. Dopiero później zaczęła stopniowo wyodrębniać się w pewnym stopniu jakaś wątła — choć głośna — chrześcijańska demokracja z bloku ludowo-narodowego, być może, że ze względów ideowych, ale bardzo być może także, że poprostu wskutek pewnych scysji personalnych, a więc znowu „mandatowych". Nie chcemy już całkowicie odmawiać wszystkim partyjnikom pewnej kropelki ideowości, ale wydaje nam się to drugie przypuszczenie jakoś bardziej „realnem".

Ale ta regeneracja z endeckiego, wszystko w sobie chętnie chłonącego trzęsawiska, odbyła się oczywiście na platformie czysto partyjnej. Bo nie chrześcijańska demokracja ukazała się na arenie publicznej, ale partja Chadecka — z prezesami, sekretarzami, komisarzami i hjenami wyborczemi, a przedewszystkiem z wyłącznym celem zdobywania mandatów. Żadnej innej akcji, która odpowiadałaby na serjo wskazaniom Kościoła, nie zauważyliśmy w partji Chadeckiej. Nie zauważyliśmy jej nietylko w działalności parlamentarnego klubu Chadecji, co mniej byłoby dziwnem, ale również wśród tych jej wyznawców, którzy,

eliminowani na razie z parlamentaryzmu, mieli i mają za zadanie „organizować“ po chadecku różne sfery i związki zawodowe, celem uzyskania... głosów wyborczych. Naturalnie, że organizacje chadeckie „walczą“ z socjalizmem, ale jestto w gruncie rzeczy walka nie idei, tylko całkiem pospolita kampanja mandatowa.

O poziomie kaptowania sobie „społeczeństwa“ niechże świadczy choćby fakt, że pewna centralna organizacja chadecka wydawała przez pewien czas popularny dziennik w stolicy p. t. „Wiadomości Warszawskie“, gdzie — od wstępnego aż do ostatniego artykułu — główną treścią były wszelkie sensacyjne, krwawe lub tajemnicze wypadki wśród mętów stołecznych, zatytułowane niemniej sensacyjnymi nagłówkami przez redakcję pisma. Rewolwerowe to piśmidło, którego egzemplarz przybijany był codziennie in extenso na bramie domu, w którym drukowało się wydawnictwo, oblegany był oczywiście przez tłum gawiedzi.

W ten sposób wpajała Chrześcijańska Demokracja w stolicy zasady encykliki papieskiej w społeczeństwo!

Cała ta taktyka, tak bijąca w twarz istotny program chrześcijańskiej demokracji, nie stanowi dla nas żadnej niespodzianki, skoro uświadamiamy sobie jej genezę: przecież nasza Chadecja jest nieodrodną córą — może niegrzeczną, ale zawsze córą — narodowej demokracji, której podstawową, oficjalną zasadą jest: w polityce cel uświęca wszelkie środki *). Nie bardzo chrześcijańską jest ta zasada, ale na inną nie mogła się zdobyć „chrześcijańska“ demokracja w Polsce, wyhodowana w endeckiej szkole. I w tem leży właśnie kardynalny powód kompletnego wypaczenia tej wielkiej idei.

W przeciwieństwie do tego niezmiernie smutnego stanu rzeczy stoją szczere, naiwne usiłowania pewnych zbożnych działaczy na dalekiej, głuchej prowincji, działaczy,

---

*) Roman Dmowski: Myśli nowoczesnego Polaka.

rekrutujących się nieraz na ochotnika, bezinteresownie, ze wszystkich warstw społeczeństwa. Są w tej robocie i ziemianie i włościanie i drobne mieszczaństwo i robotnicy. Biedni! Biorąc dosłownie wzniosłe wskazania ewangelicznej demokracji chrześcijańskiej, dokładają starań, aby wiernie im służyć. Nie zdają sobie sprawy, kto nimi kieruje i kto partyjno-wyborcze owoce zbiera bez skrupułu z ich pracy.

Zreasumujmy: wielką jest idea i doniosłem jest zadanie chrześcijańskiej demokracji, ale to pewne, że ich u nas nie zrealizują nigdy ci ludzie, którzy dziś niemi kierują, którzy zniekształcili chrześcijańską demokrację na zwykłą partję polityczną, dość radykalną, której taktykę cechuje częstokroć daleko posunięty cynizm i nieokiełznana żądza poselskich mandatów, górująca nad wszystkiem.

Prawdziwa chrześcijańska demokracja musi dopiero powstać w Polsce wysiłkiem szczerych pionierów, którzy przedewszystkiem przysięgną sobie nigdy do sześcioprzymiotnikowego sejmu nie kandydować, ani w intrygach partyjno-politycznych żadnego — ale naprawdę żadnego — nie brać udziału. Jeśli znajdą się takie jednostki, choćby nieliczne, to idea chrześcijańskiej demokracji zyska dopiero warunki zdrowego rozwoju i odegrać może w moralnem odrodzeniu szerokich warstw społeczeństwa polskiego bardzo doniosłą rolę. Jeśli się nie znajdą, to wielka społeczna idea Kościoła nie zrealizuje się w Polsce nowożytnej. Całe dotychczasowe doświadczenie wykazuje bezspornie, że — ogółem biorąc — istniejące dzisiaj stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji nie ma w istocie nic wspólnego z właściwym celem chrześcijańskiej demokracji i dlatego nie powinno być uważane za jej przedstawiciela, przynajmniej do czasu ewentualnej, gruntownej swej reorganizacji in capite et in membris!

Redakcja.